MOC CZYTANIA | Młodzi hazardziści ▪ Jak żyć w spektrum ▪ Dociskanie Rosji
Na obrzeżach Kościoła ▪ Noblista Krasznahorkai ▪ Kiedy wellness szkodzi

Kraków 15 – 21 października 2025 nr 42 (3980) cena 16 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

STRONY 62–65

Laureatka Nike, nasza felietonistka

Eliza Kącka: wymyślamy z córką nowy język

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl e9c40b113a

FESTIWAL ARS CAMERALIS

XXXIV EDYCJA

5–30 listopada 2025

STRACH

arscameralisfestiwal.pl

REKLAMA

Województwo Śląskie

ORGANIZATOR:

Ars Cameralis Silesiae Superioris

ARS CAMERALIS JEST INSTYTUCJĄ KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

PARTNER:

TYGODNIK POWSZECHNY

PATRONAT MEDIALNY:

GAZETA.PL

RADIO 357

Polskie Radio Katowice

BILETY:

ticketmaster

KS. ADAM

Boniecki: *Wypchnięci*

Jakże często sprawy ważne wypychamy na obrzeża. W tym numerze Monika Białkowska pisze o uczestnikach Pielgrzymki z Obrzeży Kościoła na Jasną Górę – którzy w Kościele czują się niechciani, niewygodni, przemilczani. Wielu ludzi zrywa dziś z praktykami religijnymi, bo traci zaufanie do instytucji Kościoła. Trudność może tkwić w sprowadzaniu funkcji Kościoła do instytucji prawnych. Ale jak tego uniknąć, kiedy sam Kościół stanowi prawa i przepisy? Ludzie, o których pisze Białkowska, zostali zranieni przypisywaniem sobie przez księdza praw, które należą do Boga.

Oczywiście bywa tak – raczej rzadko – że ktoś wymaga od księdza rozgrzeszenia bez cienia żalu ani postanowienia poprawy. Ja, jako spowiednik, nie wiem nic o człowieku poza tym, co on sam mi powie. Wiem jednak, że rozgrzeszenia nie udziela się na jedno przystąpienie do komunii, że musi być przynajmniej wola, nawet słaba, wypełnienia postanowienia poprawy, żeby rozgrzeszenie miało sens. I tu problem: czy każda sytuacja niezgodna z kanonicznym „byciem w porządku" takiego postanowienia wymaga? W zasadzie tak, w praktyce nie, a przynajmniej nie zawsze. Dziś np. znacznie częściej prowadzi się procesy kanoniczne o stwierdzenie nieważności małżeństwa – które sprawiają, że zawarte w Kościele małżeństwa uznaje się za niezawarte. Dlaczego? Bo dziś więcej wiemy o człowieku, jego naturze, niekiedy skomplikowanej czy wymagającej terapii, o sytuacjach, w których nie jest się w stanie podjąć pewnych decyzji, np. takich jak o nierozerwalnym małżeństwie.

Często źródłem problemu jest brak wzajemnego zrozumienia pomiędzy spowiadającym się a spowiednikiem. Tu ważna przestroga dla spowiedników: uważajcie na to, co mówicie. A dla spowiadających się: uważnie słuchajcie. Czasem wiele spraw da się naprawić przy jednej spowiedzi, być może poprzedzonej rozmową. Jedna pielgrzymka, jedno spotkanie, jedna spowiedź może naprawić wyrządzoną szkodę.

Oczywiście nie wszyscy tego doświadczą. Przede wszystkim nie ci, którzy tego nie chcą. Bo już są zbyt daleko, by zawrócić, bo sądzili, że dokonując wyboru, wyzwolili się spod władzy ciemnego kleru i odtąd wystarczy im własny zmysł moralny. Uczestnicy tej niezwykłej pielgrzymki też nie byli jednakowi. Byli tacy, którzy czegoś pragnęli, nie byli pewni, czego, lecz to przeczuwali. Byli tacy, dla których końcowy efekt był zaskoczeniem, a właściwie wejściem na inny stopień świadomego chrześcijaństwa. Rewidując nasze rozgoryczenia i rezerwy, z pewnością mamy często wiele do odkrycia i sporo przyczyn możemy odnaleźć w sobie samych. Odnaleźć się w Kościele to wielka radość. Odnaleźć na innym stopniu „wtajemniczenia".

Ci jednak, którzy wiedzieli, że obiektywny stan rzeczy oznacza dla nich niemożliwość otrzymania rozgrzeszenia, jak w przypadku kolejnych małżeństw cywilnych, ale przecież nie tylko – nie mieli powodu do radości. Ludziom w tej sytuacji mogę powiedzieć, że sakramentalne rozgrzeszenie to nie jedyna forma pojednania. Że Bóg jest po prostu większy niż jakikolwiek ludzki rozum. Że nie ogranicza się do przepisów kościelnych, że ma swoje sposoby przebaczania i zbawiania ludzi, że nie zawsze nieregularność kanoniczna zamyka przed człowiekiem drogę do Niego. Kanonicznie unieruchomieni, pozostajemy wolni w naszych dążeniach. Bóg jest ponad wszelkimi kodeksami. Jak i kiedy – o to Jego pytajcie. ©℗

GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA"

MAREK MATUSIAK:
Wojna Izraela z Hamasem dobiega końca. Jak minione dwa lata zmieniły Izraelczyków i Palestyńczyków? Jak zmienił się Bliski Wschód?

MIKOŁAJ GRYNBERG:
Przez pół roku po wyjściu ze szpitala nie zajmowałem się niczym poza dbaniem o swoją formę. Mówiłem: „Idę na rower!", i szedłem jeździć. To było i jest euforyzujące.

JOANNA JURGA:
Zanim zdecydujecie się na zakup mieszkania, dowiedzcie się, jak daleko jest do przystanku, biblioteki, kawiarni, sklepu oraz parku. Porozmawiajcie z sąsiadami.

Przyznajmy się: my też, przygotowując ten numer, braliśmy pod uwagę scenariusz, w którym **POKOJOWĄ NAGRODĘ NOBLA** dostaje **DONALD TRUMP**. Wszak donośnie się o to upominał przy wtórze swoich klakierów, a żyrowane przezeń porozumienie między Izraelem a Hamasem w sprawie **GAZY** (czytaj komentarz **JACKA STAWISKIEGO**) zdawało się precyzyjnie wymierzone w moment.

Czy był nominowany? Zgodnie ze statutem Fundacji Noblowskiej, dowiemy się tego najwcześniej za 50 lat. Shortlistę zamknięto już w marcu, a laureata wybrano na początku października. Być może więc nasze domysły i naciski administracji USA były przez ostatnie miesiące, a przynajmniej dni, próżne. Strach zapytać: czy Trump angażowałby się tak w sprawę Gazy, gdyby znał shortlistę? W świecie, w którym słowem kluczem globalnej dyplomacji jest *deal*, czyli „interes" – nie jest to pytanie bezpodstawne.

Pokojowego Nobla otrzymała liderka wenezuelskiej opozycji i orędowniczka demokracji **MARÍA CORINA MACHADO** (pisze o tym **DOMA MATEJKO**), która wierzy w hasło „Wybory, nie wystrzały", ale też mówi o potrzebie siłowych działań USA na Karaibach, bliskowschodnie media wypominają jej wspieranie Izraela i Netanjahu, a nagrodę zadedykowała... Trumpowi. Znów czarno-biała wizja świata i idealistyczne rozwiązania okazują się działać tylko w bajkach i social mediach.

Coś o fundamentalnym sensie powiedział przewodniczący Norweskiego Komitetu Noblowskiego Jørgen Watne Frydnes: „Świat, w którym mamy coraz mniej demokracji i coraz więcej autorytarnych reżimów, staje się coraz bardziej niebezpieczny (...). Wierzymy, że demokracja jest warunkiem wstępnym pokoju. I taki właśnie jest nasz przekaz dla świata".

Sensami fundamentalnymi i komplikowaniem wizji świata zajmuje się też literatura, również nagradzana w minionym tygodniu. Piórem **KINGI PIOTROWIAK-JUNKIERT** piszemy o **LAUREACIE LITERACKIEGO NOBLA LÁSZLÓ KRASZNAHORKAIM**. A w rozmowie z **ANNĄ GOC** zwyciężczyni Nike, nasza felietonistka **ELIZA KĄCKA**, mówi: „Próbuję rzeźbić w języku tak, by ludzie za każdym razem zanurzali się w konkretnej sytuacji, w danym stanie. Żeby mogli zobaczyć obłędność naszego świata (...). Nie mówię gotowymi formułami, lecz próbuję odtworzyć wrażenie – świata, który się wyłania, ciągle niegotowy". ©℗

MICHAŁ KUŹMIŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Dziennikarz, pełniący obowiązki redaktora naczelnego, twórca podkastu „TP", współautor powieści kryminalnych i wywiadu rzeki „Ścigając zło", autor popularnonaukowej książki „Nauka w kuchni".

24 W dorosłość ze spektrum
ANNA KORYTOWSKA
Spektrum autyzmu sprawiało, że już od przedszkola czuli, że różnią się od innych. Denerwował ich hałas i harmider. Dziś radzą sobie dużo lepiej i pomagają innym mierzyć się z wyzwaniami.

ROZMOWA Z OKŁADKI

62 Wspólny język
ROZMOWA Z ELIZĄ KĄCKĄ, LAUREATKĄ NIKE 2025
Stałyśmy w tej niemej scenie naprzeciw siebie. Dziewczynka z tablicą „smutek", ja z płaczem. Gdybym miała nakręcić film egzystencjalny ze scen z mojego życia, ta byłaby jedną z ważniejszych.

78 Swoja wersja siebie
ROZMOWA Z ANNĄ KRÓL-KUCZKOWSKĄ, PSYCHOTERAPEUTKĄ
Fantazjujemy o systemie aplikacji, zdrowej diety i rozwoju duchowego, który zapewni nam dobrostan. Ale szczęście polega na czym innym.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // NATALIIA S. / ADOBE STOCK // MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL // ARCHIWUM PRYWATNE

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Rachunek za dwa lata
MAREK KĘSKRAWIEC

7-11 Komentarze i wydarzenia

■ ■ KRAJ

18 Więcej niż wojsko
MARCIN KĘDZIERSKI:
Oprócz uzbrojenia potrzebna jest nam odporność na dezinformację, cyberataki i dywersję

21 Nieskruszone tabu
JERZY DZIEKOŃSKI:
Terapia raka prostaty czasami niesie ze sobą skutki uboczne. Czego potrzebują pacjenci?

24 W dorosłość ze spektrum
ANNA KORYTOWSKA

■ ■ ŚWIAT

30 Estońska lekcja spokoju
FILIP RUDNIK:
Rosyjskie myśliwce nie wywołują tu paniki. Jak spokój może odstraszać wroga

34 Uderzmy w rosyjską ropę
ROZMOWA Z MAIĄ NIKOLADZE, EKSPERTKĄ ATLANTIC COUNCIL:
Czy pozbawimy Putina poduszki finansowej?

36 Wszystkie twarze Ottona
WOJCIECH PIĘCIAK:
Pomoc dla Ukrainy od Czytelniczek i Czytelników „Tygodnika”

39 Jarmark pod Złotym Aniołem
MARTYNA WASIUTA:
Andrej Babiš będzie premierem Czech. Kto znajdzie się w jego koalicji?

■ ■ WIARA

42 Nie dajcie się wypchnąć
MONIKA BIAŁKOWSKA:
Wbrew krytykom Pielgrzymka z Obrzeży Kościoła przybyła na Jasną Górę

46 Rewolucja u anglikanów
MARTA ZABŁOCKA:
Sarah Mullally została arcybiskupką Canterbury. Co to oznacza dla Kościoła na Wyspach?

WPADINGTON / ADOBE STOCK

TEMAT TYGODNIKA

12 Stawka lepsza niż życie
MAREK RABIJ
Polski e-hazard to tykająca bomba. Dla wielu młodych to jednak także świat dopaminowych kopniaków, dających nadzieję wyrwania się z szarej rzeczywistości.

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
29 OLGA DRENDA
52 ZUZANNA RADZIK
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

NA OKŁADCE:
ELIZA KĄCKA,
WARSZAWA, 19 SIERPNIA 2025 R.
FOT.: MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

48 Zatopione katedry
MACIEJ BIELAWSKI: *Dlaczego Augustyn z Hippony stał się fundamentem zachodniej cywilizacji*

53 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

54 Opowieść o Małej Hawanie
JAN RADOMSKI: *Ta dzielnica Miami to lustro, w którym odbija się historia gorącej relacji Kuby i USA ostatnich 60 lat*

■ ■ NAUKA

58 Naukowe Noble 2025: medycyna, fizyka i chemia
BARTOSZ KABAŁA, ŁUKASZ LAMŻA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

■ ■ KULTURA

62 Wspólny język
ROZMOWA Z ELIZĄ KĄCKĄ, LAUREATKĄ NIKE 2025

66 Kto stawia kropki
KINGA PIOTROWIAK-JUNKIERT: *Portret Lászla Krasznahorkaiego, laureata literackiego Nobla 2025*

68 Zbrodnie po sąsiedzku
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Teatr w Kielcach – niepokojący węzeł pytań*

71 Dobry, zły i bezradny
JAKUB MAJMUREK
o serialu „Grupa zadaniowa” – niejednoznaczni bohaterowie, znakomite aktorskie kreacje

73 Polecamy
KSIĄŻKA, PŁYTA, WYSTAWA

74 Graj w obronie
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Jedna bitwa po drugiej” Paula Thomasa Andersona

75 Książeczka czerwona jak krew
LEKTOR *o książce Joanny Tokarskiej-Bakir „Tęsknota pieska za wilkiem z lasu”*

■ ■ PSYCHE

78 Swoja wersja siebie
ROZMOWA Z ANNĄ KRÓL-KUCZKOWSKĄ, PSYCHOTERAPEUTKĄ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA STRONIE 28

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

RACHUNEK ZA DWA LATA

Dlaczego koalicję 15 października, z którą wiązano ogromne nadzieje, trawi dziś tak głęboki kryzys, że zastanawiamy się, czy w ogóle przetrwa zimę?

MAREK KĘSKRAWIEC

POWYŻEJ:
Premier Donald Tusk i przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen na granicy Polski z Białorusią. Ozierany, 31 sierpnia 2025 r.

TYLKO JEDEN RZĄD ROZCZAROWAŁ SWYCH wyborców bardziej niż ekipa Donalda Tuska. Był nim gabinet Leszka Millera, który po dwóch latach dogorywał już jako rząd mniejszościowy, naznaczony sprawą Rywina i aferą starachowicką. Dzisiejsza władza jest wolna od skandali tego kalibru i daleko jej też do 10 proc. poparcia społecznego, które żegnało Millera – trudno jednak cieszyć się z faktu, że w historii III RP zdarzył się komuś większy upadek wizerunkowy. Gabinet Tuska popiera dziś tylko 29 proc. badanych przez CBOS – minimalnie więcej niż rząd Morawieckiego, dodajmy: po pandemii i po siedmiu latach PiS u władzy.

MIJA WŁAŚNIE DRUGA ROCZNICA wyborów z jesieni 2023 roku, które przyniosły rekord frekwencyjny i odsunęły PiS od rządzenia. Było to wyrazem woli większości społeczeństwa, które – mimo odmiennych poglądów na szereg spraw – nie chciało zaakceptować podporządkowania Zjednoczonej Prawicy wymiaru sprawiedliwości, mediów i państwowych funduszy, ani też burzenia delikatnego rozejmu wokół aborcji. W efekcie u władzy znalazł się niespotykany wcześniej sojusz: od lewicy po centroprawicę, reprezentowaną przez PSL. Miał rządzić długo.

Trudno porównywać czasy Leszka Millera, sprzed wejścia do UE, do obecnej rzeczywistości. To zupełnie inny świat, także polityczny, jednak podobne jest uczucie rozczarowania. Tak jak Miller miał ułożyć nam świat po chaosie końca epoki AWS, tak samo Tusk miał po dusznych czasach PiS zaprowadzić erę spokoju i porządku. Niestety, oba te pojęcia szybko zaczęły się wykluczać.

PIS ZOSTAWIŁ w kluczowych instytucjach państwa (sądy, prokuratura, media, armia, dyplomacja etc.) tak wiele „bezpieczników", że odzyskiwanie niektórych stanowisk i instytucji odbywało się przy pomocy fizycznego zajęcia gabinetów i budynków. To pokazywało sprawczość, ale rodziło też zarzuty

o wchodzenie w buty poprzedników.

Śmiem jednak twierdzić, że społeczeństwo dawno już zapomniało najbardziej kontrowersyjne zdarzenia, np. szturm na telewizję publiczną, wymianę kierownictwa prokuratury albo akcję policji w Pałacu Prezydenckim. Poparcie dla rządu, jak wynika z badań, runęło raczej z powodu niezrealizowania większości obietnic, wewnętrznych konfliktów i niespójności przerośniętego gabinetu, a także braku czytelnej wizji, dokąd on zmierza.

Projekt CPK, uznawany wcześniej za przejaw gigantomanii ekipy Kaczyńskiego, jest dziś realizowany, choć w formie atrakcyjnej bardziej dla wielkomiejskiej Polski. Bariera na granicy z Białorusią, przeciwko której obecna władza ostro protestowała, dziś jest przedstawiana niemal jak autorski projekt, naprawiający fuszerkę PiS. Jednak korzystanie z pomysłów poprzedników i niezbyt udane próby odwrócenia „deform" Ziobry nie okazały się szczególnie ekscytujące dla wyborców, zwłaszcza przy rosnących rachunkach i medianie zarobków na poziomie 5300 zł na rękę. Gdy więc premier mówi o zduszeniu pisowskiej inflacji i wejściu Polski do G20, dla wielu obywateli to powrót do opowieści o „zielonej wyspie", której nie widzieli w portfelach.

TUSK ZAPOMNIAŁ, że władzę zdobył nie tylko dzięki zdeklarowanym przeciwnikom PiS, ale też za sprawą sporej grupy warunkowych wyborców, którzy są dziś rozczarowani, i gdyby znowu mieli pójść do urn, zapewne skończyłoby się to sromotną porażką koalicji. Nie samej KO, ale na pewno jej sojuszników, z których nad próg wyborczy wystaje dziś tylko Nowa Lewica, a pod nim lądują PSL i Polska 2050. Na dokładkę ta ostatnia partia została *de facto* porzucona przez Szymona Hołownię, który na swą następczynię namaszcza Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz, niezbyt lubianą we własnym ugrupowaniu i działającą na premiera jak płachta na byka. Tusk zapewne nie zgodzi się, by została wicepremierką, co oznacza, że może dojść do turbulencji przy planowanym za miesiąc oddaniu fotela marszałka Sejmu Włodzimierzowi Czarzastemu. Możliwy jest przy tej okazji wręcz rozpad Polski 2050, co oznacza dla KO konieczność szybkiego „wchłonięcia" dwóch trzecich jej klubu. Inaczej rząd może upaść.

Czy czekają nas wcześniejsze wybory? Niekoniecznie. Dla polityków Polski 2050 to może być ostatnia kadencja w Sejmie, więc zapewne nie zechcą jej skracać zrywaniem koalicji. Z kolei Kaczyński też nie chce się spieszyć, bo wierzy w postępującą zapaść obozu Tuska, a na dodatek nie wyobraża sobie, by miał tworzyć rząd (kojarzony z solidaryzmem społecznym) wraz z Konfederacją, która chce jak najmniej państwa w państwie. Dlatego lider PiS, zanim zostanie zmuszony do tego układu, idzie na wojnę z konkurencją. Ta jednak dzielnie broni się i w sondażach, i w ostrych ripostach Sławomira Mentzena. Jeśli więc Kaczyński na coś może liczyć na prawo od siebie, to na wyrwanie narodowej frakcji Krzysztofa Bosaka, ale i to nieprędko.

WAŻNĄ ROLĘ w tej układance będzie miał prezydent Karol Nawrocki, silny, lawirujący między PiS a Konfederacją. I dlatego sądzę, że prawica dzieląca dziś skórę na niedźwiedziu może wejść w kampanię wyborczą skłócona; przecież nawet w samym PiS trwa walka kilku frakcji. Skazywanie na klęskę obecnego obozu władzy i wizja wyroków wydawanych przez sądy podporządkowane Kaczyńskiemu na Żurka czy Giertycha wydają się więc przedwczesne. Może się okazać, że zakleszczenie obchodzącego 20-lecie duopolu przyniesie nam już niedługo mocne przemodelowanie całej sceny politycznej. Nie wygląda to dobrze w erze zagrożenia ze strony Rosji, ale może jest po prostu dziejową koniecznością. ©℗

Solidna nadzieja

JACEK STAWISKI

Prezydent Trump osiągnął największy jak dotąd sukces w polityce międzynarodowej: doprowadził do wstępnego porozumienia o rozejmie w wojnie Izraela z terrorystyczną organizacją Hamas. Dwuletnia wojna, której przyczyną stał się największy akt terroru przeciw obywatelom Izraela (7 października 2023 r.), a następnie izraelski odwet na Gazę, przyniosła ogromne cierpienia zarówno Izraelczykom, jak i Palestyńczykom.

Gdy piszę te słowa, 13 października rano, do Izraela wracają ostatni żywi zakładnicy (20 osób) i szczątki tych, którzy zginęli. Z kolei Izrael przygotowuje się do uwolnienia 2 tys. Palestyńczyków. Walki ustały, armia izraelska wycofuje się z oblegania miasta Gaza, do Strefy ma być dostarczana na dużą skalę pomoc humanitarna. Uderza fakt, że identycznie w Izraelu i Gazie to Trump jest postrzegany jako ten, który przyniósł koniec koszmaru.

Porozumienie ma 20 punktów, na razie są realizowane te wstępne. Trump mówi już o „porozumieniu pokojowym", ale to słowa na wyrost. Po katastrofalnej wojnie, w której w Gazie zginęło ponad 67 tys. ludzi, w tym ok. 18 tys. dzieci (kontrolowane przez Hamas władze Gazy nie podają liczby zabitych, którzy walczyli w palestyńskich formacjach zbrojnych), brak działań wojennych i tak jest wielką zmianą na lepsze.

Nagły zwrot w stronę rozejmu to efekt nowego podejścia USA do bliskowschodniej łamigłówki.

Stany z jednej strony osłaniały dyplomatycznie Izrael przed wielką falą krytyki i wspierały go militarnie (szczególnie ważne dla Izraela było wsparcie USA w wojnie z Iranem: zneutralizowano irańskie zagrożenie, eliminując też wsparcie Iranu dla Hamasu i libańskiego Hezbollahu). Z drugiej strony USA zbudowały ścisłe relacje z państwami Zatoki Perskiej i przekonały inne ważne kraje Bliskiego Wschodu oraz Turcję, by zmusiły Hamas do uwolnienia zakładników.

Tworząc tak rozległą międzynarodową koalicję, Stany sprawiły, że z jednej strony Izrael nie czuje się izolowany (a wręcz może mówić o osiągnięciu celów wojny), z drugiej zaś kraje arabskie i szerzej islamskie dostały gwarancje USA, że nie ma zgody na izraelską aneksję lub nową okupację Gazy.

W historii Bliskiego Wschodu było wiele umów pokojowych, które prowadziły donikąd. W zasadzie wszystkie, które przetrwały, to te gwarantowane przez USA. Determinacja Trumpa, by zaprowadzić trwały pokój, daje solidną nadzieję, że wojna w Gazie dobiegła końca i zaczyna się mozolny proces jej demilitaryzacji i odbudowy. Natomiast w Izraelu zaczyna się leczenie traumy narodowej po ataku z 7 października 2023 r. ©℗

TOMASZ BARAŃSKI / REPORTER

Gorączka złota

MAREK RABIJ

W Polsce padnie zapewne historyczny rekord popytu na złoto. Wedle prognoz Mennicy Państwowej, do końca bieżącego roku klienci indywidualni kupią ponad 20 ton tego kruszcu. Największym zainteresowaniem, jak informuje Mennica będąca głównym dystrybutorem tego surowca, cieszy się złoto o małej i średniej gramaturze, czyli głównie złote monety oraz sztabki o wadze do 100 gramów. Może to świadczyć o tym, że popyt nakręcają obecnie przede wszystkim klienci niedysponujący dużym kapitałem, którzy w tym surowcu chcą ulokować część oszczędności „na czarną godzinę". Aby sprostać zapotrzebowaniu, Mennica zaczęła po wakacjach sprowadzać złoto z Niemiec. Zasoby kruszcu dostępne w kraju nie wystarczają już bowiem do zaspokojenia popytu, mimo że do obrotu weszło także złoto z krajowej oferty KGHM Polska Miedź SA.

Tylko od stycznia br. złoto podrożało o 53 proc. W październiku padł rekord ceny kruszcu, która wzrosła do 4 tys. dolarów za tzw. uncję trojańską (miara powszechnie stosowana na rynku). Polski apetyt na złoto jest więc w części także późną reakcją klientów na trwające od dwóch lat wzrosty cen tego kruszcu i odzwierciedla nadzieję, że nawet przy tak wysokich kosztach zakupu, na inwestycji nadal da się zarobić. W ub. roku złoto podrożało o 27,2 proc., a rok wcześniej – o 13 proc. Zanotowany od początku tego roku skok ceny o połowę to jednak ewenement, który na rynku złota zaobserwowano po raz ostatni w latach 70. ubiegłego stulecia. Z drugiej strony popyt na metale szlachetne będą teraz nakręcać obniżki stóp procentowych NBP, które zmniejszą atrakcyjność lokat bankowych.

Zainteresowanie polskich inwestorów indywidualnych małymi sztabkami i złotym bilonem wynika jednak przede wszystkim z przeświadczenia, że w politycznie niestabilnych czasach to właśnie złoto jest najlepszą, bo najbezpieczniejszą lokatą kapitału. Lecz kupując kilkugramowe sztabki i złote monety, klienci płacą nie tylko za sam kruszec, ale także relatywnie wysoką prowizję dla dystrybutorów. Za gram złota na rynku detalicznym trzeba obecnie zapłacić nawet 650 zł, czyli około 170 zł ponad średnią cenę transakcyjną na rynku surowcowym. Sztabki o wadze jednej uncji trojańskiej (ok. 31,1 g) kosztują ok. 15,2 tys. – przy średniej cenie giełdowej poniżej 14,9 tys. zł za uncję. ©℗

VLADK213 / ADOBE STOCK

Błąd kardynalny

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

W powoływaniu do życia edukacji zdrowotnej nic nie idzie tak, jak zaplanowało sobie MEN. Najpierw współkoalicjanci KO udaremnili koncepcję obowiązkowego przedmiotu, później prawicy i Kościołowi udało się zdominować debatę wokół EZ. Teraz do skutku nie doszło nawet zapowiadane na 10 października ogłoszenie danych o frekwencji na nowej lekcji. Wiceministra Katarzyna Lubnauer mówiła w piątek w Polskim Radio 24, że przyczyną opóźnień jest brak kompletu danych ze szkół.

Ale nawet statystyki szczątkowe dotyczące dużych miast, a więc miejsc, po których można się było spodziewać wyższej frekwencji, pozwalają na wniosek, że przedmiot w obecnej koncepcji poniósł klęskę. O ile w podstawówkach obecność na EZ przekracza zwykle 40 proc. (Warszawa i Gdańsk 43 proc., Wrocław 44, Łódź ponad 50 proc.), w liceach i technikach na nowy przedmiot chodzi zwykle kilka do kilkunastu procent uczniów.

Jedną z przyczyn tej porażki jest zapewne przegrana przez MEN batalia propagandowa wokół nowego przedmiotu. O ile histeryczne głosy prawicy i Kościoła, przypisujące twórcom EZ najbardziej diaboliczne intencje, były słyszane wyraźnie, kampania informacyjna MEN niemal nie zaistniała.

Ale przekonaniami Polaków nie da się wyjaśnić wszystkiego: od nowego przedmiotu zdystansował się nie co trzeci rodzic, co pokrywałoby się z grubsza z polityczną mapą Polski – tylko mniej więcej co trzeci dał edukacji zdrowotnej szansę.

Katarzyna Lubnauer zapowiada „głębszą analizę" danych, ale już dzisiaj widać pewną prawidłowość: im starsi uczniowie, tym większy dystans wobec edukacji zdrowotnej. Najgorzej jest w szkołach ponadpodstawowych, zaś w obrębie tej kategorii najtragiczniej wyglądają dane z techników. Z wielu miast (np. Poznań i Wrocław) dochodzi też inny komunikat: na EZ w miarę chętnie wybierają się dzieci z klas 4-6 podstawówek, znacznie oporniej zaś te z siódmych i ósmych. Wniosek? Nowy przedmiot wszędzie tam, gdzie uczniowie gonią resztkami sił (w technikach szkolny tydzień to często 40 godzin samych lekcji; w liceach i klasach 7-8 podstawówek nie jest wiele lepiej), jawi się jako przeszkoda – ze względu na nieobowiązkowość łatwa do usunięcia.

I właśnie ugięcie się przed szantażem opozycji i zgoda na fakultatywność nowego przedmiotu jawi się dziś jako główny błąd rządzących. Błąd – zgodnie z nomenklaturą przyjętą na maturach – kardynalny. Obniżający ocenę i trudny do naprawienia. ©℗

NA PUNKTY

FREKWENCJA
Warszawska manifestacja PiS przeciwko nielegalnej migracji wywołała więcej emocji wśród wzmożonych politycznie użytkowników portalu X niż wśród nielicznych uczestników. Być może dlatego, że – wedle informacji mediów – Polska ma zostać wyłączona z unijnego mechanizmu relokacji.

PRZYKŁAD
Rząd przygotował projekt ustawy o związkach partnerskich, ułatwiającej m.in. wspólne rozliczenie podatkowe, dziedziczenie i dostęp do informacji medycznej partnera. Ministra Katarzyna Kotula, zapytana o spodziewane weto prezydenta, powiedziała, że „pan prezydent sam jest przykładem takiej rodziny patchworkowej".

WAKACJE
Rodzinne spory tymczasem dotknęły Koalicję Obywatelską. Niedawny udział posła Franciszka Sterczewskiego we flotylli humanitarnej płynącej do Gazy jego klubowy kolega Jan Grabiec nazwał „bardziej wakacjami niż misją", a władze klubu nałożyły na Sterczewskiego karę finansową za nieusprawiedliwioną nieobecność na posiedzeniach Sejmu. ©℗

Noblistka z Wenezueli

DOMA MATEJKO

Tegoroczna Pokojowa Nagroda Nobla została przyznana „odważnej i zaangażowanej obrończyni pokoju, kobiecie, która podtrzymuje płomień demokracji pośród narastającej ciemności" – mówił przewodniczący norweskiego Komitetu przyznającego tę nagrodę.

Ta kobieta – to liderka wenezuelskiej opozycji María Corina Machado (na zdjęciu). Urodzona w Caracas w 1967 r., miała 25 lat, gdy założyła fundację Atenea, pomagającą dzieciom z ubogich dzielnic stolicy Wenezueli. W 2002 r. współtworzyła organizację Súmate, monitorującą uczciwość wyborów; ta działalność uczyniła ją jedną z twarzy opozycji wobec prezydenta Hugo Cháveza. Współorganizowała referendum z 2004 r., w którym obywatele po raz pierwszy mogli wyrazić sprzeciw wobec jego autorytarnych rządów.

W 2010 r. została wybrana do Zgromadzenia Narodowego ze stanu Miranda; poparcie, jakie przy tym otrzymała, należało do najwyższych w kraju. Dwa lata później wzięła udział w prawyborach opozycji, zajmując trzecie miejsce. Wkrótce reżim pozbawił ją mandatu i oskarżył o zdradę stanu.

Nadzieją dla wielu rodaków stała się w 2023 r., gdy wygrała prawybory na kandydata opozycji w wyborach prezydenckich zaplanowanych na 2024 r. Zdobyła w nich rekordowe 92,5 proc. głosów, co uczyniło ją bezsprzeczną liderką antyrządowego ruchu. Władze odpowiedziały na to, zakazując jej na 15 lat kandydowania w wyborach.

Mimo represji i zakazów, Machado kontynuowała działalność, wspierając w 2024 r. kandydata opozycji Edmundo Gonzáleza Urrutię, który „zastąpił" ją w tych wyborach. Apelowała o pokojową zmianę władzy. Gdy aresztowano jej współpracowników, musiała się ukrywać.

Wenezuelczycy wierzą, że ten Nobel to sygnał, iż świat znów zwraca uwagę na ich kraj. Mają nadzieję, że stworzy też rodzaj „parasola ochronnego" dla Machado przed dalszymi represjami. Jednak decyzja Komitetu Noblowskiego, choć przywraca temat Wenezueli do globalnej debaty, nie daje nadziei na szybki powrót demokracji w kraju. ©

PEDRO MATTEY / AFP /EAST NEWS

Adhortacja w Zochcinie

S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA

W Zochcinie, gdzie mieszkam z bezdomnymi i uchodźcami, w malutkiej kaplicy codziennie jest msza – tylko dlatego, że mieszka z nami schorowany ksiądz. A lud Boży każdego dnia to chory psychicznie młody mężczyzna, pani mocno niepełnosprawna intelektualnie, starsza kobieta z Ukrainy, ledwo człapiąca staruszka, mój niepełnosprawny, przybrany syn Artur i ja.

W niedzielę jest nas trochę więcej. Dołączają inni mieszkańcy i sąsiadka z córką z zespołem Downa. Tak, msza w Zochcinie to centrum światowej liturgii. Artur z całych sił wali w gong, przyjmuje komunię pod dwiema postaciami i po niej pokazuje, jak kocha Pana Boga. Bo tylko pokazać potrafi.

Nie, nikt go nie przygotowywał do pierwszej komunii. Któregoś dnia podszedł i ksiądz mu dał Hostię. On wiedział (skąd?), że to „Bozia".

Papieska adhortacja „Dilexi te" pokazuje, że nie można być uczniem Chrystusa bez Jego spojrzenia na drugiego człowieka, a przede wszystkim na ubogiego. Chrześcijanin nie robi ubogiemu łaski. Ma obowiązek troski o człowieka w trudnej sytuacji, stojącego na jego drodze. Bo w tym człowieku cierpi sam Chrystus.

Jeśli chrześcijanin posiada dobra, to po to, żeby służyły słabszym w budowie godnego życia, a jemu samemu – ku budowaniu świata według woli Boga Ojca. Chrześcijanin ma obowiązek bronić słabszych przed silniejszymi, którzy ich wykorzystują i pozbawiają podstawowych środków do życia. Nawet wtedy, kiedy jest to wbrew powszechnej opinii, albo przyjdzie za to zapłacić.

A to, co najważniejsze i może najtrudniejsze – ubogi jest w centrum życia Kościoła. Nie jako kłopot, ale nauczyciel. Uchodźca, stary, niepełnosprawny, chory, bezdomny, dziecko – kogo spotkają na swojej drodze? Jaki obraz Chrystusa, na którego się powołujemy?

Jeśli Kościół jest Ciałem Chrystusa, to człowiek ubogi jest jego sercem, nie marginesem. To, moim zdaniem, chciał nam przypomnieć Leon XIV, śladem swoich poprzedników. Nie ma innej drogi dla uczniów Chrystusa, którego spotkać mogą tylko pod trzema adresami: w Eucharystii, Kościele i w drugim człowieku – zwłaszcza ubogim, cierpiącym. ©

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

Profesor Adam Strzembosz. Warszawa, 15 listopada 2023 r.

Adam Strzembosz, pierwszy sędzia RP

POŻEGNANIE ▪ To było haniebne i symboliczne zarazem. Cztery miesiące temu, w jednym z wywiadów odchodzący prezydent Duda szyderczo parodiował sędziwego Adama Strzembosza. Nie ma wątpliwości, jak Bóg i historia osądzą, który z tych dwóch ludzi, zobligowanych do strzeżenia Konstytucji, powinien się wstydzić, a który – cieszyć ze spełnionego obowiązku.

Ale warto zauważyć, że tamten małostkowy wybuch nienawiści – paradoksalnie – potwierdził, jak wielkim autorytetem był Strzembosz. To krytyka z jego właśnie strony boleśnie uwierała Dudę. Nic dziwnego, skoro mowa o człowieku, którego nazywano Pierwszym Sędzią RP i sumieniem prawników.

Dziś pamiętany jest przede wszystkim z ulicznych protestów przeciwko dewastacji sądów i prokuratury przez Zjednoczoną Prawicę. Jak na świetnego prawnika przystało, mówił jasno i precyzyjnie, bez zbędnych emocji: „My, którzy reprezentujemy ponad tysiąc sędziów, zarejestrowanych w naszym związku, od dawna walczymy o tego rodzaju zmianę ustawy o ustroju sądów powszechnych, która zagwarantuje nam prawdziwy, rzeczywisty wymiar sprawiedliwości, zgodny z prawem i sumieniem; która uniemożliwi naciski na nas; która uniemożliwi wyprowadzanie z sądu bądź przesuwanie ludzi wartościowych”.

Nie, to nie słowa z tamtych demonstracji. To fragment wystąpienia Adama Strzembosza, delegata na pierwszy Zjazd Solidarności, jesienią 1981 r. On w każdych okolicznościach stał tam, gdzie warto stać.

Urodzony w 1930 r., należał do pokolenia, które wojny doświadczyło, ale nie zdążyło na walkę z bronią w ręku. Nieraz powtarzał, że nigdy nie wykazywał się odwagą wojskową, ale odwaga cywilna nie pozwalała na obojętność. W 1980 r. – jako mało znany sędzia i pracownik Instytutu Badania Prawa Sądowego – podczas zebrania w Ministerstwie Sprawiedliwości ostro skrytykował realia PRL. Gest sprzeciwu otworzył drogę do Solidarności, gdzie stał się jednym z kluczowych ekspertów.

Gdy 13 grudnia 1981 r. szykował się do aresztowania, jego żona, która miała zostać sama z czwórką dzieci i bez oszczędności – powiedziała jedynie: „Żeby ci nie zabrakło odwagi”. Ostatecznie uniknął internowania ze względu na immunitet sędziowski, ale wkrótce stracił zatrudnienie.

Wypracowane podczas rewolucji Solidarności reformy wcielał w życie po przełomie 1989 r. Odbudował autorytet Sądu Najwyższego jako pierwszy prezes, przewodniczył też Krajowej Radzie Sądownictwa. Wśród matek i ojców III RP miał zadanie niewdzięczne: w kraju, gdzie ponad prawo i procedury stawia się bombastyczny patriotyzm i „dobro narodu”, pojmowane wedle własnego widzimisię – budował niezawisły i rzetelny system sprawiedliwości.

© MAREK ZAJĄC

Dolna Odra czeka na park

ŚRODOWISKO ▪ W ochronie przyrody rzadko przecina się wstęgi. Choćby dlatego trudno znaleźć polityków gotowych nadstawiać karki dla projektów ochroniarskich. Przez ostatnie dwa lata Ministerstwo Klimatu i Środowiska podjęło się jednak zadania, jakim nie był zainteresowany od ćwierćwiecza żaden rząd. Powołanie nowego parku narodowego (albo powiększenie już istniejącego) wymaga w świetle ustawy zgody samorządów, na których terenie ma się znajdować. Od 24 lat nikt nawet nie spróbował przekonać gmin czy powiatów, by z weta nie korzystały. Park Narodowy Doliny Dolnej Odry może udowodnić, że mimo kłopotliwego prawodawstwa, powoływanie parków leży w zasięgu władz centralnych.

Resort Pauliny Henning-Kloski wziął na warsztat projekt społeczny, a potem przeprowadził w Zachodniopomorskim dyplomatyczną ofensywę: wybadano obawy samorządowców i mieszkańców, podpisano porozumienia ze środowiskami wędkarskimi, przygotowano zadośćuczynienia finansowe dla gmin. Na park zgodziły się władze Szczecina, gmin Widuchowa i Kołbaskowo, powiatów gryfińskiego i polickiego oraz całego województwa. Gdy okazało się, że wątpliwości gminy Gryfino mogą opóźnić procedurę, zdecydowano, by czasowo wyłączyć z projektu obszary leżące na jej terenie. Gryfino dostało zapewnienie, że w przyszłości będzie mogło do parku dołączyć. O ile zechce.

Ustawę o powołaniu parku na koniec września przyjął Sejm, a w jego ślady pójdzie Senat. W zdrowej demokracji podpis prezydenta byłby w takiej sytuacji formalnością. Zachodniopomorscy samorządowcy i przyrodnicy mają jednak obawy, że Karol Nawrocki inicjatywę zawetuje. Powodem jest kampania dezinformacji, jaką na temat parku rozkręcił PiS. Argumenty opozycji są do bólu przewidywalne – mówią o interesie niemieckim, zamianie regionu w skansen i rzekomych zakazach, które miałyby dotknąć mieszkańców. Ktoś, kto opowiada podobne bzdury, udaje głupiego albo nie wie, gdzie powstaje park. Pisaliśmy o tym na łamach „TP” parokrotnie: chodzi o obszar pomiędzy dwoma korytami Odry, podmokły i – jeśli nie liczyć poniemieckich śluz i kanałów – pozbawiony jakiejkolwiek infrastruktury. Sama Odra parkiem nie będzie.

Cokolwiek zrobi prezydent, będziemy mówić o symbolu. Albo stanie się nim nowy park narodowy, wymyślony oddolnie i powołany ponad partyjnymi podziałami. Drugi scenariusz jest równie symboliczny – Karol Nawrocki zostanie grabarzem społecznego porozumienia.

© ADAM ROBIŃSKI

Konkurs Chopinowski: etap prawdy

KRZYSZTOF SZLĘZAK / NIFC

Z Konkursu Chopinowskiego odpadli Gabriele Strata (na zdjęciu) i Hao Rao, dwaj najciekawsi pianiści tej edycji. Ich brak w III etapie rodzi pytania o to, jak jurorzy rozumieją dziś „kanon" interpretacji Chopina.

MUZYKA ▪ Trudno zrozumieć decyzję jurorów. Taka sytuacja jest tradycją Konkursu Chopinowskiego, ale tym razem mamy rzecz szczególną: w III etapie zabraknie włoskiego pianisty Gabriele Straty, muzyka głęboko poszukującego, tworzącego logiczne konstrukcje dźwiękowe, owszem, oparte na tekście (dramatyczny, precyzyjnie rysowany Polonez fis-moll), ale który jest odmienny – zwraca uwagę na to, co wystaje poza mainstream interpretacyjny, używa zmian tempa jako elementu konstrukcyjnego (a neoklasyczna doktryna nakazuje trzymać się ścisłej miary). Słowem: zdecydowanie nie mieści się w kanonie. Uważałem więc za łut szczęścia, że w ogóle znalazł się w II etapie.

Co innego jednak chiński pianista Hao Rao. Część z czytelników pamięta chłopca sprzed 4 lat, który grał błyskotliwie i świeżo, ale – przyznajmy – finał dla niego był jednak zaskoczeniem. W tej chwili wrócił do nas młody pianista prezentujący przemyślane, wykończone kreacje. Kreacje, na dodatek, bardzo chopinowskie: przypomnijmy sobie Barkarolę, z jej płynącymi niczym fale tematami, w której nawet drobny ruch szesnastek układał się w elementy melodyczne. To samo z Preludium Fis-dur i jego zbudowaną z użyciem repetowanych dźwięków cząstką Più lento. Czy to możliwe, by jedno faktycznie agresywnie brzmiące Scherzo cis-moll (ale akurat w tym utworze wyjątkowo to nie jest błąd – choć faktycznie straciło ono część swych walorów) spowodowało taki zjazd w punktacji? Albo – czy subtelne rubato, czyli delikatne i naturalnie płynące zmiany tempa potrzebne pianiście do kształtowania tej wyjątkowej melodyki, już zaalarmowało jakąś grupę rygorystycznych jurorów?

W „etapie prawdy" – jak zwany jest etap III – nie usłyszymy zatem dwóch z najciekawszych pianistów Konkursu. A ponieważ nie ma ich tu wcale tak wielu, z tego obrazu wyłania się nam ponownie turniej, który da światu znaczącego zwycięzcę, a do tego grupę nieznaczących laureatów, którzy będą korzystali ze swych dyplomów do otrzymania pracy na uczelniach – gdyż mało kto zechce ich słuchać. Następnie, jako nauczyciele, będą replikować swoje umiejętności i styl, dostarczając Konkursowi nowych kandydatów, a potem sami zostaną jurorami. Schemat znany od dekad.

Tymczasem Hao Rao zrobi światową karierę jako chopinista, choć Gabriele Strata możliwe, że faktycznie akurat nie w Chopinie będzie celował. Spodziewając się trzech znakomitych sonat w III etapie, nie byłem pewny, czy jego wykonanie dołączy do tego grona – ale byłem jej może najbardziej ciekawy. © **JAKUB PUCHALSKI**

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

STAWKA LEPSZA NIŻ ŻYCIE

Polski e-hazard to tykająca bomba.
Dla wielu młodych to jednak także świat dopaminowych kopniaków,
dających nadzieję wyrwania się z szarej rzeczywistości.

MAREK RABIJ

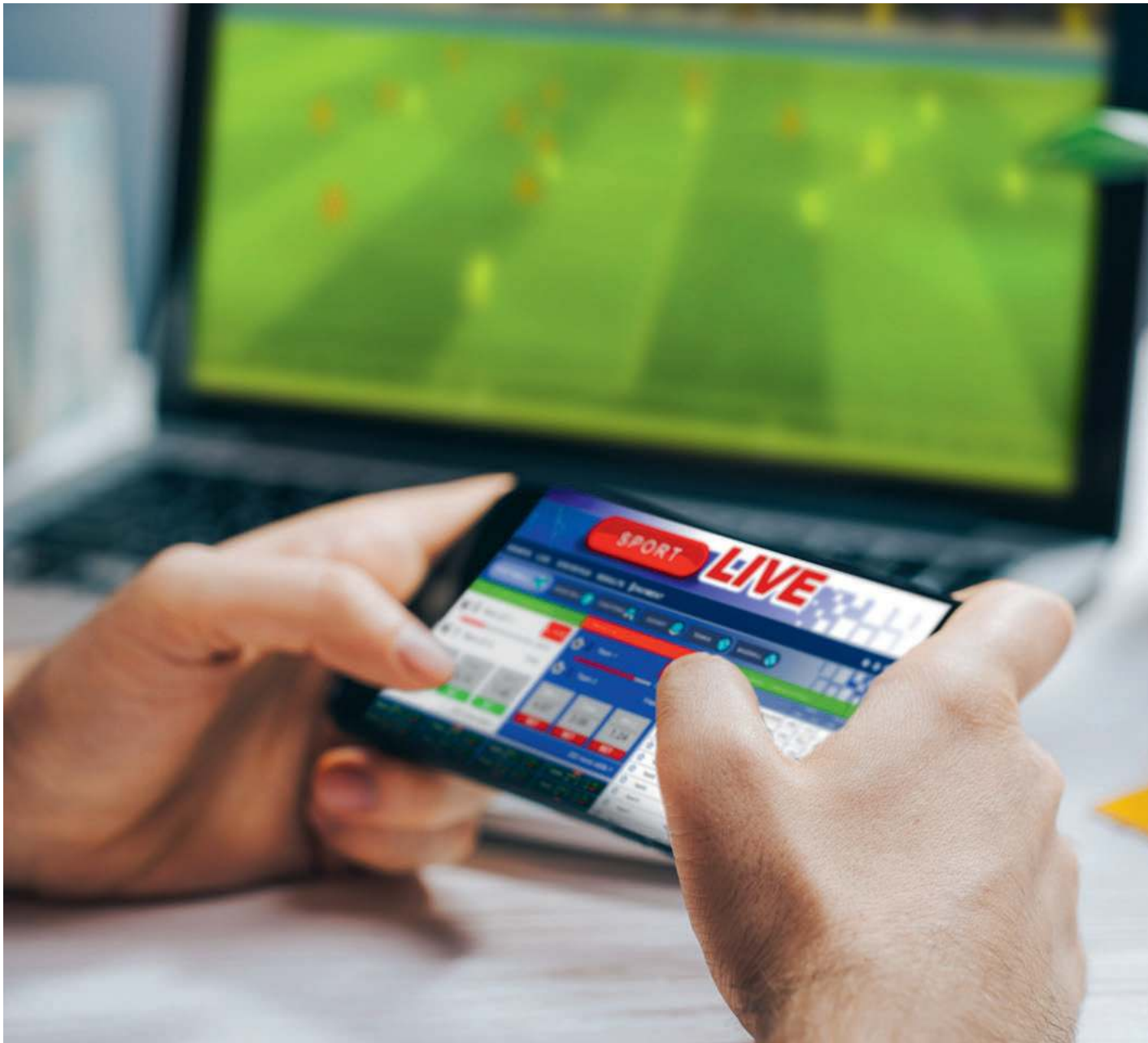

Wpatruję się w tę tabelkę od dłuższej chwili. Formularz rejestracji konta już w pierwszym kroku wymaga podania numeru telefonu. Dziewięć pustych pól na cyfry kłuje w oczy niczym miejsce na szyfr do sejfu – choć wiem, co jest w środku.

Serwis bukmacherski, na którego stronie wylądowałem, klikając losowo jeden z dziesiątków linków reklamowych, obiecał mi 760 zł na początek zabawy. Zdążyłem też sprawdzić, jak to działa. Gdy się zarejestruję, system poprosi o przelanie pewnej kwoty na wewnętrzny rachunek krupierski, do której następnie, w trakcie gry, będzie mi dokładać z puli obiecanego bonusu. Ewentualnie – to druga opcja – na powitanie odpali mi od razu całość, żebym opłacił z niej obowiązkowe dwa-trzy zakłady. Wspomniana kwota może również okazać się limitem, do którego mogę przez jakiś czas obstawiać zakłady za własne pieniądze, bez ryzyka utraty choćby złotówki.

WPADINGTON / ADOBE STOCK

Tzw. bonusy powitalne, bez względu na ich *modus operandi*, to fundament współczesnej bukmacherki, która na dobre przeniosła się do sieci. Ot, taki odpowiednik próbnego darmowego dostępu do aplikacji czy prenumeraty, z której można zrezygnować w każdej chwili. Z tą różnicą, że tu nie każdemu chcącemu się udaje.

Do ilu wygra Iga

Serwis, do którego trafiłem, pod tym względem nie należy do najhojniejszych. Jeden z konkurentów obiecuje na początek ponad pięć razy więcej. Gorzej z wyborem rozgrywek. Wszystkie serwisy oferują praktycznie to samo. Do wyboru mam piłkę nożną, w tym oczywiście najbliższe mecze polskiej reprezentacji, choć gdybym się śpieszył, mogę obstawić wynik trwającego już spotkania Alto Zambeze–Herois do Huambo z afrykańskiej Ligi Bantu. Jest też siatkówka, koszykówka, badminton, tenis ziemny i stołowy, hokej na lodzie i na trawie, snooker, a także rozgrywki e-sportowe w Counter-Strike'a 2 czy Dota2.

Grać można zresztą nie tylko o wynik. W meczu Igi Świątek da się obstawić choćby scenariusz, w którym Polka wygra seta do zera. W zakładach futbolowych wygraną podbija dodatkowe uszczegółowienie obstawianego scenariusza. Na przykład: Polska wygra z Nową Zelandią cztery do zera, trzy gole padną w drugiej połowie, dwa strzeli Lewandowski, w tym jeden z karnego.

Zagrać? Choć zżera mnie ciekawość, po zastanowieniu opuszczam stronę serwisu bukmacherskiego bez rejestracji. Nie mam pewności, czy nie byłby to mój pierwszy, z pozoru niewinny krok wiodący w kierunku niewielkiego, ale szybko rosnącego grona 35 319 osób, które – jak szacują autorzy najnowszych badań - przejawiają w Polsce „patologiczne zachowania hazardowe".

Nie tylko totolotek

W tej opowieści nie chodzi jednak o epatowanie marginalnym zjawiskiem z szerokiej palety polskich postaw wobec hazardu, w której dominują zachowania dalekie od uzależnień. Prowadzone od 2012 r. badania „rozpowszechnienia oraz identyfikacji czynników ryzyka i czynników chroniących od hazardu i innych uzależnień behawioralnych" w ostatniej, ubiegłorocznej edycji pokazały nawet lekki spadek odsetka Polaków sięgających po takie rozrywki. W grach o pieniądze uczestniczy obecnie 31,7 proc. mieszkańców kraju, czyli o 5,7 punktu procentowego mniej niż w roku 2019. Najczęściej wybieraną formą są w dodatku stosunkowo bezpieczne zakłady liczbowe Totalizatora Sportowego, po które sięgało 21,1 proc. grających, a dalej zdrapki (15,5 proc.) oraz loterie i konkursy esemesowe (5,1 proc.).

Bardzo niepokojącą zmianą w krajobrazie polskiego hazardu jest jednak szybki wzrost odsetka „grających niebezpiecznie" (wedle definicji opartej na powszechnie stosowanym w badaniach nad zjawiskiem kanadyjskim indeksie gier hazardowych CPGI). W skrócie – chodzi o tych, którym rezygnacja z grania zaczyna sprawiać trudność. Na przestrzeni niemal dekady, pomiędzy badaniem z 2015 i 2024 r., populacja mieszkańców Polski bawiących się hazardem w bezpieczny sposób spadła z 28,9 do 27,2 proc. W tym samym czasie nieznacznie – do wspomnianych 35 tysięcy – ubyło też Polaków patologicznie uzależnionych od gier na pieniądze. Tych, którzy wykazują przy tym zachowania świadczące o „umiarkowanym ryzyku uzależnienia", przybyło jednak aż o 0,6 punktu procentowego i dziś w zasięgu takiego zagrożenia znajduje się 1,3 proc. mieszkańców Polski. W przeliczeniu daje to już ok. pół miliona osób.

Tylko w latach 2019-2024 statystyczny gracz zwiększył wydatki na hazard średnio o 48 proc., czyli niemal 2 punkty procentowe ponad skumulowaną wysokość inflacji. Wzrosła także częstotliwość odwiedzin w przybytkach tej branży, która w czasie pandemii przeniosła swój operacyjny środek ciężkości do internetu i stała się dzięki temu dostępna przez całą dobę, niezależnie od miejsca zamieszkania. Jeszcze w 2015 r. 9,5 proc. Polaków dwa-trzy razy w miesiącu grało w totolotka. 3,8 proc. równie często kupowało zdrapkę, a 0,8 proc. z taką samą częstotliwością odwiedzało punkt z automatami o niskich wygranych. Dziś kupon Lotto dwa-trzy razy w miesiącu wysyła już tylko 6,1 proc. populacji, po zdrapki sięga 3,6 proc., a po automaty o niskich ↦

wygranych – ledwie 0,5 proc. W tym samym czasie odsetek miłośników kasyn internetowych oraz e-serwisów bukmacherskich obstawiających tam zakłady dwa do trzech razy w miesiącu nie uległ zmianie. Trzykrotnie wzrósł za to odsetek klientów, którzy robią to po kilka razy w tygodniu.

Stawki wciąż rosną

Wezwania do czujności i wskazywanie na groźne zmiany w polskiej konsumpcji hazardu, z którymi wychodzą badacze uzależnień, trafiają jednak w pustkę. Rząd woli widzieć w tym głównie walkę z szarą strefą i niewinne przesunięcia w strukturze wpływów podatkowych od gier pieniężnych.

W latach 2008-2023 liczba osób leczonych przez NFZ z rozpoznaniem patologicznego uzależnienia od hazardu wzrosła w Polsce z 969 do 3332, ale stało za tym – jak od razu podkreślają analitycy resortu zdrowia – głównie pojawienie się odpowiedniej oferty terapeutycznej w systemie leczenia uzależnień. Oficjalnie państwo ma problem pod kontrolą. W analizach porównawczych otoczenia prawnego branży hazardowej w Polsce wręcz podkreśla się, że rodzime przepisy należą dziś do najbardziej restrykcyjnych w UE. Oprócz państwowego Totalizatora Sportowego, który organizuje online gry hazardowe poprzez swoją spółkę Total Casino, oficjalnie działa w Polsce jedynie 18 podmiotów oferujących za zgodą resortu finansów zakłady wzajemne, najczęściej bukmacherskie.

Tylko w latach 2023-2024 legalne, a więc opodatkowane przychody krajowej branży hazardowej wzrosły z 74,33 do 94,14 mld zł – a więc o ponad 26 proc. Obroty najszybciej rosły operatorom salonów automatów do gier (36 proc.), ale tuż za nimi uplasowali się właściciele kasyn online (wzrost o 34,7 proc.). Narzekać z pewnością nie mogą także organizatorzy zakładów wzajemnych, głównie firmy bukmacherskie, które tylko w ub. roku zwiększyły przychody o 18,9 proc., do 16,42 mld zł.

24 lata

ma dziś statystyczny polski hazardzista

W porównaniu z punktem odniesienia, którym dla polskiej branży e-hazardowej jest rynek brytyjski, wart obecnie ok. 7 mld funtów rocznie, to wciąż niewiele. Nasi e-bukmacherzy już dziś mogą jednak z zadowoleniem konstatować, że zachowania polskich klientów upodabniają się do wyspiarskich. Ci, którzy grają, robią to coraz częściej i za coraz wyższe stawki. A stąd już blisko do stanu, który w raporcie o brytyjskim e-hazardzie opisywali niedawno badacze brytyjskiego National Center for Social Research, podkreślając ze zgrozą, że ok. 10 proc. najaktywniejszych użytkowników tamtejszych e-kasyn i serwisów bukmacherskich przynosi branży aż 70 proc. przychodów.

20 razy więcej

wydają na grę mający problem z hazardem w porównaniu z grającymi bezpiecznie

Śpisz? Zagramy za ciebie

Hazard plus internet, zwłaszcza ten mobilny, okazują się bowiem mieszanką o niezwykle wysokim potencjale uzależniającym. Nie chodzi o to, że jednakowo oddziałują one na każdego, kto w sieci natknie się na ofertę e-kasyna czy serwisu bukmacherskiego. Siła tego połączenia polega na skuteczności, z jaką hazard w wersji mobilnej uzależnia osoby najbardziej podatne na takie ryzyko. Znikają czasowe i przestrzenne bariery w dostępie, bo „do buka" lub kasyna nie trzeba już iść, być może wynajdując po temu kolejne usprawiedliwienia przed czujną rodziną.

Kasyno czy bukmacher w wersji online towarzyszy graczowi całą dobę. Zagrać można podczas przerwy obiadowej w pracy, w trakcie nudnego zebrania, nawet przy okazji wizyty w toalecie. Zainstalowane w telefonie algorytmy aplikacji hazardowych na bieżąco analizują zachowania użytkowników, przykładając je do zaimplementowanych matryc behawioralnych. Jeśli w poprzednich tygodniach grałeś w sposób świadczący o tym, że możesz mieć problem z kontrolą ryzyka, apka subtelnie przypomni o sobie, gdy np. zrobisz sobie przerwę na otrzeźwienie. Dostaniesz miłe powiadomienie *push*, możliwe nawet, że serwis przeleje na twój rachunek wirtualne pieniądze „na zachętę". Cokolwiek – bylebyś grał.

Niektóre aplikacje umożliwiają nawet zawieranie zakładów wzajemnych pod nieobecność gracza, np. w nocy. Algorytm obstawia je w imieniu użytkownika, w oparciu o analizę jego wcześniejszych decyzji. I oczywiście na jego koszt. Wiele zarejestrowanych w Polsce serwisów bukmacherskich oferuje rozwiązania chroniące klientów, np. limity czasu spędzanego na grze czy maksymalnej stawki, za jaką można obstawić, ale większość pozwala też klientom na własne ryzyko modyfikować działanie takich bezpieczników. Każdy z takich limitów można zresztą obejść w banalnie prosty sposób, przenosząc się z grą do innego serwisu. Oprócz podmiotów zarejestrowanych w Polsce, wyszukiwarka szybko przekieruje do kasyn i buków z zagranicy, które od ewentualnej wygranej nie potrącają doli dla nadwiślańskiego fiskusa.

Resort finansów optymistycznie szacuje, że przychody zarejestrowanych w Polsce firm oferujących zakłady bukmacherskie to już ok. 70 proc. polskich wydatków na zakłady wzajemne. Sami przedstawiciele bukmacherów są w tej sprawie ostrożniejsi. Ich zdaniem prawdziwa proporcja to jakieś 50-50.

Jedno nie ulega wątpliwości: w dynamice, z jaką rośnie rynek e-hazardu, odbija się także wysoki potencjał uzależniający takich usług. W Polsce obroty sektora w ciągu dekady urosły blisko czterokrotnie. Wspomniany wyżej rynek brytyjski ma podwoić obroty w ciągu najbliższych pięciu lat. W USA, gdzie w 2018 r. Sąd Najwyższy dopuścił możliwość legalizacji

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

e-hazardu na poziomie stanowym, przychody tej branży wzrosły w ciągu zaledwie pięciu lat blisko stukrotnie, czyli do ponad 150 mld dolarów w samym roku 2024.

Pieniądze oczywiście przypłynęły z innych sektorów gospodarki, do tego w sposób, który trudno nazwać zmianą na lepsze. Jak podkreślają Brett Hollenbeck, Poet Larsen i Davide Proserpio, autorzy artykułu naukowego pod znamiennym tytułem „The Financial Consequences of Legalized Sports Gambling", w 38 stanach, gdzie zalegalizowano e-hazard, zanotowano wzrost odsetka bankructw, zapotrzebowania na pożyczki konsolidacyjne oraz opóźnień w spłatach kredytów. W efekcie doszło tam do spadku zdolności kredytowej mieszkańców średnio o 0,3 proc. w porównaniu z okresem sprzed legalizacji.

Jazda na kole fortuny

Przeszło 40 proc. Polaków mających poważny problem z hazardem uważa tymczasem, że jest to aktywność opłacalna. Ankietowani wykazujący objawy ostrego uzależnienia od hazardu deklarowali, że na przestrzeni roku poprzedzającego badanie wydali na ten cel średnio 3302 zł, wygrywając przy tym ponad 4591 zł. Dla porównania, wśród grających bezpiecznie odsetek podzielających to przekonanie nie przekraczał 15 proc. Ich wydatki na gry pieniężne nie sięgały 185 zł rocznie. Wygrane – 100 zł.

Racjonalizacja uzależnienia to częste zjawisko wśród zapalonych hazardzistów. Prędzej czy później przychodzi także moment, gdy motywacją do dalszej gry stają się poniesione dotąd straty. Spłukany i zadłużony po uszy gracz wierzy, że uratować może go już tylko wielka wygrana. Odda długi, w symboliczny sposób zrekompensuje też bliskim wszystko, czego zaznali wskutek jego choroby. Uzależnieni często wyobrażają sobie scenę, gdy przynoszą do domu górę gotówki. Kupują większe mieszkanie, nowy samochód, jadą z rodziną na ekskluzywne wakacje. W tych wizjach nigdy nie ma jednak scenariusza w gruncie rzeczy najbardziej prawdopodobnego: że odebrawszy w końcu wymarzoną wielką wygraną, gracz obstawi za wszystko kolejne zakłady. W istocie chodzi bowiem nie o pieniądze i o wygrane, ale właśnie o to, żeby obstawić. I kolejny raz poczuć emocję towarzyszącą siadaniu na kole fortuny.

32-letnia Urszula, która po raz pierwszy posmakowała hazardu jako 13-latka, dziś po terapii, tak wspomina w podkaście „Skrawki" apogeum swojego uzależnienia: „Obstawiałam po kilkaset zakładów dziennie, bo psychicznie już nie umiałam zagrać o coś, co się wydarzy jutro czy za kilka dni. Grałam o to, co tu i teraz. O wyniki głosowania w Eurowizji, bo właśnie był konkurs. O czwartej nad ranem, kiedy w Europie nic się sportowo nie działo, potrafiłam zagrać o wyniki ligi filipińskiej koszykówki, mecz badmintona, nawet o krykiet, o którym nie miałam zielonego pojęcia. Doskonałe były zakłady o tenis stołowy, bo tam mecz trwa cztery-pięć minut. Czasem obstawiałam nawet to, który zawodnik zacznie rozgrywkę".

41,6 proc.

pracowników biur i administracji uczestniczy w grach hazardowych. To najwyższy odsetek spośród wszystkich grup zawodowych w Polsce. Najmniej liczną grupą są rolnicy (20,6 proc.)

E-hazard, futbol – dwa bratanki

W opowieści Urszuli powraca też wątek, bez którego nie można zrozumieć fenomenu popularności współczesnego e-hazardu. To współpraca, a raczej koegzystencja ze światem profesjonalnego sportu, zwłaszcza piłki nożnej. Największe firmy tego sektora regularnie wydają fortunę na reklamę sportową. Bukmacherzy sponsorują polską reprezentację piłkarską, nazwy ich serwisów widnieją też w oficjalnych nazwach kluczowych rozgrywek i lig – począwszy od tych najniższych.

To też nic oryginalnego. W tegorocznym sezonie rozgrywek angielskiej Premier League na 20 uczestniczących w niej klubów aż 11 podpisało kontrakt sponsorski z podmiotem z sektora e-hazardowego. Jeśli Brytyjczycy przejęli coś od polskich kolegów po fachu, to raczej zaangażowanie znanych komentatorów sportowych w reklamę buków. Nad Wisłą współpraca mediów sportowych ze światem e-hazardu przybrała formę symbiozy, która wątpliwości natury etycznej budzi już tylko u nielicznych (na łamach „TP" pisał o tym trzy lata temu Przemysław Wilczyński). Ale czy może to dziwić w sytuacji, kiedy na kontrakt ambasadorski z firmą bukmacherską zdecydował się nawet Zbigniew Boniek?

Hazard kupuje sobie na boiskach nie tylko dogodną przestrzeń operacyjną do gry o klientów. W przewrotny sposób racjonalizuje w ten sposób także decyzje samych graczy, pomaga im znaleźć usprawiedliwienie dla kontynuacji ryzykownych często zachowań. W przeciwieństwie do ruletki, gdzie o ewentualnej wygranej trudno myśleć inaczej niż jako o łucie szczęścia, sportowe zakłady wzajemne pozwalają wierzyć, że wygraną zawdzięcza się także doświadczeniu, wiedzy, spostrzegawczości i zmysłowi analitycznemu. Urszula, jak wielu nałogowych hazardzistów, po każdej większej wygranej czuła nie tylko euforię, ale także rodzaj dumy. „Uważałam się za mądrzejszą od najlepszych komentatorów sportowych" – wspomina.

Pod jednym względem Ula jest jednak wyjątkiem. Jest kobietą. W pułapkę e-hazardu najczęściej łapią się mężczyźni.

Zakład na śniadanie

W spektrum cech społeczno-demograficznych, które w sposób istotny wpływają na skłonność do ryzyka w trakcie gry hazardowej, na pierwszy plan wysuwają się przede wszystkim płeć i wiek. W całej polskiej populacji o pieniądze gra systematycznie 36,5 proc. mężczyzn i 27,2 proc. kobiet. Najczęściej są to osoby w wieku 24-35 lat (w tej grupie wiekowej hazardem para się aż 41 proc.) oraz 18-24 (37,5 proc.), choć niepokoić powinien także wysoki odsetek nieletnich, którzy już posmakowali zakładów bukmacherskich czy e-kasyna. Przyznaje się do tego co trzeci Polak przed 18. rokiem życia. Dla tego wycinka polskiego społeczeństwa aplikacja z zakładami bukmacherskimi czy dostęp do e-kasyna to już produkty codziennego użytku. Dla niektórych – wręcz jedyna sensowna alternatywa dla świata, który nie ma dla nich sensownej propozycji.

Ekonomia chłopskiego rozumu. Tak można by nazwać po polsku coś, co redakcja amerykańskiego miesięcznika „The Atlantic" ochrzciła kilka miesięcy temu terminem *bro-economy*. W skrócie, ↦

↦ chodzi o spektrum produktów i usług tworzonych przede wszystkim z myślą o młodych, zwłaszcza młodych mężczyznach, szukających okazji do szybkiego wzbogacenia. Jej cechą charakterystyczną są także nieustanne odwołania do „chłopskiego rozumu" i podważanie głosu autorytetów, które próbują wskazywać na potencjalne niebezpieczeństwa związane z korzystaniem z takiej oferty. Im częściej i głośniej mówią ci, że się mylisz, że nadmiernie ryzykujesz, tym bardziej nie powinieneś im ufać – zdają się mówić do swoich odbiorców właściciele giełd kryptowalut, aplikacji bukmacherskich i e-kasyn, serwisów do inwestowania na giełdzie i innych, zwykle także zagnieżdżonych w sieci przedsięwzięć obiecujących łatwy zysk niecierpliwym klientom.

Definiując *bro-economy*, publicystka „The Atlantic" Anne Lowrey wskazała właśnie na te trzy produktowe filary, na których ma stać ów fenomen. Na cokolwiek by jednak padło, chodzi w gruncie rzeczy o to samo. O szybki zysk, który wreszcie zapewniłby finansową stabilizację, jakiej nie daje nawet ciężka praca. I o dopaminowe kopniaki, towarzyszące takim zabawom na granicy, a często wręcza już poza granicą zdrowego rozsądku.

W rzeczywistości alternatywnej

Nie trzeba doktoratu z psychologii ani wielkiego doświadczenia w marketingu, żeby dostrzec pułapkę ukrytą w tych obietnicach. Problem w tym, że to przynęta niezwykle skuteczna, bo zbudowana w oparciu o dobrze zdiagnozowane emocje potencjalnych ofiar. Przede wszystkim o potrzebę samostanowienia, którą trudno zrealizować, gdy dobiegając trzydziestki, nadal mieszka się z rodzicami i można jedynie marzyć o kredycie na własne mieszkanie. Czy o mające mniej związku z rzeczywistością, ale subiektywnie równie silnie odczuwane przekonanie o istnieniu spisku politycznych i finansowych elit, które za wszelką cenę dążą do utrzymania *status quo*. Wreszcie – o tradycyjnie pojmowaną męskość, która każe nie tylko spłodzić potomka i zostawić po sobie coś kolejnym pokoleniom, ale przede wszystkim zapewnić godziwy byt najbliższym.Jeśli jesteś mężczyzną, mieszkasz w kraju wysoko rozwiniętym i masz od 18 do 29 lat, to prawdopodobieństwo, że regularnie obstawiasz zakłady u buka lub w jakimś kasynie internetowym, wynosi aż 42 proc. – taki wniosek płynie z badania przeprowadzonego niedawno przez instytut Pew Research.

90,5 proc.

Polaków uważa, że od hazardu można się uzależnić. Wśród grających ten sam odsetek spada do 82,5 proc.

W Polsce przeszło 6 mln Polaków inwestuje również w kryptowaluty – twierdzą autorzy badania przeprowadzonego wiosną 2025 r. przez firmę UCE Research. Inne badanie, na zlecenie firmy Binance, szacuje rodzimą populację posiadaczy kryptowalut na 4 mln, a nasz rynek krypto opisuje jako kluczowy w Europie z uwagi na liczebność potencjalnych klientów w wieku do 35 lat. Nawet jeśli ten wycinek rzeczywistości opisywany jako *bro-economy* lepiej oddają te ostatnie wyniki, nie da się nie zauważyć, że jest to nadal zjawisko o masowej już skali. Dość wspomnieć, że na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych pod koniec 2024 r. grało... 267 tys. osób.

Nazywanie tego trendu nową ekonomią jest zapewne przesadą, ale z pewnością to poważny sygnał ostrzegawczy dla rządzących, ekonomistów i pracodawców. W sztafecie pokoleń, którą są społeczeństwo i gospodarka, kolejna zmiana odmawia ustawienia się na linii startu. Bynajmniej nie z lenistwa. Warunki wyścigu, które zdefiniowali poprzednicy, następcy uznali za nieuczciwe, bo nie tylko nie dają im szans na poprawę wyniku. W zasadzie wykluczają nawet jego wyrównanie. To świat, w którym zakup losu lub obstawienie zakładu wydaje się działaniem bardziej racjonalnym od spędzenia ośmiu godzin w pracy.

©℗ MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny (pełniący obowiązki): Michał Kuźmiński
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępczyni redaktora naczelnego: Ewelina Burda
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Dyrektor ds. transformacji: Michał Bagiński
Promocja: Michał Sowiński (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Karolina Biały, Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Justyna Hernas (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

B( )NUS

TYGODNIK POWSZECHNY

Ogłaszamy Nagrodę BONUS!

Nowe wyróżnienie „Tygodnika Powszechnego”
dla tych, którzy tworzą przestrzeń dialogu i pokazują, że wspólne dobro jest możliwe.
Kandydatów mogą zgłaszać także nasze Czytelniczki i nasi Czytelnicy.

BONUS to nowa nagroda „Tygodnika Powszechnego” – stworzona po to, by wyróżniać ludzi, którzy wnoszą do debaty publicznej więcej sensu niż sensacji.

Słowo *bonus* po łacinie znaczy „**dobry**”. Tak rozumiemy też ideę nagrody – jako wyróżnienie dla tych, którzy w przestrzeni publicznej nie poddają się logice uproszczeń i polaryzacji.

To nagroda dla osób, które łączą zamiast dzielić, rozmawiają zamiast krzyczeć, tworzą przestrzeń porozumienia tam, gdzie najłatwiej o podziały.

Przyznajemy ją dziennikarzom, twórcom kultury, liderom, społecznikom i innowatorom – tym, którzy swoją pracą pokazują, że dialog, rzetelne słowo i odpowiedzialne działanie wciąż mają moc.

BONUS jest przypomnieniem, że lepsza wspólnota jest możliwa. Że w świecie zdominowanym przez sensację i algorytmy wartością jest uczciwa rozmowa, odwaga niuansowania i otwartość na drugiego człowieka.

Od 80 lat wierzymy, że słowo i działanie mogą łączyć ludzi. BONUS przyznajemy tym, którzy robią to dziś najskuteczniej.

Ważne terminy:

do 15.10 – możliwość zgłaszania nominowanych

29.10 – ogłoszenie nominowanych do nagrody

29.11 – uroczystość wręczenia nagród

Gala nagrody, podczas której wręczymy pięć kamiennych statuetek, odbędzie się 29 listopada o godzinie 19.00 w Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAK.

Więcej szczegółów na **tygodnikpowszechny.pl/bonus**

Kategorie Nagrody Bonus

BONUS przyznawany jest w pięciu kategoriach, bo wierzymy, że wspólne dobro rodzi się w różnych przestrzeniach życia publicznego.

Media, które opisują świat bez uproszczeń. Kultura, która uczy wrażliwości i otwartości. Działalność społeczna, która odbudowuje zaufanie. Ludzie – liderki i liderzy – którzy potrafią inspirować. I technologia, która może służyć łączeniu, a nie dzieleniu.

- **MEDIA**
  Nagradzamy ludzi mediów, którzy nie pogłębiają polaryzacji. Takich, którzy odważnie stawiają na pluralizm, rzetelność i dialog – zamiast sensacji i klikbajtu.
- **KULTURA**
  Wyróżniamy twórców kultury, którzy otwierają przestrzeń dla różnych głosów. Takich, którzy potrafią mówić wieloma językami – nie uciszając, nie unieważniając.
- **DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA**
  Honorujemy ludzi i inicjatywy, które odbudowują wspólnotę. Ich działania sprawiają, że mimo różnic wciąż mamy chęć i przestrzeń do rozmowy.
- **LIDER/LIDERKA**
  Nagradzamy przywódczynie i przywódców za wybitne dokonania w życiu publicznym. Osoby budujące wspólnotę, które inspirują i pociągają za sobą innych i którym charyzma nie przeszkadza w efektywnym działaniu. Ludzi promujących porozumienie, dialog, współpracę, a przy tym pozostających na szpicy rozwoju własnych organizacji.
- **TECHNOLOGIA**
  Wyróżniamy innowacje, które włączają zamiast wykluczać. Narzędzia ułatwiające dostęp do wiedzy, budowanie więzi i rzetelną rozmowę.

Zgłoś swoją nominację do nagrody

Nominacje do Nagrody BONUS mogą zgłaszać nasze Czytelniczki i nasi Czytelnicy oraz organizacje społeczne.

W formularzu należy krótko opisać osobę oraz wskazać, jakie działania zostały podjęte i jaki miały wpływ na przestrzeń publiczną. Można także dołączyć materiały uzupełniające – artykuły, filmy, referencje.

Kandydatury mogą być zgłaszane również przez członków Kapituły Nagrody.

Zgłoszenia można wysłać na adres: **bonus@tygodnikpowszechny.pl**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRAJ

WIĘCEJ NIŻ WOJSKO

Na niewiele zdadzą się nam kosztowne zakupy uzbrojenia dla armii, jeśli nie staniemy się odporni na dezinformację, ataki cybernetyczne wymierzone w banki i elektrownie oraz na klasyczne akty dywersji: podpalenia i zatrucia wody.

MARCIN KĘDZIERSKI

Minął miesiąc od wtargnięcia około dwudziestu dronów w polską przestrzeń powietrzną. Opadły już zatem emocje wojenne, które towarzyszyły nam również przy okazji rosyjsko-białoruskich manewrów Zapad 2025. Ludzie w Polsce (przynajmniej chwilowo) przestali myśleć o wykupywaniu makaronu w sklepach i zajęli się swoimi sprawami. Podobnie jak media, a zwłaszcza politycy, którzy wrócili do standardowych tematów polsko-polskiej wojny. Przynajmniej do momentu, kiedy znowu coś na nas spadnie.

Zaiste niezwykła jest ta sinusoidalność naszej debaty publicznej, a co za tym idzie i polityki, w temacie potencjalnie grożącej nam wojny. Już w marcu 2024 r. w wywiadzie dla „Guardiana" Donald Tusk ogłaszał, że zostało nam 2-3 lata do rosyjskiej inwazji. To by oznaczało, że mamy bardzo niewiele czasu, a nasze życie publiczne powinno niemal w całości kręcić się wokół tematyki wojennej.

Tak jednak nie jest. Nietrudno zatem zadać pytanie, jak się sprawy mają z tą wojną – w końcu będzie czy nie będzie? Mamy się bać czy nie mamy? Wierzyć w artykuły o potężnej Rosji stojącej u naszych bram czy raczej w te wieszczące jej szybki upadek gospodarczy i militarny? Szykować się do ewakuacji czy raczej inwestować w rozwój tu, na miejscu?

Zdaję sobie oczywiście sprawę, że na tak postawione pytania nie ma prostej, jednoznacznej odpowiedzi. Problem polega bardziej na tym, że one wciąż wiszą w powietrzu i są tak naprawdę ignorowane.

Wracają tylko co jakiś czas, by po chwili znów zniknąć.

Rozedrgana Polska

Podobna sinusoidalność dotyczy międzynarodowego wymiaru naszego bezpieczeństwa, choć w tym przypadku przyczyny są zgoła odmienne. Mniej więcej co kwartał powraca dyskusja o wiarygodności amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa wobec Polski. Pojawia się jakaś wypowiedź prezydenta Donalda Trumpa, w reakcji na którą albo nasz prezydent leci do USA potwierdzić stabilność sojuszniczych zobowiązań, albo rząd akcentuje znaczenie europejskich gwarancji. Czasem obie te reakcje ze sobą współgrają. Potem sprawa cichnie, przynajmniej do kolejnej niepokojącej wypowiedzi amerykańskiego prezydenta.

Na to nakładają się oczywiście rosyjskie prowokacje, także w sinusoidalnej częstotliwości, oraz kolejne informacje o nowych zakupach uzbrojenia dla na-

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

szego wojska, które jednak nie układają się w spójną opowieść. W efekcie chyba już nikt nie wie, co, gdzie, za ile, a co najważniejsze – dlaczego kupujemy. Mamy do czynienia z jakimś dziwacznym rozchwianiem i miotaniem się od ściany do ściany, które nie pozostaje z pewnością bez wpływu na społeczną (pod)świadomość.

W tym ogólnym rozedrganiu zadaniem mediów jest próba przynajmniej częściowego uporządkowania rzeczywistości. Na samym początku należy zwrócić uwagę na to, że Rosja zaangażowała zdecydowaną większość swojego potencjału militarnego na kierunku ukraińskim i dopóki wojna się definitywnie nie skończy wygraną Kremla, jej armia będzie tam uwiązana. A że całkowite zwycięstwo oznacza w praktyce kapitulację Kijowa, i co za tym idzie całkowite podporządkowanie całej Ukrainy Rosji (dziś należące do kategorii *science fiction*), to na horyzoncie nie widać możliwości przesunięcia rosyjskich sił na inny niż ukraiński kierunek.

Świetnie pokazały to manewry Zapad 2025, które zelektryzowały debatę publiczną w Polsce i postawiły państwo (skądinąd słusznie) w stan najwyższej gotowości. W tych hucznie zapowiadanych od dawna ćwiczeniach udział wzięło w porywach kilkanaście tysięcy rosyjskich żołnierzy. Moskwa nie ma bowiem jakiejś drugiej, zapasowej armii ukrytej gdzieś na Syberii – dziś niemal w całości jest ona zaangażowana na Ukrainie. To zaś oznacza, że ryzyko pełnoskalowej, lądowej ofensywy na państwa NATO, w tym Polskę, jawi się jako mało prawdopodobne.

Nawet gdyby Władimir Putin podjął decyzję o takim ataku, czego wykluczyć nie sposób, jego skala będzie mocno ograniczona.

Czym kieruje się Rosja

Ta obserwacja ma zresztą kluczowe znaczenie dla całej dyskusji o tzw. potencjale odstraszania, która zdominowała naszą debatę o bezpieczeństwie w ostatnich latach. W zasadzie bezrefleksyjnie przyjęliśmy założenie, że jeśli zainwestujemy wystarczająco dużo w zbrojenia, zwłaszcza w stworzenie „najpotężniejszej armii lądowej na Starym Kontynencie", Rosja nie podejmie decyzji o ataku. Zgodnie z taką logiką warto inwestować jak najwięcej w zakup najnowocześniejszej broni, nawet o wartości 5 proc. PKB, bo wojna jest zawsze ogromnym kosztem, który uzasadnia każdy wydatek.

Problem polega na tym, że Kreml kieruje się inną logiką. Gdyby bowiem prezydent Putin i jego otoczenie dokonywali racjonalnych kalkulacji, Rosja nie powinna decydować się na „specjalną operację wojskową", bo przy ówczesnym, szeroko rozumianym potencjale Rosji z jednej strony, a Ukrainy z drugiej taka operacja nie miała szans powodzenia. A mimo to 24 lutego 2022 r. rosyjskie czołgi najechały naszego wschodniego sąsiada. To zaś oznacza, że decyzja Kremla o ewentualnej lądowej, pełnoskalowej ofensywie na Polskę czy inne państwa NATO będzie zależna nie tylko od analizy porównawczej potencjałów, co raczej od zdolności Rosji do rozpoczęcia jakiejkolwiek ofensywy. Niezależnie od tego, czy ma ona rzeczywiste szanse na sukces.

Oczywiście inaczej wygląda sytuacja państw bałtyckich, a inaczej Polski, bo istnieją różnice co do tzw. głębi strategicznej (Litwa, Łotwa i Estonia są bardzo małe i nie mają gdzie się cofnąć w razie silnego ataku). Co do zasady jednak rosyjski potencjał lądowy został mocno wyczerpany przez wojnę na Ukrainie i nie widać specjalnie przesłanek, aby miał szansę zostać szybko odbudowany. A nawet jeśli tak się stanie, to wracamy do wątku ukraińskiego – jak długo Kijów będzie niepodległym podmiotem stosunków międzynarodowych, tak długo Moskwa nie będzie w stanie skoncentrować swojego potencjału militarnego na innym kierunku.

Co naprawdę nam grozi

Czy to znaczy, że wojna nam nie zagraża? Paradoks polega na tym, że dziś ↦

jesteśmy dobrze przygotowani na hipotetycznie możliwą, ale niewielką ofensywę lądową (zakładając m.in. wsparcie lotniczo-wywiadowcze ze strony NATO, a nie mamy przesłanek, by w nie wątpić, co pokazała choćby akcja holenderskich F-35 w trakcie wrześniowego ataku rosyjskich dronów). Gorzej byłoby z odpowiedzią na inne wrogie działania, gdzie Kreml ma znacznie bardziej rozbudowany potencjał. Dlatego wizja okopów na wschodzie Polski czy jakiejś manewrowej obrony na linii Wisły może jawić się jako atrakcyjny publicystyczny „strzał", ale nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością. Zdecydowanie bardziej grozi nam nękanie przy użyciu środków napadu powietrznego (przede wszystkim drony), narzędzi cybernetycznych (ataki na infrastrukturę cyfrową administracji publicznej oraz banków, na systemy zarządzania szeroko rozumianą energetyką, ruchem kolejowym, lotniczym etc.), klasycznych działań dywersyjnych (podpalenia, zatrucie wody, przecięcia podmorskich kabli, niszczenie rurociągów, zamachy bombowe etc.) czy wreszcie dezinformacji, destabilizującej życie społeczne i polityczne.

Zresztą, z tym wszystkim w ostatnich latach, a zwłaszcza miesiącach, mamy już do czynienia. Tyle że przed podobnymi zagrożeniami nie sposób obronić się przy użyciu „największej armii lądowej w Europie". Czołgi czy systemy artylerii rakietowej typu HIMARS, o których debatujemy od miesięcy i na które wydajemy ciężkie miliardy, są nieprzydatne w zwalczaniu tak opisanych zagrożeń. Nie postuluję oczywiście całkowitej rezygnacji z odbudowy sił lądowych, zwłaszcza mając na uwadze skalę przekazanego sprzętu wojskowego dla Ukrainy. Chodzi mi raczej o konieczność wyjaśnienia społeczeństwu, jaka logika stoi za ogromnymi wydatkami publicznymi na zakup konkretnych rodzajów uzbrojenia, zwłaszcza w sytuacji, kiedy według prognoz nasz dług publiczny ma w perspektywie końca dekady wzrosnąć do 75-80 proc. PKB, co może wstrząsnąć polską gospodarką.

Rozumiem, że wojskowi chcą wykorzystać okazję do przeprowadzenia gruntownej modernizacji – to ich obowiązek i trudno mieć o to pretensje. Zwłaszcza jeśli ostatnie 35 lat było czasem ogromnych zapóźnień i niepowodzeń, czego świetnym przykładem jest całkowita klęska Programu Modernizacji Sił Zbrojnych na lata 2014-2022. Po to mamy jednak polityczną kontrolę nad armią, aby perspektywę generałów zestawiać z szerszą analizą rzeczywistości. W końcu wojna jest przestrzenią także polityczną, a nie wyłącznie wojskową. Nie jest również tak, że każdy wydatek na zbrojenia jest sensownie uzasadniany.

Choć przyjęto w końcu Program Ochrony Ludności na lata 2025-2026, niektóre samorządy nie otrzymały jeszcze środków na jego realizację, chociaż muszą je wydać do... końca tego roku.

Obrona cywilów na łopatkach

Ta szersza analiza pokazuje nam, że mamy do czynienia z szeregiem innych wyzwań, również dotyczących bezpieczeństwa kraju, które wymagają nierzadko sporych, a niekiedy też bardzo pilnych inwestycji. Tym bardziej że Rosja może w najbliższym czasie zintensyfikować akty agresji, których – np. w postaci podpaleń – dość systematycznie doświadczamy już od pewnego czasu. Patrząc zwłaszcza na rozwój przemysłu dronowego w Rosji, nie można wykluczyć, iż w niedalekiej przyszłości możemy spodziewać się regularnego nękania nalotami przy użyciu nieuzbrojonych bezzałogowców, a może nawet wyposażonych w głowice bojowe. Wiemy już doskonale, że na dłuższą metę nie jesteśmy w stanie ich strącać przy użyciu myśliwców i drogich rakiet. Dlatego potrzebujemy „na wczoraj" skutecznego, a zarazem ekonomicznie efektywnego systemu obrony przeciwdronowej. Zresztą, wiedzieliśmy to już, zanim rosyjskie Gerbery wleciały do Polski przed miesiącem. To banał, ale jeśli na jakimś odcinku nie warto oszczędzać, to jest nim właśnie obrona powietrzna.

Drugim zadaniem na wczoraj jest kwestia obrony ludności przed takimi zagrożeniami, w co wchodzi zarówno system informowania, jak i infrastruktura schronowa. Staram się dość wnikliwie obserwować politykę publiczną i nie dostrzegłem w ostatnich tygodniach jakichś zintensyfikowanych działań państwa na tym kierunku. Od 24 lutego 2022 r. zrobiliśmy w tym obszarze naprawdę niewiele, co świetnie udowodniła reakcja (a raczej jej brak) na alarm przeciwlotniczy w powiecie chełmskim, ogłoszony w sobotę 13 września. Oczywiście mamy nową ustawę o obronie cywilnej (weszła w życie 1 stycznia 2025 r.), ale jeśli faktycznie wiszą nad nami poważne zagrożenia, do czego zresztą przekonują nas politycy, tempo jej wdrożenia w życie jest co najmniej opieszałe. Pomijając krytyczne analizy dotyczące samego aktu prawnego, które wskazywały choćby na kolizję zakresów odpowiedzialności różnych organów włączonych w ochronę ludności oraz zarządzanie kryzysowe, wystarczy zauważyć, że proces wydawania rozporządzeń wykonawczych do ustawy nie został do dziś ukończony. Co więcej, choć przyjęto w końcu rządowy Program Ochrony Ludności na lata 2025-2026, niektóre samorządy nie otrzymały jeszcze środków na jego realizację, chociaż muszą je wydać do... końca tego roku.

Fachowcy na jedną ósmą etatu

W samorządach brakuje też wykwalifikowanych kadr, które mogłyby zająć się na poważnie tym tematem. A nie ma ich choćby dlatego, że płace w administracji samorządowej są tak niskie, iż trudno znaleźć ludzi chętnych do pracy. W efekcie realizacja zadań z zakresu ochrony ludności realizowana jest przez urzędników w wymiarze jednej czwartej, a nawet jednej ósmej etatu, jak wskazują przedstawiciele niektórych gmin. W tej sprawie u ministra spraw wewnętrznych Marcina Kierwińskiego w sierpniu interweniowało m.in. Stowarzyszenie Gmin i Powiatów Wielkopolski, prosząc o dodatkowe środki właśnie na zatrudnienie dodatkowych pracowników realizujących zadania wynikające z ustawy o ochronie ludności.

Ten przykład udowadnia, że o bezpieczeństwie państwa należy myśleć w sposób kompleksowy. Kwestie militarne to tylko jeden z obszarów, obok którego równie ważną rolę odgrywają: bezpieczeństwo informacyjne, bezpieczeństwo energetyczne czy bezpieczeństwo zdrowotne, a ponad wszystkim – bezpieczeństwo administracyjne, opisujące zdolność instytucji publicznych do koordynowania działań rozmaitych służb i innych

podmiotów. Niestety, łatwiej jest stanąć na konferencji prasowej i ogłosić zakup nowych okrętów podwodnych (nazwanych swoją drogą przez premiera Tuska „łodziami"), niż pochwalić się rzeczywistym usprawnieniem procesów zarządzania w administracji publicznej. Nie negując potrzeby inwestycji we flotę wojenną (m.in. ze względu na konieczność ochrony bałtyckiej infrastruktury energetycznej), warto byłoby poświęcić więcej uwagi na uporządkowanie choćby systemu zarządzania kryzysowego i relacji pomiędzy przedstawicielami władzy centralnej w terenie i jednostkami samorządu terytorialnego oraz organizacjami pozarządowymi, których rola jest nie do przecenienia. Ostatnia powódź w dorzeczu Odry z września 2024 r. pokazała bowiem, że mamy w tym zakresie do czynienia ze sporym chaosem kompetencyjno-informacyjnym (pomijając już kwestie braku sprawnego systemu szyfrowanej łączności pomiędzy służbami, o którym mówi się od wielu lat). Studia przypadku reakcji państwa na wspomnianą powódź, które niezależnie od siebie przygotował zespół pod kierunkiem Jakuba Wygnańskiego z Fundacji Stocznia oraz zespół kierowany przez prof. Marcina Kotrasa w raporcie przygotowanym na zlecenie Fundacji im. Stefana Batorego, stanowią w tej materii niezwykle cenne źródło wiedzy.

■■■

Podsumowując, choć nie mamy większego wpływu na decyzje podejmowane przez Kreml, a strategia odstraszania raczej nie daje nam żadnych gwarancji, pozostaje z jednej strony zachowanie spokoju i niepodkręcanie okołowojennego rozedrgania, z którego nic poza chaosem nie wynika, a z drugiej strony systematyczna, energiczna praca nad niezbyt spektakularnymi elementami szeroko rozumianego systemu bezpieczeństwa. Jeśli faktycznie mamy wydawać tak dużo na obronę, do czego się zobowiązaliśmy na forum NATO, spożytkujmy te ogromne środki na realizację bardziej rozsądnych celów, układających się w systemowe zabezpieczenie państwa, niż wyłącznie na zakup drogiego uzbrojenia, głównie zza oceanu.

© MARCIN KĘDZIERSKI

CALACUDA / ADOBE STOCK

Nieskruszone tabu

JERZY DZIEKOŃSKI

ZDROWIE | Wyleczenie z nowotworu to sukces, ale terapia raka prostaty czasami niesie ze sobą skutki uboczne. Jak pacjenci sobie z nimi radzą i czego potrzebują od systemu opieki zdrowotnej?

To nie tak, że nie jestem wdzięczny za uratowanie mi życia. Jestem. I to bardzo. Zostałem wyleczony ze śmiertelnej choroby, chodzę po ziemi, choć mogłem już w niej leżeć – mówi Adam, 59-latek po zabiegu prostatektomii. Po chwili dodaje: – Tylko trudno pogodzić się z konsekwencjami, o których szczegółowo nikt mi nie opowiedział. A także z tym, że skuteczna, systemowo zorganizowana pomoc jest w naszym kraju niedostępna, choć w wielu państwach Europy stała się czymś normalnym.

Chory musi to usłyszeć

Rak prostaty jest w Polsce najczęściej diagnozowanym nowotworem u mężczyzn. W ciągu ostatniej dekady liczba odnotowanych zachorowań wzrosła niemal dwukrotnie – z 12,8 tys. w 2013 r. do 24,4 tys. w 2024. Rośnie również udział pacjentów leczonych chirurgicznie (z 31 proc. nowo zdiagnozowanych w 2019 r. do ponad 40 proc. w 2023), to zaś związane jest z ryzykiem dotkliwych dla mężczyzn powikłań: utraty sprawności seksualnej, nietrzymania moczu, a także związanych z nimi problemów emocjonalnych.

Istotne znaczenie ma również struktura wiekowa pacjentów. Zapadalność jest procentowo najwyższa powyżej 65. roku życia (ponad trzy czwarte przypadków). Przed pięćdziesiątką występuje rzadko (0,1 proc.), ale już w grupie między 50. a 64. rokiem stanowi niemal jedną czwartą rozpoznań. Właśnie ci ludzie powikłania odczuwają najsilniej: demolują one życie intymne, rodzinne, społeczne i ekonomiczne. Jeden na czterech chorych z powodu raka stercza umiera. To druga najczęstsza, po nowotworach płuc, przyczyna zgonów z powodów onkologicznych.

– Po operacji lub radioterapii, kiedy chory uzyskuje wynik korzystny, a PSA jest nieoznaczalne i wraca kontynencja [zdolność do utrzymania moczu – red.], ↦

↦ powracają też pytania o sprawność seksualną. Coraz większa liczba mężczyzn zaczyna o tym mówić – przekonuje prof. Jakub Dobruch, kierownik Kliniki Urologii Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego w Warszawie oraz wiceprezes Polskiego Towarzystwa Urologicznego.

Jego zdaniem powikłania to aspekt, któremu należy poświęcić najwięcej uwagi w rozmowie przed zabiegiem, i nie operować z powodu raka stercza pacjentów, którzy nie akceptują ryzyka utraty zależnego od woli wzwodu. Pozytywne jest to, że zastąpienie chirurgii klasycznej i laparoskopowej operacjami robotycznymi przyniosło większą precyzję zabiegów i większe szanse na oszczędzenie tkanek wokół prostaty.

– Niezależnie od klasy systemu robotycznego i doświadczenia operatora, ryzyko utraty zdolności do spontanicznej erekcji waha się od kilkunastu do nawet stu procent. Nie wynika to jedynie z różnic w umiejętnościach chirurgów, ale przede wszystkim z uwarunkowań anatomicznych gruczołu krokowego. Prostata ma szczególne posadowienie w miednicy, do gruczołu przylegają pęczki nerwowo-naczyniowe, które są odpowiedzialne za odruchowe wywołanie erekcji. Pomiędzy pęczkami a sterczem nie ma jasnej granicy. Rak może naciekać – wyjaśnia prof. Dobruch. – Jeżeli mamy do czynienia z nowotworem o dużej złośliwości, a w rezonansie widzimy, że nowotwór występuje w bezpośrednim sąsiedztwie pęczków, to chcąc usunąć chorobę nowotworową, musimy usunąć ów pęczek. Jeżeli tego nie zrobimy, narazimy chorego na ryzyko pozostawienia części nowotworu. I tę informację chory musi usłyszeć. Jeżeli usunę jeden pęczek i zachowam drugi w sposób właściwy, to ryzyko utraty zależnego od woli wzwodu określane jest na ok. 50 proc. W przypadku zachowania pęczków po obu stronach stercza ryzyko wynosi ok. 20 proc.

60 procent szans

Adam wiedział, że znajduje się w grupie ryzyka, bo na raka prostaty chorował jego starszy brat. Zgodnie z zaleceniami rokrocznie wykonywał badanie poziomu PSA. Wyniki utrzymywały się w normie. Do czasu. Pięć lat temu poziom antygenu okazał się podwyższony. W ciągu pół roku od diagnozy Adam był już po operacji.

CALACUDA / ADOBE STOCK

Mężczyźni są daleko od tego, co wywalczyły kobiety chorujące na raka piersi. Amazonki stanowią silną i solidarną grupę. **Faceci zamykają się w sobie. Wstydzą się.**

– Usłyszałem krótko, jakie mogą być konsekwencje: ubezpłodnienie, nietrzymanie moczu i impotencja. Lekarz dodał, że ta pierwsza jest nieunikniona, w drugiej kwestii daje mi sto procent gwarancji, a szanse na powrót sprawności seksualnej ocenił na 60 proc. Przez myśl mi nie przeszło, że mnie to dotknie. A powinno – przyznaje. – Po operacji okazało się, że razem z prostatą usunięto mi z jednej strony pęczki. Od ponad trzech lat nie miałem spontanicznej erekcji.

Rak prostaty nie był pierwszym nowotworem, z jakim zetknął się 57-letni Aleksander. 3,5 roku temu zdiagnozowano u niego guz na migdale. Nowotwór został wycięty przez lekarzy z Wojewódzkiego Centrum Onkologii w Gdańsku. W lipcu ubiegłego roku, podczas wizyty kontrolnej lekarka prowadząca zwróciła uwagę na podwyższony wynik PSA, po czym skierowała pacjenta do urologa. Podejrzenie raka prostaty zostało potwierdzone.

Okres przed operacją, jak przyznaje Aleksander, zajęło mu projektowanie czarnych scenariuszy – że po zabiegu nie będzie już mężczyzną, że już nigdy nie doświadczy bliskości z kobietą. Dziś od operacji minęło kilka miesięcy. Aleksander nie odzyskał funkcji seksualnych, ale nie traci nadziei, bo w jego przypadku jest szansa – w czasie zabiegu udało się oszczędzić pęczki nerwowo-naczyniowe. – To, co zawodzi, to totalny brak wsparcia. I przed, i po operacji – uważa Aleksander. – Jako mężczyźni jesteśmy bardzo daleko od tego, co wywalczyły kobiety chorujące na raka piersi. Amazonki stanowią silną i solidarną grupę, a faceci zamykają się w sobie. Wstydzą się mówić o swojej niesprawności. Nawet na grupie facebookowej poświęconej rakowi prostaty częściej głos zabierają kobiety: żony lub córki chorujących mężczyzn.

Dewastujące doświadczenie

Andrzej Gryżewski, seksuolog i psycholog kliniczny, autor bestsellera „Sztuka obsługi penisa", nie ma wątpliwości: – Powikłania po leczeniu onkologicznym, szczególnie po prostatektomii, są dla wielu mężczyzn doświadczeniem głęboko dewastującym. Problem zaburzeń erekcji nie sprowadza się jedynie do fizycznej niemożności odbycia stosunku. Uderza też w poczucie męskości, własnej wartości i zdolności do bycia pełnoprawnym partnerem.

Wielu mężczyzn mówi o poczuciu utraty tożsamości seksualnej, o wstydzie i lęku przed odrzuceniem. Jest to trudne także dla ich partnerek. Niejednokrotnie czują się odrzucone i niepożądane, a zarazem bezradne wobec cierpienia swojego partnera. W efekcie problem braku erekcji nie jest wyłącznie kwestią medyczną. To również głęboki kryzys relacyjny i psychologiczny.

Doświadcza tego Alicja Szczepańska, wiceprezeska wspierającej pacjentów szczecińskiej Fundacji 120/80, autorka profilu na Instagramie „Uszczypnięta przez raka", żona 52-letniego Marka, u którego w 2022 r. zdiagnozowano raka prostaty. Mężczyzna przeszedł uciążliwe leczenie onkologiczne, a w trakcie operacji robotycznej okazało się, że komórki nowotworowe zajęły węzły chłonne

oraz pęczki nerwowo-naczyniowe. Pod nóż obok gruczołu prostaty poszły więc także one. Konieczna była również radioterapia i farmakoterapia, redukujące libido do zera.

Alicja przyznaje, że Marek jest miłością jej życia. Poznała go po rozwodzie z pierwszym mężem. To on przywrócił jej wiarę w mężczyzn, stał się jej namiętnością i najlepszym przyjacielem. Są razem od dekady, mają wspólną córkę i razem wychowują syna z poprzedniego małżeństwa Alicji.

– Nic mnie tak nie przeorało psychicznie jak choroba męża. Przetrwałam rozwód, śmierć taty, ale rak Marka to inny kaliber. Wpadłam w depresję, nie byłam w stanie pracować – wspomina Alicja. – Mozolnie próbujemy poskładać nasze życie. Co wieczór kładę się do łóżka z mężczyzną mojego życia i choć wiem, że nic w naszej sypialni się nie wydarzy, to nie mogłabym być z kimkolwiek innym.

Życie może nabrać barw

Alicja ból przekuwa w działanie. Udziela się w fundacji, organizuje spotkania z seksuologami i psychologami dla pacjentów po leczeniu, dzieli się informacjami na temat rekonwalescencji. Próbuje przebić się też z ideą zorganizowania wsparcia systemowego dla rodzin pacjentów zmagających się z nowotworem.

Aleksander jest w trakcie rehabilitacji. Przyjmuje leki na potencję i korzysta z pomocy rehabilitantki urologicznej, za której świadczenia płaci z własnej kieszeni. Próbuje też pomagać innym, którzy, podobnie jak on przed operacją, wpadli w psychiczne czarne dziury. Czy uda mu się odzyskać sprawność? Kluczowe będą najbliższe dwa lata.

Adam rekonwalescencję ma za sobą. Onkologicznie jest zdrowy od kilku lat. – Na pierwszej wizycie kontrolnej lekarz powiedział, że ani brak nasienia, ani impotencja nie muszą oznaczać braku satysfakcji seksualnej. Wspomniał o suchym orgazmie, zjawisku fizjologicznie dobrze rozpoznanym, choć dość zagadkowym, jeśli chodzi o towarzyszące mu doznania, dużo mocniejsze niż przy normalnym orgazmie. Miał rację. Nasze życie intymne zmieniło się, ale nabrało też nowych, nieznanych wcześniej barw. Sami znaleźliśmy na to sposoby. I nie mówię tu tylko o technikach wzbudzania erekcji, ale o całej gamie zachowań, które i żonie, i mnie dają satysfakcję.

Moi rozmówcy uważają, że przełamanie tabu, jakim są problemy seksualne po leczeniu onkologicznym, to konieczność przed dyskusją o zaprojektowaniu efektywnego systemu pomocy dla rodzin dotkniętych rakiem. Niezbędne jest tworzenie grup wsparcia i objęcie refundacją NFZ wizyt u psychoterapeutów i seksuologów.

– Kompetentny urolog może bardzo pomóc. Tylko musi mieć czas i dobrą wolę, żeby pewne kwestie wyjaśnić. Mówię głównie o wizytach kontrolnych na NFZ. Co pół roku robię badanie poziomu PSA, idę na spotkanie z lekarzem, a on poświęca mi kilka minut. W tak krótkim czasie trudno poważnie porozmawiać. Jeśli sam o czymś wspominam, on z reguły to potwierdza i mówi: „tak, proszę tak robić" – ubolewa Adam.

Na własną rękę

– W trakcie diagnostyki i leczenia, zarówno mąż, jak i ja byliśmy bardzo zmobilizowani. Szliśmy wytyczoną przez lekarzy ścieżką, wiedzieliśmy, co trzeba zrobić – mówi z kolei Alicja. – Taka marszruta wiele ułatwia. Kiedy jednak pojawia się upragnione: „jest pan wyleczony", pozostają tylko wizyty kontrolne. Pacjenci i ich rodziny wpadają w systemową dziurę. Skutecznej pomocy trzeba szukać na własną rękę i na własny koszt. Nie każdy ma na to siły i pieniądze – dodaje żona Marka.

Jest jeszcze jeden ważny krok do poprawienia losu mężczyzn zmagających się z rakiem prostaty – to refundacja nowoczesnych metod leczenia dysfunkcji seksualnych. Andrzej Gryżewski uważa, że wzorce systemowego wsparcia istnieją i od lat dostępne są w wielu krajach Europy Zachodniej, gdzie pacjenci i ich rodziny otrzymują kompleksową pomoc. Od rehabilitacji, przez wsparcie psychologiczne, po dostęp do nowoczesnych metod leczenia zaburzeń erekcji.

– W Polsce możliwości są mocno ograniczone. Farmakoterapia jest dostępna, ale często nieskuteczna w cięższych przypadkach, a leczenie bardziej zaawansowane, np. iniekcje do ciał jamistych czy protezy prącia, pozostają wciąż mało dostępne i bardzo kosztowne – tłumaczy seksuolog. – Jednak wiele można zrobić na poziomie psychoterapeutycznym. Praca z parą nad redefinicją intymności, otwartą komunikacją i poszukiwaniem nowych form bliskości może dać ogromną ulgę i otworzyć przestrzeń na satysfakcjonującą relację. Nawet jeśli możliwości seksualne są ograniczone. To wymaga jednak przełamania tabu i odwagi, by mówić o seksualności po chorobie, co w naszym społeczeństwie wciąż bywa trudne.

Zdaniem Gryżewskiego największym wyzwaniem bywa więc nie sama impotencja, ale milczenie wokół niej: – Bez otwartej rozmowy mężczyźni i ich partnerki pozostają w samotności. Kluczowe znaczenie ma włączanie partnerek do procesu terapii oraz praca nad odbudową poczucia bliskości.

Kwiat męskości

Prof. Dobruch nie zna powodów, dla których firma oferująca iniekcje do ciał jamistych wycofała się z polskiego rynku, przez co pacjenci muszą sprowadzać leki z Niemiec i Hiszpanii (to znacznie zwiększa koszty). Z kolei implanty prącia wszczepiane w przypadku ciężkich zaburzeń erekcji zdaniem profesora powinny być oferowane przez ośrodki zajmujące się prostatektomią.

– Uważam, że należy zajmować się następstwami leczenia, którego jest się autorem. Ma to wielowymiarowe znaczenie, także w kontekście ograniczenia ryzyka kolejnych powikłań – tłumaczy profesor. – Dział finansowy naszego szpitala przeprowadził analizę, z której wynika, że w przypadku najtańszej opcji, czyli zastosowania tzw. protezy półsztywnej, implantacja ma uzasadnienie ekonomiczne i jest możliwa do pokrycia ze środków NFZ. W klinice wykonaliśmy już taką operację, jednak mimo że jest to metoda popularna w USA i w niektórych krajach Europy, np. we Włoszech, chorzy na raka prostaty w Polsce wciąż podchodzą do niej z dużą rezerwą.

I dlatego potrzebna jest większa świadomość: pacjentów i całego społeczeństwa. Wiele o problemie powikłań po leczeniu onkologicznym raka stercza mówi np. kolportowany w oddziałach urologicznych „Poradnik Onkologiczny. Wsparcie w chorobie nowotworowej dla pacjentów z oddziałów urologii onkologicznej męskiej". Co ciekawe, wydawcą jest Ogólnopolska Organizacja Kwiat Kobiecości, założona przez panie, które wygrały walkę z rakiem szyjki macicy.

© JERZY DZIEKOŃSKI

W dorosłość ze spektrum

ANNA KORYTOWSKA

SPOŁECZEŃSTWO | Już od przedszkola czuli, że różnią się od innych. Nakładali maski, nie wierzyli w siebie, nie mieli wielu przyjaciół, denerwował ich hałas i harmider. Dziś radzą sobie dużo lepiej i pomagają innym mierzyć się z wyzwaniami spektrum autyzmu.

W wieku czterech lat otrzymał diagnozę: spektrum autyzmu. Miał 21 lat, gdy wykryto u niego również ADHD. – W dzieciństwie i w okresie dorastania relacje społeczne były dla mnie ogromnym wyzwaniem. Miałem wrażenie, że wszystkie są płytkie. Nie umiałem też radzić sobie z codziennymi sprawami – wspomina 24-letni Patryk, który wspólnie z Julią i Pauliną opowiedział nam, jak wygląda wejście w dorosłość osób ze spektrum autyzmu.

Kiedy pięć lat temu Patryk przeprowadzał się na studia do Warszawy, myślał, że i tym razem będzie podobnie. – Towarzyszyło mi niskie poczucie własnej wartości. Wciąż miałem z tyłu głowy, że ludzie mogą mnie odrzucić. To był dla mnie wymagający czas – przyznaje. W dużym mieście towarzyszyło Patrykowi dużo bodźców, a na nie jest wyjątkowo wrażliwy. Nie ma co prawda trudności z orientacją przestrzenną, ale sensorycznie Warszawa bywa przytłaczająca. Dlatego prawie zawsze, gdy podróżuje transportem publicznym, zakłada słuchawki. – Dzięki temu odcinam się od części bodźców i lepiej funkcjonuję przez większość dnia – tłumaczy. W godzinach szczytu stara się w ogóle unikać przejazdów.

Do relacji z ludźmi podchodzi metodą prób i błędów. Trzy lata temu przeszedł trening umiejętności społecznych, czyli formę grupowej terapii, wspierającej rozwój. Pomaga ona rozpoznawać i nazywać emocje oraz budować relacje z rówieśnikami. M.in. dzięki temu Patryk może dziś studiować na dwóch kierunkach. Jak podkreśla, ma szczęście, bo Uniwersytet Warszawski jest dostosowany do potrzeb osób neuroatypowych. – Mam zwiększony limit nieobecności, a egzaminy piszę w osobnych salach, gdzie mogę korzystać ze słuchawek. Oprócz tego regularnie kontaktuję się z konsultantką z biura ds. osób z niepełnosprawnościami – mówi.

Poszukiwanie pracy jeszcze przed nim, ale Patryk czuje się kompetentny. Na razie udziela się w stowarzyszeniu wspierającym osoby w spektrum, gdzie poznał ludzi z podobnymi trudnościami i zbudował siatkę znajomych. W mediach społecznościowych edukuje na temat neuroatypowości. – Wiele osób w spektrum ma problem z odnalezieniem się na rynku pracy, chociażby ze względu na procesy rekrutacyjne. Podczas rozmów kwalifikacyjnych jedną z ważnych kwestii jest kontakt wzrokowy. U osób w spektrum bywa to problematyczne: albo go unikają, albo utrzymują nadmierny kontakt – zauważa Patryk.

Kolejny problem to miejsce pracy. Popularne w dużych firmach open space'y nie są najbardziej komfortową przestrzenią dla osób w spektrum. – Dobrze byłoby, gdyby pracodawca umożliwiał bardziej indywidualne podejście. Mam nadzieję, że jak przyjdzie co do czego, to się odnajdę – dodaje.

Za pieniądze z osiemnastki

23-letnia Paulina, autorka bloga „Atypowa dziewczyna", wchodząc w dorosłość nie wiedziała, że jest w spektrum autyzmu. – Już od przedszkola czułam, że coś jest nie tak. Inni łatwiej się dogadywali, mieli więcej przyjaciół. Ja miałam tylko jedną przyjaciółkę. Nie potrafiłam też skupić się na lekcjach, dostawałam bardzo słabe oceny – wspomina.

Paulina przez większość życia obwiniała siebie za każde niepowodzenie. – Wydawało mi się zawsze, że mogłam postarać się bardziej. W wieku 14 lat zachorowałam na depresję, później miałam też silne zaburzenia lękowe. Stałam w miejscu, a potem jeszcze przyszła pandemia – wspomina. Zamknięta w domu, zaczęła oglądać TikToka. Tak natknęła się na temat spektrum autyzmu i ADHD. Na początku nie sądziła, że to jej dotyczy. Ale im więcej filmików oglądała, tym bardziej miała wrażenie, że mówią o niej.

Niedługo po osiemnastych urodzinach poszła do psychiatry. – Lekarka przepisała mi leki na depresję i zaburzenia lękowe, ale one nie leczyły całej mojej „inności". Pomyślałam wtedy, że pieniądze z osiemnastki przeznaczę na profesjonalną pomoc. Spodziewałam się, co usłyszę... Dwa lata później zdiagnozowano u mnie oprócz spektrum autyzmu także ADHD; one często idą w parze – podkreśla.

Przed diagnozą wchodzenie w dorosłość było koszmarem. Po liceum Paulina nie miała pojęcia, co chce robić w życiu, a jednocześnie czuła ogromną presję. Obwiniała się za brak decyzyjności. – Bez większego namysłu poszłam na studia i zaczęłam dorabiać. Uczyłam dzieci angielskiego, ale strasznie mnie to męczyło. Wracałam do domu całkowicie wyczerpana – opowiada.

Edukacja na temat spektrum dała jej bardzo dużo. Dzisiaj wie, co pomaga jej w codziennym funkcjonowaniu. – Mój mózg działa inaczej. Jestem bezpośrednia, wrażliwa sensorycznie, łatwo się rozpraszam. Taka po prostu jestem i dlatego musiałam wypracować własny schemat. Nie nadaję się do pracy na etacie, więc łapię różne zlecenia. Sprzedaję materiały edukacyjne, tworzę ikonografiki, robię filmy dla firm na media społecznościowe. Odnajduję się w wielozadaniowości, ale tylko wtedy, gdy pracuję na własnych zasadach, z domu. Kiedy jestem przebodźcowana, biorę mniej zleceń – wyjaśnia.

W codzienności wspiera ją chłopak oraz przyjaciele, którzy akceptują jej bezpośredniość. Nie musi się przy nich maskować ani udawać kogoś innego, by spełniać czyjeś oczekiwania. – To prowadzi do depresji i trudnych emocji. Sprawia, że przestajesz być sobą. A ja chcę być sobą – dodaje pewnie Paulina.

Rozrzucone puzzle

– System wciąż wymaga od nas maskowania. W wielu sytuacjach nadal to robię. Czasem też boję się mówić o swojej neuroatypowości, bo ludzie bywają bardzo stereotypowi. Mimo że pracuję nad pewnością siebie, cień dawnych przeżyć

NATALIIA S. / ADOBE STOCK

wciąż jest ze mną – opowiada 25-letnia Julia. Na co dzień nosi słuchawki wygłuszające i okulary przeciwsłoneczne, nawet gdy nie świeci słońce.

Jej droga do diagnozy była długa i kręta. Mama zauważyła pierwsze objawy, gdy Julia miała kilka miesięcy. Gdy skończyła dwa lata, trafiła do neurologa, a później do psychiatry. Specjaliści przypisywali jej zachowania stresowi związanemu z rozwodem rodziców – to jednak nie była trafna diagnoza. – W podstawówce psycholożka podejrzewała u mnie spektrum, ale nie było nas stać na profesjonalną diagnozę. Później dzięki mamie dostałam szansę, by się zdiagnozować, ale byłam nastolatką, która już wiedziała, co i jak. Bardzo się maskowałam, żeby nie stwierdzono u mnie spektrum – wspomina.

Wejście w dorosłość przysporzyło Julii wielu trudności. Zaczęły się w klasie maturalnej, gdy działała na pełnych obrotach. Udzielała się w szkole, w pozalekcyjnych zajęciach muzycznych. Ale gdy wracała do domu, myślała już tylko o tym, jak bardzo nie ma siły. – Zachorowałam na depresję, okaleczałam się, potem doszły ataki paniki, zaczęłam opuszczać lekcje. Dzisiaj wiem, że to było wypalenie autystyczne – wspomina.

Gdy na początek studiów przypadła pandemia i lockdown, Julia poczuła się lepiej, bardziej komfortowo. – Kiedy jednak studia przeszły ze zdalnych w stacjonarne, zaczęłam mocniej zauważać, jak bardzo różnię się od rówieśników – wspomina. Uczelnia była oddalona od rodzinnego miasta, więc konieczna okazała się przeprowadzka. Julia miała się przenieść ze swoim chłopakiem i dwoma znajomymi. Nie była jednak w stanie tego zrobić. – Reagowałam jak dziecko, które rodzice zostawiają w przedszkolu. Gorączkowałam, moje ciało dawało wyraźne znaki, że coś jest nie tak – wspomina.

Ostatecznie udało się jej załatwić indywidualny tok studiów. Wówczas przeczytała książkę o dzieciach w spektrum. Miała poczucie, że ktoś opisał jej dzieciństwo. Wtedy poszła do psychiatry, który stwierdził spektrum autyzmu i ADHD. – Diagnoza przyniosła mi ulgę. Przez 21 lat nie rozumiałam, kim jestem. Starałam się dostosować do otoczenia, zakładałam maski. W ten sposób trudno jest odnaleźć prawdziwego siebie – tłumaczy.

Julia od kilku lat jest w terapii i zaczęła układać „rozrzucone puzzle". Rozumie, że znajduje się w spektrum; rozumie też, że w podstawówce była odrzucana, bo dzieci nie rozumiały jej bezpośrednich zachowań, tików, trudności w radzeniu sobie z emocjami. Dziś zna swoje reakcje i wie, skąd się biorą. – Gdy czuję, że muszę postimować [stimowanie to powtarzalne ruchy, zachowania lub dźwięki, które mają na celu rozładowanie napięcia – przyp. red.], to tak robię. Jak jestem na przykład w poczekalni u lekarza i stres powoduje, że nie jestem w stanie usiedzieć w miejscu, idę sobie pochodzić – wyjaśnia Julia, dziś studentka psychologii.

Wyzwania dorosłości

– Od liceum mam bardzo wspierającego chłopaka, który zawsze akceptował mnie taką, jaka jestem. To dla mnie ogromna siła. Mam też stałą ekipę znajomych, chociaż po diagnozie zostałam przez niektóre osoby odrzucona – przyznaje. – Mam komfort, że otrzymuję dużą pomoc od rodziców i mogę się skupić wyłącznie na nauce. Dążę do tego, żeby się usamodzielnić, mieć własną działalność i pracować na swoich zasadach. Wierzę, że dam radę – dodaje.

Wejście w dorosłość to dla wielu osób ze spektrum autyzmu wyjątkowo wymagający moment. To czas przejścia do nowego etapu. Zmienia się otoczenie, oczekiwania społeczne, poziom samodzielności, a to może wywoływać znaczny stres. – Osoby w spektrum autyzmu mają często trudności z adaptacją do nowych sytuacji, co może istotnie wpływać na ich funkcjonowanie i efektywność – uważa psycholożka i psychoterapeutka Ewa Witkowska-Malinowska. Jej zdaniem szczególnie problematyczne jest przejście do dorosłości z etapu edukacji, gdzie dostępne jest wsparcie w postaci nauczyciela, zajęć terapeutycznych czy asystenta. – Kiedy okres dziecięcy oficjalnie się kończy, wsparcie często zostaje dość gwałtownie ograniczone lub zupełnie ucięte – wyjaśnia Witkowska-Malinowska. Takie nagłe zmiany w systemie wsparcia mogą zaś prowadzić do pogorszenia samopoczucia i motywacji, wzrostu poziomu lęku oraz izolacji społecznej.

Spektrum autyzmu bywa bardzo zróżnicowane, a to oznacza, że objawy i potrzeby każdej osoby mogą wyglądać inaczej. Często jednak pojawiają się poważne trudności z codziennym funkcjonowaniem, czyli organizacją dnia, zarządzaniem czasem, finansami czy obowiązkami domowymi. Osoby w spektrum mogą też w relacjach społecznych napotykać trudne dla nich wyzwania. – Mimo że często pragną kontaktu z innymi, nie zawsze potrafią go zainicjować ↦

oraz utrzymać. Moi pacjenci mówią, że chcą nawiązać relacje, ale nie wiedzą, jak to zrobić, co powoduje u nich duże napięcie wewnętrzne – opowiada psycholożka.

Trudności w prowadzeniu rozmów czy rozumieniu niewerbalnych sygnałów sprawiają, że relacje bywają krótkotrwałe lub emocjonalnie wyczerpujące. – Osobom w spektrum trudniej jest podtrzymać dłuższą, naturalną konwersację. Ponadto intensywne kontakty społeczne mogą prowadzić do przebodźcowania, po którym czują się wyczerpane – zaznacza psychoterapeutka.

Podczas rozmów kwalifikacyjnych **ważną kwestią jest kontakt wzrokowy.** U osób w spektrum bywa to problematyczne: albo go unikają, albo utrzymują nadmierny kontakt.

Niestandardowi fachowcy

Sytuacja osób w spektrum na rynku pracy jest bardzo zróżnicowana. Coraz więcej firm zaczyna dostrzegać wartość neuroróżnorodności i otwiera się na nią. – Jednak wciąż w większości miejsc pracy brakuje odpowiednich dostosowań środowiska i procesu rekrutacji do potrzeb tych ludzi – przyznaje Ewa Witkowska-Malinowska. Już sama rekrutacja bywa niemałym wyzwaniem, zwłaszcza standardowe rozmowy kwalifikacyjne, podczas których wypada patrzeć prosto w oczy. – To może być źródłem znacznego niepokoju. Dodatkowo osoby w spektrum mogą mieć trudności z czytaniem niedopowiedzianych lub nieprecyzyjnych komunikatów – zaznacza psycholożka.

Z drugiej strony, wiele osób w spektrum to świetni fachowcy. – Wyróżniają się wyjątkową dbałością o szczegóły, wysoką koncentracją na wybranych obszarach zainteresowań, systematycznością i logicznym myśleniem. Są doskonałymi pracownikami w dziedzinach wymagających precyzji i analitycznego podejścia – mówi. W tej kwestii kluczowa jest jednak otwarta komunikacja między pracownikiem a pracodawcą. Znajomość potrzeb i wymagań osoby w spektrum pozwala bowiem na lepsze dostosowanie środowiska pracy, np. przez wprowadzenie elastycznych godzin, ograniczenie nadmiaru bodźców sensorycznych czy wsparcie w organizacji zadań. – Taka współpraca znacząco zwiększa szanse na sukces zawodowy i satysfakcję z pracy – zapewnia Witkowska-Malinowska.

Ważna, także dla rodziców osób w spektrum, jest też świadomość, że na dobre funkcjonowanie w dorosłości bardzo duży wpływ ma okres dorastania. – Regularne przypominanie i nauka umiejętności życiowych, organizacyjnych i społecznych mogą znacznie poprawić samodzielność i komfort funkcjonowania w dorosłości – uważa ekspertka. Szczególnie pomocne są treningi umiejętności społecznych, które uczą rozpoznawania emocji, prowadzenia rozmów i radzenia sobie ze stresem. W tej kwestii niezwykle użyteczne jest uczestniczenie w grupach wsparcia. To w jednej z nich sił nabrał Patryk. I dzięki temu dziś sam może pomagać innym ludziom w spektrum.

© ANNA KORYTOWSKA

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ CZAS!

WROCŁAW, poniedziałek 20 października godz. 17.30, warsztaty „Co miał na myśli holenderski Banksy?”, prowadzenie: dr Edward Boudewijn Skubisz, Księgarnio-kawiarnia Tajne Komplety (ul. Przejście Garncarskie 2)

ZIELONA GÓRA, wtorek 21 października godz. 18.00, spotkanie z dr. hab. Mariuszem Kwiatkowskim i Agnieszką Sułtanowską, cykl: „Brunatne ziarno nienawiści – Migracja – Integracja – Rozwój” Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13)

ZIELONA GÓRA, czwartek 23 października godz. 18.00, spotykanie z dr. Matthiasem Kneipem, „111 powodów, by kochać Polskę”, moderator: Szymon Płóciennik, Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13)

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapisz się na newslettery i czytaj najlepsze teksty Tygodnika, kiedy chcesz!

ZŁOTY WIEK

O życiu osób dojrzałych, opiece nad seniorami i roli starszego pokolenia w kulturze i polityce

Prowadzi MAREK RABIJ

dowiedz się więcej!

TygodnikPowszechny.pl/newsletter

„TP" 39/2025

Chrześcijanin potrzebuje edukacji zdrowotnej

Swoje już przeżyłem. Mnie wychowywano starannie po chrześcijańsku i katolicku, sam odchowałem swoje dzieci, doczekałem się wnuków i prawnuków. To, że dzieci rodzi mamusia, było dla mnie „od zawsze" oczywiste i naturalne, bo miałem młodsze rodzeństwo. O roli ojca w procesie poczęcia dowiedziałem się dopiero w III klasie szkoły podstawowej, dosłownie na ulicy od starszego kolegi, w maksymalnie wulgarnej formie. Był to dla mnie olbrzymi i traumatyczny wstrząs z dalekosiężnymi skutkami, gdy sam zacząłem przymierzać się do założenia rodziny. W świetle moich obserwacji i własnych doświadczeń, wprowadzenie przedmiotu „edukacja zdrowotna" jest ze wszech miar korzystne dla etycznego wychowania i konieczne dla ukształtowania chrześcijańskiego światopoglądu. Zdumiony jestem hałaśliwą nagonką prowadzoną przez niektóre osoby przeciw wprowadzeniu przedmiotu do szkół. Nazywanie tego deprawacją dzieci i młodzieży uważam za wszeteczeństwo i odwracanie kota ogonem. Jestem przekonany, że właśnie dla chronienia swoich dzieci i młodzieży przed deprawacją trzeba je trzymać jak najdalej od ludzi głoszących takie szkodliwe idee.

MICHAŁ

List do proboszcza

Piszę do was w sprawie listu, który wysyłam do proboszcza mojej parafii, gdzie na każdej mszy odbywa się nakłanianie parafian do wypisywania dzieci z nowego przedmiotu. Jestem przerażona widząc taką nienawiść i obsesję w kościele, do którego chodzę. Wiem, że są inne osoby, które też tak myślą, jednak wszyscy boją się wyrazić to zdanie głośno. Proboszcz ma bowiem wysoką pozycję w naszej małej miejscowości. Napisałam do niego, że mam wielką nadzieję, że list skłoni go do refleksji. Mieszkam w tej miejscowości od 6 lat, jestem mamą czwórki wspaniałych dzieciaków, chodzę do kościoła regularnie i sprawy wiary mam wpisane głęboko w moje sumienie. Nie jestem jednak w stanie dalej milczeć, gdy od wielu miesięcy, a chyba nawet lat, słucham na kazaniach słów, które dzielą ludzi na lepszych i gorszych, wprowadzając podziały tam, gdzie powinien panować pokój i zgoda (szczególnie w obliczu aktualnej sytuacji politycznej w Europie i na świecie). Jestem oburzona słowami księdza, że tylko ci rodzice, którzy wypisują dzieci z edukacji zdrowotnej, naprawdę je kochają. Jak można tak powiedzieć? Czy jeśli chcę, by moje dziecko nauczyło się, jak dbać o siebie i innych, jak ważna jest profilaktyka onkologiczna czy przeciwcukrzycowa, to naprawdę nie kocham według niego swojego dziecka? Sama jestem osobą chorującą na nowotwór i wiem, jak łatwo przeoczyć objawy. To nie ma nic wspólnego z deprawacją! Tu chodzi o zdrowie i bezpieczeństwo dzieci. Dlatego napisałam do proboszcza, by skończył z tą nagonką, bo ile można o tym mówić? Nie ma innych spraw, problemów, zagrożeń, o których powinniśmy rozmawiać? Pociesza mnie fakt, że nie jestem jedyną osobą, która tak myśli. Z drugiej strony szkoda, że musimy się bać, wyrażając nasze zdanie.

CZYTELNICZKA

REKLAMA

Radio Kraków

Nadajemy do myślenia
radiokrakow.pl

EMOCJE
które łączą

TYGODNIK POWSZECHNY

JESIEŃ NAJLEPSZA NA CZYTANIE

Ten sam Tygodnik – różne możliwości. Wybierz, jak Ci wygodniej.

DOSTAWA DO DOMU

Poczta Polska

- Prenumerata kwartalna: 190 zł
- Prenumerata półroczna: 367 zł
- Prenumerata roczna: 687 zł
- Prenumerata roczna z 4 wydaniami specjalnymi: 787 zł

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/sklep | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

ODBIÓR W PACZKOMACIE

InPost

- Prenumerata kwartalna: 189 zł
- Prenumerata półroczna: 366 zł
- Prenumerata roczna: 686 zł

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

RITHIKA GOPAL / UNSPLASH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OLGA

Drenda:
Rzeczy pozornie fajne

W „Ośmiu i pół" Federico Felliniego bohater przekazuje drogą telepatii tajemniczą formułę „Asa Nisi Masa", która pod pozorem przypadkowej zbitki sylab skrywa słowo „anima", „dusza". Filmowe zaklęcie pochodzi z tajnej mowy dzieci, znanej chyba malcom wszystkich kontynentów chcących ukryć coś przed uszami dorosłych. Dokładanie dodatkowej sylaby, skracanie słów, próby mówienia od końca – te dziecięce praktyki leżą na pograniczu zabawy, poezji i w pewnym sensie także magii. Nic dziwnego, że legenda dorobiła popularnym rymowankom mroczny rodowód, każąc doszukiwać się w nich (koniec końców niesłusznie) pradawnych ech epoki czarownic. Na pewno jednak chodzi w nich o tajemnicę, którą trzeba chronić, i o powoływanie do życia nowych znaczeń.

Jest jakaś dziecięca naturalność w wymyślaniu i używaniu sekretnych kodów, tak jakby był to wynalazek, który tylko czeka w ukryciu na swą potrzebę. Mam przekonanie, że my, ludzie, nie jesteśmy jednak aż tacy głupi, choć niewątpliwie bywamy; czasem mimo naszej woli uruchamiają się nam jakby samoistnie przedziwne hamulce, które sprawiają, że jednak nie wszystko da się ludziom wmówić, dowolnie ulepić, urobić tępym konformizmem czy schlebianiem niskim pobudkom. To wszystko oczywiście działa – i bywa, że dajemy się ogłupiać z lubością, lecz nie na sto procent. Dlatego nawet brutalne czy wyrafinowane przedsięwzięcia z dziedziny cenzury, prania mózgu czy inżynierii umysłu w końcu natrafiają na ograniczenia. Jest to mechanizm osobliwy, który włącza się, zanim zdążymy o nim pomyśleć, i niejako ratuje nas przed nami samymi.

Działania słowne z pogranicza poezji i magii

OLGA DRENDA

Ostatnio przy okazji poszukiwań czegoś do pracy czytałam publikacje naukowe folklorystów z niełatwych lat 80. Znakomity naukowiec z tej dziedziny, Piotr Kowalski, pisząc na temat tak z pozoru błahy jak kultura popularna, musiał wręcz stawać na rzęsach, by powiedzieć to, co chciał powiedzieć, w sposób dostatecznie enigmatyczny, by przemknąć pod radarem cenzury. Była to jedna z publikacji przeznaczonych do czytania między wierszami i sama musiałam wykonać pracę dekodowania i główkowania, co szybko zmieniło się zresztą w detektywistyczną frajdę. Dawno nie trzeba było się tak nagimnastykować, myślałam sobie. Mnie ta konieczność znana była i tak już z drugiej ręki. Prof. Ryszard Nycz pisał kiedyś, że wraz z likwidacją urzędowej cenzury skarb wiedzy i umiejętności wyćwiczonych przez lata życia z tym nadzorcą nad głową nagle zatonął jak Atlantyda. Z dnia na dzień przestał być potrzebny.

Ale – jak to bywa z rzeczami, które odkładamy na strych – nigdy nie wiadomo, kiedy się nam przydadzą. Tak może się stać z mową ezopową, biegłością w posługiwaniu się leksykonem symboli i alegorii, czułością na aluzję, umiejętnością konstruowania piętrowych listów do właściwego adresata, a po stronie adresata – prawidłowego ich odpakowywania. Troszkę nam zardzewiały te umiejętności, ale kto wie, czy niespodziewanie nie będzie warto ich odkurzyć. I to wcale nie dlatego, że zostanie powołany jakiś nowy smutny urząd, lecz z powodu terrorku rzeczy pozornie fajnych.

Kaprysy gospodarki algorytmów już mamy częściowo przećwiczone. A z historii cenzury wiemy przecież dobrze, że jest ona przede wszystkim kapryśna i lubi sprawiać, że ludzie siedzą jak na szpilkach, nie wiedząc, za co tym razem można podpaść, choć wczoraj było to jeszcze dozwolone. Teraz dochodzą do tego nowe kłopoty związane choćby z dyskretnymi sposobami rejestracji mowy i obrazu przez gadżety w rodzaju „sprytnych okularów"; nie trzeba wyobraźni na skalę Lema, by wyobrazić sobie, co i na ile sposobów może tutaj pójść źle. A ponieważ prawo często nie nadąża za rozwojem technologicznym i inwencją w nadużywaniu nowych urządzeń, zawsze warto radzić sobie samodzielnie. I w potencjalnie drażliwych sytuacjach przechodzić na sekretny kod: asa nisi masa...

Wspaniale móc odłożyć na półkę wszelkie specjalne strategie postępowania i pobyć sobą czy mówić od serca bez konsekwencji dla własnego bezpieczeństwa i prywatności. Niestety, najwidoczniej jest to jak błogie niedzielne leniuchowanie na kanapie i musi trwać krótko. Podobno w USA nastolatki odkrywają właśnie, że można ominąć bany w mediach społecznościowych, anonsując protest jako koncert: patenty, które Polak zna jak abecadło. Współczesne technologie zmuszą nas ponownie do wyczynowej gimnastyki. Ale przynajmniej takie ćwiczenia już dobrze znamy. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

ESTOŃSKA LEKCJA SPOKOJU

Rosyjskie myśliwce nie wywołują tu paniki. Moskwa od lat neguje suwerenność Estonii, można się więc przyzwyczaić. O tym, jak spokój może pełnić funkcję odstraszającą, rozmawiamy z mieszkańcami Tallinna.

FILIP RUDNIK Z ESTONII

Dla Estończyków życie z egzystencjalnym zagrożeniem dosłownie „za rogiem" to żadna nowość. Dlatego każde konfrontacyjne działanie Rosjan jest przez nich przyjmowane z właściwą dla nich rezerwą.

I o ile agresywność wschodniego sąsiada nabrała nowego znaczenia po rozpoczęciu inwazji na Ukrainę, to prowokacji Tallinn doświadcza od ponad trzech dekad – praktycznie od momentu odzyskania niepodległości w 1991 r.

Pytani o rosyjskie samoloty, które niedawno wtargnęły w przestrzeń powietrzną Estonii, rozmówcy „Tygodnika" zgodnie twierdzą, że reakcja była właściwa. Przypomnijmy: maszyny przez 12 minut leciały nad morzem terytorialnym Estonii, w pewnym momencie znajdując się w odległości zaledwie 10 km od stolicy. W odpowiedzi rosyjskie samoloty zostały przechwycone i odeskortowane przez siły powietrzne NATO.

– Reakcja była dobra: chłodna i wyważona. Rosjanie przecież tylko tego chcą, żebyśmy nerwowo odpowiedzieli na którąś z prowokacji – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" pracownik jednego z ministerstw, nazwijmy go Toomasem. Zastrzega, że z podobnymi zdarzeniami Estończycy mierzą się od lat. Rosjanie regularnie naruszają przestrzeń powietrzną tego kraju – w tym roku zrobili to już czwarty raz.

Toomas wskazuje, że wtargnięcia to niezbyt wyrafinowany sposób wysyłania politycznych sygnałów. Np. w 2003 r. – na rok przed dołączeniem Estonii do NATO – rosyjski myśliwiec również przeleciał nad terytorium kraju. Wówczas zostało to odczytane jako moskiewski gest niezgody na akcesję do Sojuszu.

Nowa jakość prowokacji

Mimo wszystko Estończycy – zarówno na poziomie oficjalnym, jak i w rozmowach prywatnych – podkreślają, że wrześniowy incydent wyróżnia się na tle przeszłych naruszeń.

Występujące dość często kilkunastosekundowe przeloty w pobliżu estońskich wysp w Zatoce Fińskiej można bowiem interpretować jako przypadkowe. Dwunastominutowy lot uzbrojonych maszyn

– które nie reagowały na sygnały wysyłane przez samoloty NATO – stanowi zaś przypadek czysto intencjonalny, niosący znamiona prowokacji.

Nie można też zapominać o kontekście. Incydent był elementem całej sekwencji rosyjskich prowokacji wymierzonych w państwa europejskie. Myśliwce wtargnęły do Estonii nieco tydzień po tym, jak w polską przestrzeń powietrzną wleciały rosyjskie drony. W kolejnych dniach niezidentyfikowane bezzałogowce buszowały bezkarnie nad Norwegią, Danią i Niemcami, paraliżując ruch na lotniskach.

Z militarnego punktu widzenia reakcja Estonii i całości Sojuszu była rutynowa. Rosyjskie maszyny błyskawicznie przechwycono i odeskortowano – w operacji uczestniczyły samoloty Finlandii, Włoch i Szwecji. Z estońskiego terytorium poderwano włoskie F-35, które stacjonują tu w ramach misji nadzorowania przestrzeni powietrznej krajów bałtyckich.

Na poziomie politycznym skupiono się zaś na potępieniu Moskwy. Swoim zwyczajem do estońskiego MSZ wezwano chargé d'affaires Rosji. Zainicjowano też konsultacje wewnątrz NATO na podstawie artykułu 4., a także zwołano pilne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa ONZ. Dyplomatyczną ofensywę Tallinn chce przekuć w zwiększenie sojuszniczej obecności w kraju – nie tylko więcej samolotów, ale też środków obrony przeciwlotniczej.

Strzelać czy nie strzelać?

Samo naruszenie stanowiło przyczynek do szerokiej dyskusji na temat tego, jak NATO powinno reagować na rosyjskie działania. W rozumieniu niektórych, rutynowe przechwytywanie samolotów tylko rozzuchwala Rosjan, następnym razem należy więc dać klarowny odpór.

Estończycy studzą jednak zapędy tych, którzy wzywają do natychmiastowego naciskania spustu. To może zaskakiwać – także z uwagi na obiegową opinię o nich jako tych, którzy antyrosyjskość wyssali z mlekiem matki. Niedawno estońską premier krytykowano za rzekomą rusofobię, co miało ją dyskwalifikować z kandydowania na szefową unijnej dyplomacji (którą i tak została). W opinii niektórych zachodnich dyplomatów Kaja Kallas miała przecież „jeść Rosjan na śniadanie".

– Nie zdziwiłbym się, gdyby Rosjanie celowo wlecieli do Estonii, aby sprowokować reakcję siłową – sugeruje Toomas. – Wyobraźmy sobie, że maszyny NATO strzelają do rosyjskich myśliwców. Byłaby to reakcja niewspółmierna do zagrożenia i mogłaby jedynie wprawić nas w poważne kłopoty.

Generał na chłodno

W podobnym duchu wypowiadają się czołowi estońscy decydenci, jak główno-dowodzący sił zbrojnych generał Andrus Merilo. Komentując incydent na łamach jednego z mediów, stwierdził on, że zestrzelenie Rosjan byłoby strategicznym błędem. „Ujmę to w ten sposób: cieszę się, że ludzie, którzy chcieliby zestrzeliwać każdy samolot, który przekracza naszą granicę, nie są tymi, którzy podejmują te decyzje" – mówił wojskowy.

Zastrzegł też, że tylko „chłodna reakcja" pozwoliła na odniesienie dyplomatycznego zwycięstwa. Przesłanek do otwarcia ognia – np. zagrożenia dla przechwytujących maszyn – nie zanotowano.

Innymi słowy: dyplomatyczne wsparcie ze strony sojuszników dało okazję do przyciągnięcia uwagi do zagrożeń ze strony Rosji. Nawet Donald Trump – choć na jego reakcję trzeba było czekać długo – zgodził się, że kraje powinny móc zestrzeliwać rosyjskie myśliwce naruszające przestrzeń NATO. Nieuzasadnione użycie siły mogłoby zaś skutkować rozłamem w Sojuszu i izolacją Estończyków.

Świadomi ograniczeń

Retoryka „chłodnego" podejścia do zagrożeń wynika jednak częściowo ze świadomości własnych ograniczeń. Estońska zdolność do samodzielnego reagowania jest bowiem wąska – szczególnie w domenie powietrznej.

Jako państwo bez własnego lotnictwa bojowego, Estonia musi polegać na sojusznikach. Ta zależność rodzi zaś wątpliwość: czy w przypadku politycznej autoryzacji użycia siły z Tallinna, sojusznicze maszyny będą skore do faktycznego otwarcia ognia, skoro ich załoga pochodzi spoza Estonii?

Teoretycznie dyskusja na ten temat w obecnej chwili nie ma sensu – misja nadzoru powietrznego, której jednostki zlokalizowane są w bazach w Estonii i Litwie, ma za zadanie prowadzić monitoring przestrzeni powietrznej w warunkach pokojowych.

↦

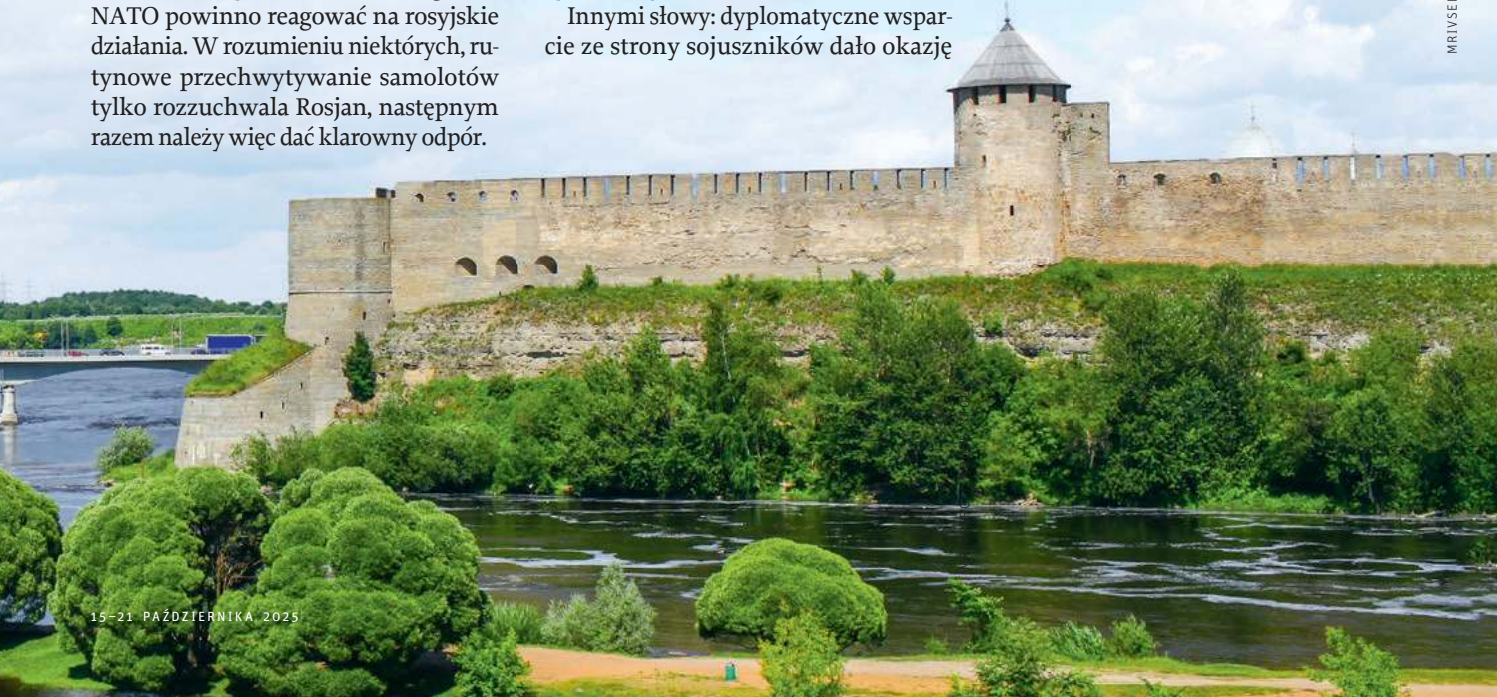

Obecna granica estońsko-rosyjska na rzece Narwie od wieków dzieliła wschód od zachodu: z lewej średniowieczny zamek Duńczyków i Zakonu Kawalerów Mieczowych, z prawej XV-wieczna carska twierdza Iwangorod.

MRIVSERG / ADOBE STOCK

Zastosowanie siły przewiduje się tylko w warunkach realnego zagrożenia. NATO-wskie zasady użycia siły są ścisłe: jeśli nie ma takiego niebezpieczeństwa, zadaniem myśliwców jest przechwycenie i eskorta obcych maszyn. Tak się właśnie stało.

Jednak jeden z wykładowców Uniwersytetu Tallińskiego w rozmowie z „Tygodnikiem" zauważa, że incydent dał paliwo tym, którzy powątpiewają w słuszność sojuszniczej solidarności. – Jeśli decyzja o zestrzeliwaniu samolotów naruszających suwerenność Estonii leży poza Tallinnem, to czy w ogóle Estończycy są w stanie cokolwiek zdziałać? – referuje punkt widzenia, na który można trafić, przeglądając media społecznościowe.

Jak sam zastrzega, argument o ograniczonej suwerenności jest tu szczególnie delikatny – idzie bowiem w sukurs moskiewskiej narracji.

Nieuznana granica

Tymczasem suwerenność Estonii to prawdziwa fiksacja Rosjan. Fakt wzięcia na celownik Tallinna nie jest niczym zaskakującym, biorąc pod uwagę historyczne zaszłości między sąsiadami. Niech za probierz temperatury sporu posłuży to, że obie strony do tej pory formalnie nie zaakceptowały przebiegu dzielącej ich granicy.

Wprawdzie po odzyskaniu przez Estonię niepodległości w 1991 r. obie strony podjęły próbę skodyfikowania przebiegu granicy. Jednak pomimo starań Rosja nie zdecydowała się na ratyfikację stosownych dokumentów.

Rosjanie uzależniali złożenie swojego podpisu od poprawy wzajemnych relacji, domagając się także jednoznacznego odrzucenia przez Estończyków nawiązań do traktatu z Tartu z 1920 r.

Dokument ten, stanowiący umowę pokojową zawartą pomiędzy bolszewicką Rosją a młodą Republiką Estonii, jest w rozumieniu Moskwy rewizjonistyczny. Kreml anektował bowiem w 1944 r. część terytorium przedwojennej Estonii do rosyjskiej republiki sowieckiej, co poskutkowało tym, że obecna granica – odzwierciedlająca granicę między dawnymi republikami sowieckimi – odbiega od tej ustalonej na podstawie dokumentu z 1920 r.

Część terytoriów w nim wymienionych pozostaje więc dziś poza kontrolą Tallinna, a nawiązywanie do niego stanowi dla władz Rosji rzecz nie do zaakceptowania.

„To my jesteśmy stąd i nie mamy zamiaru uciekać" – mówią Estończycy pytani, czy są w stanie spać spokojnie.

Negowanie niepodległości

Talliński wykładowca uważa, że fakt nieuregulowania granicy tworzy dla Moskwy wygodny pretekst przy naruszaniu estońskich terytoriów. I nie chodzi tu wyłącznie o przestrzeń powietrzną.

Rok temu rosyjska straż graniczna usunęła część nawigacyjnych boi, które Estończycy regularnie umieszczają na – stanowiącej naturalną linię rozgraniczenia – rzece Narwa dla ułatwienia żeglugi. W tym roku estoński MSZ poinformował o zakończeniu rozmów dwustronnych poświęconych tej sprawie – Rosjanie nie wyrazili bowiem chęci do wspólnego rozwiązania kwestii.

Za incydentem rzecznym stoi więc podobna logika, co w przypadku naruszania przestrzeni powietrznej. Ingerując w terytorialną suwerenność Estonii, Rosjanie nie tylko testują NATO, lecz ostentacyjnie pokazują także, że estońska niepodległość jest warta dla nich tyle co nic. I że mają na to „papiery".

Moskwa sieje strach...

Pytani przez „Tygodnik" Estończycy nie mają złudzeń: jakakolwiek deeskalacja napięcia między oboma państwami jest dziś niemożliwa. Estonia działa na Rosjan jak płachta na byka również ze względu na jej zaangażowanie na rzecz Ukrainy. Tallinn zobowiązał się do przeznaczenia 0,25 proc. swojego PKB w formie militarnego wsparcia dla Kijowa w 2026 r.

Determinacja w pomocy dla Kijowa – demonstrowana też gestami: estońscy żołnierze i policjanci noszą na mundurach błękitno-żółte naszywki – wynika przy tym z prostej konstatacji: Rosja pozostanie zagrożeniem na długie lata. Niebezpieczeństwo z jej strony nie zniknie w magiczny sposób, tak jak nie znikało przez ostatnie stulecia.

Dla Estończyków prześladowania Ukraińców – deportowanych i wynaradawianych przez Rosjan – brzmią złowieszczo w swoim podobieństwie do realizowanej przez Związek Sowiecki polityki wobec Estończyków.

Podczas niedawnej konferencji w Tallinnie poświęconej bezpieczeństwu estońscy eksperci deklarowali wprost – Rosjanie nie będą ustawać w prowokacjach, rozszerzając ich zasięg geograficzny i wypróbowując nowe narzędzia szantażu. Co istotne, aktywność na tym polu nie jest skorelowana z gotowością Rosji do napaści na NATO – to zagrożenie oceniane jest wciąż jako niskie.

Moskwa będzie natomiast siać strach – czy to za pomocą dronów, czy samolotów. Manifestacja konfrontacyjnej postawy stanowi rosyjski atut wobec Zachodu.

...więc spokój to narzędzie odstraszania

Nie mogąc się pochwalić przełomem na froncie z Ukrainą czy sukcesami gospodarczymi, Rosjanie będą „grać" swoją niezastąpioną kartą: a więc groźbą ataku na jednego z członków NATO i wywołaniem III wojny światowej. I to abstrahując od tego, czy realnie są na to gotowi.

Mając to na uwadze, estoński spokój spełnia zatem także funkcję odstraszającą. Kreślenie przez zachodnich publicystów czy decydentów perspektywy czasowej, w której Rosjanie mają być „gotowi" na wojnę z NATO, jest zdaniem Estończyków błędne. W ich opinii, Rosjanie zdecydują się na taki krok tylko w momencie, w którym stwierdzą, że to ich adwersarz nie jest gotowy.

Spanikowane i wewnętrznie podzielone społeczeństwa, z dysfunkcyjnym państwem – to właśnie dowód tej niegotowości, na który liczy Moskwa. Dlatego w reakcji na ostatnie naruszenie swojej przestrzeni powietrznej Estończycy prezentują ogólnokrajowe zwarcie szeregów.

Jednego z występujących na wspomnianej konferencji wojskowych zapytano, czy jako Estończyk jest w stanie spać spokojnie – szczególnie biorąc pod uwagę narastające tempo prowokacji i determinację Rosjan. Odpowiedział beznamiętnie, że często słyszy to pytanie, na które zawsze odpowiada tak samo. Mianowicie tak, jakby mówił do Rosjan: „To my jesteśmy stąd – i nie mamy zamiaru uciekać". © FILIP RUDNIK

Autor jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie.

MADE IN POLSKA

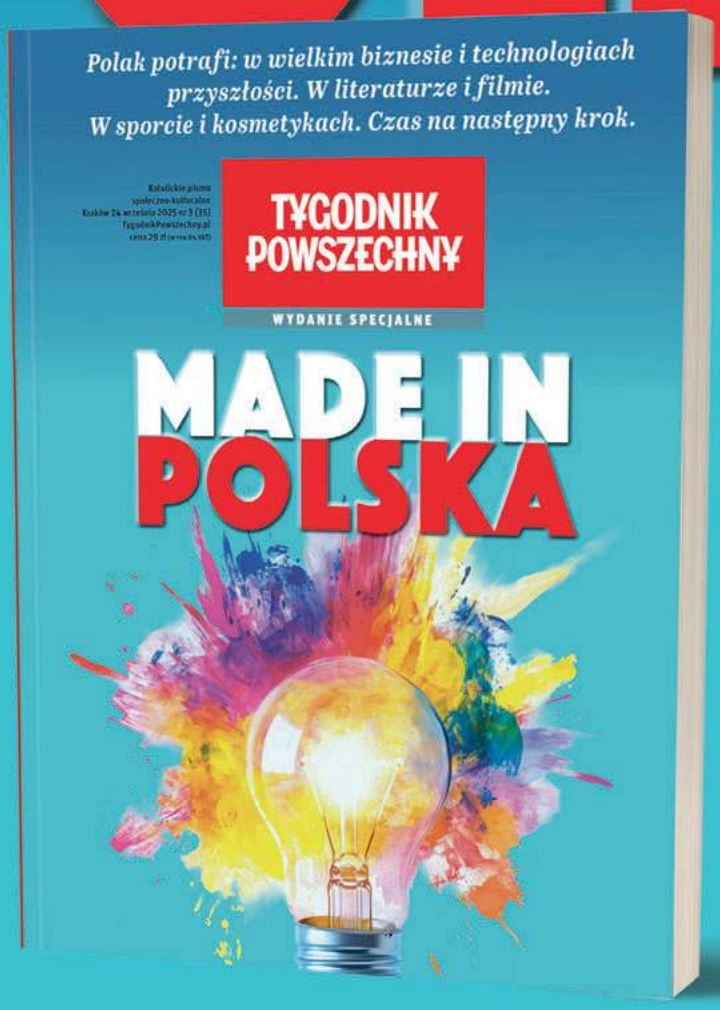

„Made in Polska" – nowe wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego" pokazuje Polskę, która coraz częściej sama wyznacza kierunki rozwoju. Ambitną, odważną i gotową sięgać dalej – od kosmosu i nowych technologii, przez biznes, po kulturę i sport.

Polska to kraj, który nie boi się eksperymentować, szukać nowych rozwiązań i twórczo wykorzystywać własną historię.

„Made in Polska" to więcej niż znak pochodzenia – to opowieść o sile, charakterze i innowacyjności, które sprawiają, że w świecie pełnym kryzysów i niepewności wciąż możemy z nadzieją powtarzać: Polak potrafi.

Weź, czytaj i bądź dumny

TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE „MADE IN POLSKA"
dostępne w najlepszych salonach prasowych oraz na sklep.TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

LEON LORD / AFP / EAST NEWS

Należący do rosyjskiego oligarchy jacht „Amadea", zacumowany na wyspie Fidżi, 14 kwietnia 2022 r. Niedawno, po ponad trzech latach sądowej batalii, skonfiskowany jacht został w końcu wystawiony na aukcję.

Uderzmy w rosyjską ropę

MAIA NIKOLADZE, EKSPERTKA ATLANTIC COUNCIL:

Rosyjski bank centralny ma jedną z największych rezerw złota na świecie. Dzięki temu, a także dzięki omijaniu sankcji, Putin finansuje wojnę. Czy pozbawimy go tej poduszki finansowej?

MARTA ZDZIEBORSKA: Zacznijmy w skali mikro. Jakie są losy „Amadei", jachtu jednego z rosyjskich oligarchów, który został skonfiskowany krótko po inwazji na Ukrainę w 2022 r.?

MAIA NIKOLADZE: To jeden z kilku superjachtów zatrzymanych przez władze innych krajów na wniosek USA. W przypadku „Amadei" skończyło się tym, że Amerykanie musieli płacić miliony dolarów rocznie za jej konserwację. I to w czasie, gdy trwało postępowanie dotyczące pytania, czy jacht może być przejęty przez Stany. Ostatecznie w marcu tego roku amerykański sąd orzekł, że jacht należy już do rządu USA. To dało zielone światło do wystawienia go na aukcję.

Walka w sądzie o „Amadeę" trwała trzy lata. Po jacht zgłosił się Eduard Chudajnatow, były szef rosyjskiej spółki naftowej Rosnieft. Twierdził, że jest właścicielem, choć według śledczych był pionkiem na papierze mającym zatuszować, że jacht należy do Kerimowa, objętego sankcjami USA.

Taki scenariusz nie jest rzadkością. Zdarza się, że po konfiskacie luksusowego jachtu jako jego właściciel zgłasza się bliski współpracownik oligarchy lub członek jego rodziny, w każdym razie ktoś, kto nie jest objęty sankcjami USA. Dodatkowo obraz zaciemnia skomplikowana struktura właścicielska: oligarchowie tworzą fasadowe spółki, a nawet cały ich łańcuszek, tak by nie można było w łatwy sposób zrekonstruować, do kogo tak naprawdę należy jacht.

Pamiętam historię jednego z jachtów zatrzymanego przez władze Antigui i Barbudy, we współpracy z FBI. Gdy po długiej walce sądowej wystawiono go na aukcję, nagle zgłosiła się córka rosyjskiego miliardera, twierdząc, że to jej własność. To opóźniło sprzedaż.

USA i inne kraje konfiskowały jachty rosyjskich oligarchów w myśl kalkulacji, że ci, tracąc luksusowe zabawki, będą nakłaniać Putina, by zakończył wojnę. Ta strategia zawiodła. Co musi zrobić Zachód, by przycisnąć Rosję do muru?

Trzeba nałożyć sankcje na rosyjską ropę. To zyski z jej sprzedaży dają Putinowi pieniądze na prowadzenie wojny w Ukrainie. Nie wystarczy obecny limit cenowy, według którego Rosja może sprzedawać ropę za nie więcej niż określoną kwotę za baryłkę.

W lipcu Unia Europejska zatwierdziła obniżenie limitu cenowego z 60 dolarów do 47,60 dolarów za baryłkę.

To w zasadzie jedyny mechanizm nacisku, który dodatkowo jest mało skuteczny, bo Rosja znajduje sposoby, by sprzedawać ropę po wyższej cenie. Aby skutecznie zdławić rosyjską gospodarkę, trzeba nałożyć sankcje na rosyjską ropę.

Zrobiła to na odchodne administracja Bidena. Na 10 dni przed objęciem urzędu przez Trumpa nałożyła sankcje na Gazprom Nieft i Surgutnieftiegaz.

To był słuszny i skuteczny ruch, który sprawił, że indyjskie i chińskie rafinerie importujące rosyjskie surowce zaczęły szukać alternatywnych dostawców na Bliskim Wschodzie. W efekcie w tym roku rosyjski rząd musi dalej sięgać po rezerwy z Funduszu Narodowego Dobrobytu, by łatać dziurę budżetową. Z drugiej strony, od stycznia Departament Skarbu USA nie nałożył żadnych nowych sankcji na rosyjskie podmioty. A to osłabia presję wywołaną wcześniejszymi działaniami.

Dlaczego brak nowych sankcji osłabia presję na Rosję?

Bo to zabawa w kotka i myszkę. Po nałożeniu sankcji na rosyjskie firmy i osoby zazwyczaj potrzeba kolejnych sankcji, bo pojawiają się nowe podmioty pomagające

tym już ukaranym w omijaniu sankcji. Aby z tym walczyć, trzeba ciągle aktualizować i rozszerzać listę sankcyjną. Fakt, że od początku roku nie zrobiono nic, by ukarać siatki ułatwiające Rosji omijanie sankcji, nasuwa wniosek, że Stany spuściły w tej kwestii z tonu.

Trump naciska na kraje NATO, by przestały kupować rosyjską ropę i nałożyły wyższe cła na towary z Chin, które są dziś głównym importerem ropy z Rosji. Sam Trump nałożył gigantyczne cła na Indie, które też importują rosyjskie surowce na dużą skalę. Ale według ekspertów nie zniechęci to Indii do kupowania ropy z Rosji. Dlaczego?

Bo skutki wprowadzenia ceł na towary z Indii odczuje cała indyjska gospodarka, w tym sektory niemające nic wspólnego z przemysłem energetycznym. Gigantyczne cła uderzą w indyjskich przedsiębiorców i amerykańskich konsumentów, na których odbiją się wyższe ceny towarów importowanych z Indii do USA.

Oczywiście, cła są często używane jako forma nacisku w negocjacjach między państwami. Jest to jednak powolny proces. W celu stłamszenia rosyjskiej gospodarki, a o to w tym wszystkim chodzi, potrzebne jest szybkie działanie i temu służą sankcje, którymi można uderzyć z większą precyzją.

Według analiz Atlantic Council cel jest jeden: tak zdławić sankcjami eksport rosyjskiej ropy, by Kreml musiał mocniej sięgnąć do rezerw złota. Bo to jeszcze bardziej pogrążyłoby gospodarkę Rosji i utrudniłoby finansowanie wojny. Złoto pomaga Kremlowi łagodzić straty po tym, jak po 24 lutego 2022 r. Zachód zamroził rosyjskie aktywa za granicą.

Kreml budował tę poduszkę finansową przez lata. W artykule, który napisałam razem z Kimberly Donovan, czołową ekspertką Atlantic Council, tłumaczymy, że rosyjski bank centralny ma dziś jedną z największych rezerw złota na świecie. To efekt strategii zapoczątkowanej w 2014 r., gdy po aneksji Krymu Zachód nałożył na Rosję sankcje.

Złoto jest nie tylko solidną poduszką finansową, ale ułatwia także Rosji pozyskiwanie zagranicznych walut. Wiemy na przykład, że rosyjskie banki Lanta Bank i Vitabank w zamian za złoto załatwiły sobie dostawy dolarów, euro i juanów, które przetransportowano 21 statkami ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich i Turcji. Całość dostawy szacowana jest na 82 mln dolarów. Z powrotem statki zabrały rosyjskie sztabki złota.

Transakcje – gotówka za złoto – to kolejny sposób na omijanie sankcji. Rosja zapewne będzie sięgać po ten wytrych w miarę rosnącej presji ekonomicznej.

Tu muszę spytać o tankowce z tzw. floty cieni, którymi Rosja przewozi ropę, nie stosując się do limitu cenowego za baryłkę. Jak to działa?

Spójrzmy na statystyki. Z naszych badań w Atlantic Council wynika, że w 2022 r., po nałożeniu sankcji na Rosję w związku z inwazją na Ukrainę, ponad dwukrotnie wzrosła liczba niejawnych kupców, nabywających tankowce. Kupowały je zwykle spółki fasadowe lub osoby działające w rzeczywistości w imieniu rosyjskich właścicieli. Rosja wzoruje się tu na Iranie, od lat przewożącym zdezelowanymi tankowcami ropę do Chin.

Między Rosją a Iranem jest jednak zasadnicza różnica: rosyjska ropa, w przeciwieństwie do irańskiej, nie jest objęta sankcjami. Jako że zakup irańskiej ropy jest zakazany, bez względu na cenę, Chiny są ostrożne przy kupowaniu irańskiego surowca. Np. zanim irańska ropa dotrze do Chin, „staje się" surowcem pochodzącym z Malezji lub innego kraju trzeciego.

Powszechną praktyką służącą zatajeniu, skąd dany tankowiec przypłynął, jest też m.in. żonglowanie jego nazwą oraz rejestrowanie go pod banderą niezwiązaną z armatorem. To wszystko ma zmniejszyć ryzyko, że USA nałożą sankcje na chińskie podmioty kupujące irańską ropę.

Jak skomplikowany jest to proceder w przypadku Rosji, pokazuje niedawne nałożenie przez Unię sankcji na Intershipping Services LLC. To mająca siedzibę w Zjednoczonych Emiratach Arabskich spółka, która rejestruje statki pod banderą Gabonu, z czego korzystają tankowce wożące rosyjską ropę. Jak jeszcze Europa walczy z „flotą cieni"?

Władze niektórych krajów Europy nasiliły kontrolę nad statkami przepływającymi przez ich wody lub cumującymi w ich portach. Np. Finlandia od grudnia 2024 r. wymaga przedstawienia polisy ubezpieczeniowej przez tankowce, które przypłynęły z rosyjskich portów. Z kolei Estonia przez ostatnie półtora roku zażądała w ten sposób dokumentacji od ponad tysiąca tankowców.

To dobry kierunek, choć w praktyce trudno sprawdzić, czy przedstawiona dokumentacja nie jest sfałszowana.

Załóżmy, że tankowiec z rosyjską ropą dociera do Indii czy Chin. Jak Kreml rozlicza się z tymi krajami, omijając zachodni system finansowy?

Rosjanie rozliczają się z Indiami i Chinami w walucie lokalnej. Nawiasem mówiąc, po nałożeniu sankcji na Rosję po jej ataku na Ukrainę to chiński juan stał się kluczową walutą w rosyjskim handlu międzynarodowym. Ze środków uzyskanych ze sprzedaży ropy Rosja kupuje od Chin i Indii technologię. To szczególnie istotne w przypadku handlu z Indiami, bo indyjskie rupie, zakumulowane ze sprzedaży rosyjskiej ropy, trudno jest wymienić na inną walutę.

Dzięki chińskim i indyjskim technologiom Rosja może zapełnić lukę po odcięciu od zachodnich dostaw. Choć to odcięcie jest dziurawe: bywa, że na Ukraińców spadają rosyjskie drony i pociski zawierające zachodnie komponenty. Trafiają one do Rosji tak, że są reeksportowane przez firmy z Azji Środkowej i Kaukazu.

I tu mamy głębszy problem. Łatwiej nałożyć sankcje, odcinając jakiś podmiot od globalnego systemu finansowego, niż skontrolować, czy dostawy technologii np. dla Kirgistanu są reeksportowane dalej. Trudno tu oczekiwać od krajów Azji Środkowej, mocno uzależnionych od handlu z Rosją, że nagle zaprzestaną tej praktyki. Skoro Zachód wprowadził restrykcje dotyczące eksportu technologii do Rosji, to powinien pomóc jej sąsiadom w dywersyfikacji partnerów handlowych.

Mówi się, że to Chiny są najbardziej kluczowe dla omijania zachodnich sankcji nie tylko przez Rosję, lecz także przez Iran i Koreę Północną. Skąd ta wiodąca rola Chin?

Jako największy importer ropy naftowej na świecie, Chiny przyciągają reżimy, które utrzymują się ze sprzedaży ↦

tego surowca mimo sankcji nałożonych przez Zachód. Zbieżność interesów handlowych to jedno. Drugie to mało przejrzysty system finansowy w Chinach, a w szczególności w Hongkongu, który sprzyja omijaniu sankcji. Tam łatwo jest założyć spółki fasadowe. Dodatkowo w Chinach działają siatki przestępcze zajmujące się praniem brudnych pieniędzy, co może ułatwiać Iranowi i Rosji omijanie sankcji.

Rozumiem, że „opcją nuklearną" byłoby uderzenie w chińskie banki, które ułatwiają Rosji obchodzenie zachodnich sankcji?

Nie chcąc narazić się Stanom, duże chińskie banki już teraz są ostrożne, gdy idzie o obsługę transakcji z rosyjskimi podmiotami i osobami objętymi sankcjami. W 2024 r. właśnie z tego powodu rosyjskie banki miały duże problemy ze ściągnięciem należnych płatności.

Dziś za obsługę bardziej ryzykownych transakcji odpowiedzialne są w Chinach mniejsze banki, których wciągnięcie na listę sankcyjną przez Stany nie uderzy tak mocno w chińską gospodarkę. Zachód już przygląda się tej sprawie. Media donosiły, że o roli małych chińskich banków w omijaniu sankcji przez Rosję dyskutowano podczas zeszłorocznego szczytu G-7.

Jak po tym wszystkim, o czym rozmawiałyśmy, ocenia Pani zaproponowany przez Komisję Europejską najnowszy, dziewiętnasty pakiet sankcji wobec Rosji?

Bardzo dobrym ruchem jest gotowość do zakazania importu rosyjskiego skroplonego gazu LNG do krajów Unii Europejskiej. To zmniejszyłoby wpływy Rosji z eksportu paliw kopalnych. To też sygnał, że dla Unii ważny jest sojusz ze Stanami Zjednoczonymi – sojusz, który powinien doprowadzić do nałożenia sankcji na rosyjską ropę.

Na długiej liście tego unijnego pakietu jest też m.in. zakaz transakcji z producentami ropy – gigantami naftowymi Rosnieft i Gazprom Nieft. Unię stać na ostry kurs, tymczasem dziś Trump, a wcześniej Biden zwlekali z uderzeniem w rosyjski sektor paliwowy. Dlaczego Biden nałożył wspomniane wcześniej sankcje na rosyjskich producentów ropy dopiero pod koniec swojej prezydentury?

Za rządów Bidena rynek ropy i światowa gospodarka, wymęczone przez pandemię, były w nieco innym położeniu. Nałożenie sankcji na rosyjską ropę i w rezultacie ograniczenie jej podaży na rynku doprowadziłoby do wzrostu cen. Dziś taki ruch jest łatwiejszy, bo kraje OPEC zwiększyły produkcję, łatwiej jest więc o znalezienie alternatywy dla dostaw rosyjskiej ropy.

Mimo to obecna administracja USA również obawia się ewentualnych zawirowań na światowym rynku ropy. Do tego jeszcze część polityków być może wciąż wierzy, że jest szansa na pokojowe dogadanie się z Rosją.

Zniecierpliwienia tym nie kryją nawet senatorzy z Partii Republikańskiej. Chcą, aby Trump przestał blokować projekt ustawy uderzającej w kraje kupujące rosyjską ropę. Jak ocenia Pani ten projekt?

Ten projekt, przedłożony przez senatora Lindseya Grahama, zakłada możliwość nałożenia 500-procentowych ceł na produkty eksportowane do USA przez państwa kupujące rosyjską ropę. Doświadczenia pokazały jednak, że jej najwięksi importerzy, Chiny i Indie, nie garnęły się do zmniejszenia zamówień nawet w obliczu groźby nałożenia ceł.

W tym wszystkim wciąż najbardziej skutecznym narzędziem w rękach amerykańskiego rządu są sankcje finansowe. Najwyższa pora, by władza wykonawcza w USA dopilnowała, czy są one przestrzegane. © MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press", stale współpracuje z „TP".

MATERIAŁY PRASOWE

MAIA NIKOLADZE jest ekspertką think tanku Atlantic Council, specjalizuje się w tematyce sankcji. Zastępczyni dyrektorki Economic Statecraft Initiative – programu badawczego, w ramach którego prowadzona jest m.in. baza sankcji wraz z analizą, czy są one skuteczne.

Wszystkie twarze Ottona

WOJCIECH PIĘCIAK

UKRAINA | Od grudnia 2024 r. zawieźliśmy na Ukrainę 99 agregatów i stacji zasilania, a także sprzęt medyczny i materiały opatrunkowe: razem 9 ton pomocy, podarowanej przez czytelniczki i czytelników „Tygodnika". Wojna trwa, trwa więc też nasza akcja.

DWANAŚCIE GODZIN: TYLE TRWAŁA najdłuższa akcja ratowania – czytaj: rekonstruowania, na nowo – twarzy rannego człowieka. Właściwie to dłużej. Gdy po dwunastu godzinach operacji skończyli ciąć, szyć i przeszczepiać skórę oraz kości (do przeszczepu na twarz najlepsza jest kość pobrana z łydki), Otto-Kristian wyskoczył za róg do sklepu, by kupić coś do jedzenia.

Potem wrócił na salę, by w kolejnych godzinach kontrolować co chwila, czy przeszczep nie obumiera. Kontrola polega także na tym, że drapie się igiełką twarz, nawet do krwi – jeśli reaguje, znaczy, że tkanka żyje.

ODDZIAŁ Z KIJOWA | Twarze: Otto-Kristian ma ich w telefonie już setki. Stare i młode, także młodzieńcze. Okaleczone, popalone, bez fragmentu szczęki, nosa, oka. Czasem nieprzypominające już w ogóle ludzkiego oblicza. Twarze przed i po. Zdjęcia to dokumentacja – operacji, postępu leczenia. I do nauki.

Bo Otto-Kristian nadal się uczy (jest Ukraińcem o węgiersko-austriackich korzeniach, stąd nietypowe imię). Ma 24 lata, a z Oddziałem Chirurgii Szczękowo-Twarzowej szpitala obwodowego w Kijowie jest związany od sierpnia 2023 r. Najpierw odbywał staż podyplo-

ARCHIWUM WOJCIECHA PIĘCIAKA x2

Powyżej: lekarze z Oddziału Chirurgii Szczękowo-Twarzowej szpitala w Kijowie z materiałami medycznymi; z lewej Otto-Kristian. Sierpień 2025 r.

Obok: Ludwik, szef szpitala polowego na styku obwodów donieckiego i dniepropietrowskiego, ze stacją zasilania. Październik 2025 r.

mowy, potem specjalizację z chirurgii stomatologicznej. Niedawno, 1 września, zaczął specjalizację z chirurgii szczękowo-twarzowej. Choć młody, uczestniczy w operacjach. Zresztą cała ich ekipa jest młoda; średnia wieku to poniżej trzydziestki.

– Na naszym Oddziale prowadzone są operacje twarzy i głowy żołnierzy oraz cywilów. Takich jest zwykle kilka dziennie, czasem trwają wiele godzin – mówi Otto-Kristian „Tygodnikowi". – Np. dziś miałem trudny dyżur, trafiło do nas wielu ciężko rannych, którzy zostali przetransportowani do Kijowa „ewakiem", sanitarnym pociągiem ewakuacyjnym ze szpitali polowych.

Raz lub dwa razy w tygodniu prowadzą operację pełnej rekonstrukcji twarzy; trwa zwykle kilkanaście godzin. – Moglibyśmy robić ich więcej, ale nie mamy dość sprzętu – mówił Otto-Kristian.

DLA CAŁEGO FRONTU | Oddział, na którym pracuje Otto-Kristian, otrzymał koagulator do operacji (podarował go czytelnik, który produkuje takie aparaty; łącznie w ostatnich transportach pojechało pięć podarowanych przez niego koagulatorów), a także agregat (mają przerwy w dostawie prądu) i kilkaset kilo materiałów medycznych do zabiegów. Te ostatnie podarowały toruńskie zakłady TZMO: 2,5 tony rozdzieliliśmy między szpitale w Kijowie, Sumach, Czerniowcach, Dnieprze i Drohobyczu.

Prócz szpitali „tyłowych", materiały medyczne, a także agregaty i stacje zasilania, które zawieźliśmy w sześciu transportach (licząc od grudnia 2024 r. do września 2025 r.), trafiły przede wszystkim do punktów stabilizacyjnych (tj. wysuniętych szpitali polowych), kompanii medycznych, a także służb i jednostek wojskowych wzdłuż całej właściwie linii frontu: od pogranicza obwodów sumskiego i kurskiego, przez Charków, Kupiańsk, cały Donbas, Zaporoże, aż po odcinek chersoński.

Z kolei dwa bardzo mocne agregaty (jeden o wadze 1,5 tony) trafiły do jednostek obrony przeciwlotniczej, a kilkanaście mniejszych, mobilnych, do jednostek rozpoznania akustycznego i elektronicznego.

Przynajmniej w taki sposób możemy przyczynić się do ochrony ukraińskiego nieba.

NASZA AKCJA TRWA | Łącznie od grudnia 2024 r. zawieźliśmy na Ukrainę – w ramach naszej akcji, organizowanej dzięki czytelniczkom i czytelnikom „Tygodnika" oraz współpracującemu z nami Stowarzyszeniu Inicjatywa Sąsiedzka – prawie 9 ton pomocy. Jej rozdzielenie jest udokumentowane: podziękowaniami od odbiorców, zdjęciami i nagraniami wideo.

– Przyjaciele, dziękujemy, że nas wspieracie, że nie jesteśmy sami – mówił w nagraniu wideo Wołodymyr, weteran z obrony terytorialnej i dziś wolontariusz.

Putin powtórzył niedawno, że jego cele są niezmienne, a głównym jest zniszczenie niepodległej Ukrainy. Mimo rosnących ofiar, Ukraińcy chcą się nadal bronić – uznają, że nie mają wyboru. Wojna trwa, trwa więc także nasza akcja. Zbiórkę funduszy prowadzi Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka, współpracujące z „Tygodnikiem". ©℗

Oto numery kont:

Wpłata w złotówkach:
20109025900000000150440623

Wpłata w euro:
64109025900000000150440898

Odbiorca: Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka (www.inicjatywasasiedzka.org). Darowiznę można odliczyć od podatku. Dziękujemy!

MARCIN WOLNY / CONRAD FESTIVAL / FTP

17. NADZIEJA RADYKALNA.

CONRAD FESTIVAL
20 — 26.X.2025
KRAKÓW

LUKAS KABON / ANADOLU / AFP / EAST NEWS

Powyborcza fiesta w sztabie ANO, w środku Andrej Babiš. 4 października 2025 r.

Jarmark pod Złotym Aniołem

MARTYNA WASIUTA Z PRAGI

CZECHY | Choć Andrej Babiš wygrał i będzie premierem, nie jest oczywiste, kto znajdzie się w jego koalicji – formalnej lub cichej. Od tego zaś zależy wiele, w tym prozachodni kurs państwa.

To może być gorący poniedziałek. Na 3 listopada przewidziane jest pierwsze posiedzenie nowo wybranej Izby Poselskiej czeskiego parlamentu.

Wówczas to do dymisji poda się aktualny centroprawicowy rząd Petra Fiali. Prawdopodobnie do tego czasu powstanie jakiś zarys nowego gabinetu. Na razie można o nim powiedzieć tylko tyle, że każdy scenariusz jest jeszcze możliwy.

„Tak będzie, bo cię kocham"

Co ma wspólnego hit z festiwalu piosenki w San Remo z lat 80. XX stulecia z Czechami jesienią roku 2025? Więcej niż byśmy się spodziewali.

Kiedy w sobotę 4 października około godziny 17.30 ogłoszono wyniki z 99 proc. okręgów, a zwycięstwo ruchu ANO 2011 było już niekwestionowalne, do partyjnego sztabu na praskim Chodovie przybył 71-letni Andrej Babiš, jego lider.

Był w euforii. Wysiadł z auta z głośnikiem w jednej ręce i telefonem w drugiej. Przedzierał się przez tłum równie rozemocjonowanych dziennikarzy i kamerzystów, którzy za wszelką cenę chcieli się dowiedzieć, z kim Babiš będzie rządzić. Oraz czy potwierdzi się snuty jeszcze przed wyborami scenariusz, że będą to partie antysystemowe.

A wszystko to w rytmie włoskiego przeboju „*Sarà perché ti amo*" (Tak będzie, bo cię kocham). Płynął on z głośnika, który założyciel ANO trzymał nad głową – tak aby hałas, jaki robiła armia dziennikarzy, nie zagłuszył jego hymnu, hymnu zwycięzców.

Potem było jeszcze głośniej. Przebój zespołu Ricchi e Poveri (nazwę tej popowej grupy, założonej w 1967 r., gdy mały Andrej miał 13 lat, można przełożyć jako Bogacze i Biedacy) puszczono ponownie z głośników, gdy Babiš przemierzał drogę na scenę.

Drogę usłaną mu przez partyjnych kolegów i koleżanki wprawdzie nie różami, ale brawami, piskami i uśmiechami. Nastrój eskalował, gdy już na scenie Babiš zatańczył i zaśpiewał. „Tak będzie, bo cię kocham" – powtarzał tłum sympatyków.

Praga zachowuje dystans

Włoski przebój towarzyszy liderowi ruchu ANO już od jakiegoś czasu. Wideo z Babišem tańczącym do tej piosenki po wygranej w wyborach regionalnych w 2024 r. stało się w Czechach wiralem.

Song wrócił, początkowo w mediach społecznościowych, również w tym roku – po jednej z ostatnich przedwyborczych debat Babiša z premierem Fialą. W poczuciu triumfu nad głównym rywalem, Babiš puścił ją w aucie, śpiewając i relacjonując wszystko online. Zareagował nawet Fiala, udostępniając post Babiša z pytaniem, czy coś mu nie dolega.

W ten sposób teraz, w sobotni jesienny wieczór, sztab ANO – ulokowany kilkaset metrów od siedziby Agrofertu, koncernu należącego do Babiša – stał się na chwilę politycznym epicentrum. Wystrzelono confetti, a gdy muzyka przycichła, usłyszeliśmy od lidera ANO, że to ukoronowanie jego kariery i że ruch jest silniejszy niż kiedykolwiek.

W samej Pradze panował jednak spokój i dystans. Plakatów i billboardów prawie nie było widać. Bo w stolicy zwycięzcę wyborów można łatwo przewidzieć. Od lat, z jednym wyjątkiem, wygrywały tu prawicowe formacje Obywatelska Partia Demokratyczna i TOP 09, a teraz koalicja z udziałem obu tych partii, czyli Spolu.

Po 1993 r. w Pradze tylko raz prawicowa partia nie otrzymała najwyższego poparcia – był to rok 2017, gdy także tutaj wygrał ruch ANO. Wówczas to Babiš został po raz pierwszy premierem; rządził do 2021 r., gdy musiał oddać urząd Fiali.

Dlatego w Pradze nie warto inwestować w wynajem powierzchni reklamowej. Prawica i liberałowie nie muszą martwić się tu o wynik, a populiści i radykałowie dawno pogodzili się z tym, że nie mają tutaj czego wygrać.

Przekąska na Andělu

Atmosferę tych dni w Pradze dobrze widać było w okolicy tzw. Anděla. To rozległe skrzyżowanie w dzielnicy Smichov. Nazwa pochodzi od nieistniejącego już domu Pod Złotym Aniołem. Ten XIX-wieczny zajazd zburzono w 1980 r., by zrobić miejsce dla stacji metra. Także ↦

nazwa miejsca uległa duchowi czasów: stację i pobliskie przystanki tramwajowe przemianowano na Moskiewską. Aby zatrzeć wrażenie narzuconej nazwy, w przedsionku metra powstała mozaika – moskiewski Plac Czerwony.

Do historycznej nazwy powrócono po 1989 r., a dziś Anděl jest jedną z najruchliwszych stacji metra w Pradze. W okolicy powstało też centrum handlowe i biurowiec o nazwie, jakżeby inaczej, Złoty Anioł.

Tradycyjnie już w czasie wyborów na pobliskim deptaku stają namioty partii wszelkiej maści, w których spotkać można polityków, porozmawiać, zrobić sobie z nimi zdjęcie. Można też dostać tutaj partyjne gadżety czy poczęstować się napojem lub przekąską, na koszt partii oczywiście. To swego rodzaju przedwyborczy jarmark, który dla Pragi jest tak charakterystyczny, jak bezpośredni kontakt czeskiego polityka z wyborcą. Nawet kosztem obelg ze strony tego ostatniego.

Anděl jest też symbolem klęski komunizmu w Czechach. I choć także dziś w tej okolicy można spotkać komunistów, to w tegorocznych wyborach już drugi raz z rzędu nie przekroczyli oni progu 5 procent i nie znaleźli się w parlamencie. Są jednymi z największych przegranych.

Wizja „agrofertyzacji"

Wprawdzie komuniści nie będą rządzić – tego obawiano się w ostatnich miesiącach – jednak zagrożenie ze strony antysystemowców nie znika. Babiš powtarza, że chce utworzyć rząd we współpracy z dwiema formacjami, które do tej pory ustawiały się w kontrze do tego, co nazywają „systemem": z ksenofobiczną SPD oraz antyekologicznymi Kierowcami dla Siebie.

W czeskich mediach nie brakuje więc obaw o przyszłość państwa i społeczeństwa. O ile mało kto obawia się czexitu, wyjścia Czech z Unii Europejskiej, to pojawiają się głosy, że w kraju może nastąpić eskalacja wojen kulturowych – rozumianych jako polaryzacja wokół tych kwestii, które w zasadzie nie powinny być przedmiotem sporu, ponieważ wpłyną one negatywnie na demokrację i bezpieczeństwo kraju.

Pojawiają się więc obawy o zmiany w systemie edukacji (na wzór tych w USA po objęciu władzy przez Trumpa), ochrony środowiska (przez przyszłą „koalicję trojga" pojmowanej jako narzucane przez „Brukselę" ograniczenia), o politykę energetyczną (kwestia dekarbonizacji), o cięcia finansowania dla „wrogich" organizacji pozarządowych, o polityzację mediów publicznych itd. Znany socjolog Daniel Prokop wyraża wprost obawę, czy nie dojdzie do walki nowej ekipy rządzącej z elitami kulturalnymi i mniejszościami.

Niektórzy prognozują „agrofertyzację" Czech: podporządkowanie państwa interesom Babiša, tak jak jego koncernu Agrofert.

Jeszcze inni prognozują „agrofertyzację" państwa – neologizm ten, nawiązujący do nazwy wspomnianego koncernu Agrofert, ma symbolizować podporządkowanie instytucji publicznych interesom Babiša i ich wykorzystywanie dla zwiększania zysków jego rolno-spożywczego imperium.

Kierowca ministrem ekologii?

Na razie trwają więc przymiarki, dyskusje – i także pierwsze protesty. W reakcji na wypowiedzi Kierowców, że ich lider Petr Macinka powinien objąć tekę ministra środowiska, ponad 20 organizacji ekologicznych zaapelowało w liście otwartym do Andreja Babiša, aby nie nominował na to stanowisko nikogo z partii Kierowcy dla Siebie.

Sygnatariusze argumentują, że urząd ten powinien objąć ktoś, kto potrafi połączyć ochronę środowiska z rozwojem nowoczesnego przemysłu, energetyki i rolnictwa, opierając się na wiedzy naukowej i na dialogu z ekspertami. Według nich Macinka to „przeciwnik ochrony środowiska i zwolennik Václava Klausa, który zaprzecza naukowej wiedzy na temat klimatu".

Wizję rządów Babiša z SPD i Kierowcami psują poniekąd sami zainteresowani. Dzielą skórę na niedźwiedziu, brylując w mediach i niemal tytułując się już ministrami spraw zagranicznych czy środowiska – choć Babiš niczego im jeszcze nie potwierdził. To, jakie stanowiska byłyby obsadzone przez potencjalnych koalicjantów, wiemy od nich samych. Mimo to Tomio Okamura z SPD, polityk z zarzutami i pozbawiony immunitetu poselskiego, zapowiada już, że wymieniłby komendanta głównego czeskiej policji.

Przypomnijmy: Babišowi marzy się rząd mniejszościowy, a nie koalicja. W spełnieniu tego snu mają mu pomóc SPD i Kierowcy, ale nie jako formalni partnerzy. Ci jednak mają swoje ambicje, co jest nie w smak Babišowi, przyzwyczajonemu, że to on rozdaje karty.

A może będzie inaczej?

Babiš, choć lubi nazywać się przyjacielem Viktora Orbána, jest też biznesmenem, a jego spółki uzależnione są od publicznych dotacji, w tym tych z Unii Europejskiej. Nie narazi Czech na spory wokół praworządności, które mogłyby zagrozić wstrzymaniu pieniędzy dla jego firm. Zdaje też sobie sprawę, że stabilne środowisko polityczne sprzyja rozwojowi gospodarczemu. Można sądzić, że będzie mu więc bardziej zależeć na zachowaniu *status quo* niż na rewolucji.

Warto tu zaznaczyć, że po tym, jak koalicja Spolu poniosła porażkę, Petr Fiala ogłosił, iż nie będzie ubiegać się ponownie o stanowisko lidera Obywatelskiej Partii Demokratycznej (ODS, jednej z formacji tej koalicji). W mediach pojawiają się też pytania o sens i przyszłość Spolu.

To zaś oznacza, że scenariusz rządu mniejszościowego Babiša, który miałby nieformalne poparcie ze strony ODS i kilku posłów Spolu, nie jest już tak odległy, jak mogło się wydawać przed wyborami. Wprawdzie obie strony nadal twierdzą, że nie zamierzają współpracować, jednak sytuacja jest dynamiczna.

Nie bez znaczenia jest też postawa prezydenta Petra Pavla. Zapowiedział on Babišowi, że przy mianowaniu rządu będzie kierować się zasadami, na których opiera się demokratyczne państwo. Wymienił: zakorzenienie w Unii, polityka zagraniczna kładąca nacisk na prawa człowieka, członkostwo w NATO, niezależność mediów publicznych, sądownictwa, prokuratury i policji, a także innych organów państwowych.

Jeśli zestawi się ten „dekalog" Pavla z wypowiedziami np. Tomia Okamury, widać przepaść. Natomiast politycy Spolu – to gwarancja kontynuacji prozachodniego kursu Czech. © MARTYNA WASIUTA

Autorka prowadzi portal **Czeskapolityka.pl**

Po nowy tom prós Jorge Luisa Borgesa
„Księga piasku. Pamięć Szekspira”
zapraszamy do księgarń kameralnych
i na piw.pl

PREMIERA „KSIĘGI PIASKU. PAMIĘCI SZEKSPIRA” W RAMACH FESTIWALU LABIRYNT BORGES

REKLAMY

Najbliżej
wielkiej muzyki

Śledź Konkurs Chopinowski na
wyborcza.pl/chopin25

WIARA

NIE DAJCIE SIĘ WYPCHNĄĆ

Pielgrzymka z Obrzeży Kościoła przybyła na Jasną Górę. Udowadniając, wbrew krytykom i malkontentom, że jest tam miejsce dla każdego. Także dla tych, których istnieniu dotąd zaprzeczano.

MONIKA BIAŁKOWSKA

Basia opowiada, że kiedy tylko zobaczyła wielką kolejkę przez Bastionem św. Barbary, zrobiło jej się cieplej na sercu.

– Przepraszam, „Obrzeża" to tutaj? – zapytała. – Bo ja ze Słupska! – pochwaliła się, myśląc, że zrobi wrażenie.

– Cóż... Ja z Pekinu.

Rzeczywiście. Jeden z uczestników przyleciał na Jasną Górę prosto z Chin. Basia opowiada dalej, porównując Pielgrzymkę z Obrzeży Kościoła do wyjazdu służbowego czy delegacji. – Tam, wśród obcych ludzi, musisz po prostu odbębnić swoje, odliczasz czas do powrotu. Tutaj od początku było zupełnie inaczej. Jakbym przyjechała do domu. Poczułam się przyjęta, jak u przyjaciół, którzy specjalnie dla mnie rozpalają kominek i szykują gorącą czekoladę. A przecież tu też byli obcy ludzie!

Cud

To był cud. Wydarzył się 4 października w Bastionie św. Barbary na Jasnej Górze. Cud spotkania w różnorodności. Cud przygarnięcia wszystkich zranień. Cud nawrócenia. Program Pielgrzymki z Obrzeży Kościoła był prosty: panel, okazja do spowiedzi i obrzędu umycia nóg, chwila na prywatne rozmowy, msza święta. Nic nadzwyczajnego. Nic, czego by wcześniej nie było.

Jednak samo zaproszenie, adresowane do ludzi, którzy w Kościele czują się niechciani, niewygodni lub przemilczani, którzy w jakikolwiek sposób przez innych w Kościele zostali skrzywdzeni, działało cuda. Ci, którzy wcześniej byli odrzuceni, poczuli się oczekiwani. Ci, których istnieniu zaprzeczano, mogli spojrzeć sobie w oczy.

Cudem były kolejki do księży, którzy nie ukrywali wzruszenia spowiedziami. Cudem długie rozmowy. Poruszająca serca homilia bp. Artura Ważnego. Wspólne odnowienie przyrzeczeń chrzcielnych, z zapalonymi świecami w dłoniach – dawało siłę i przypominało o chrześcijańskiej tożsamości. Większych cudów nie trzeba. Nie człowiek zresztą ocenia, co się dzieje w drugim. W sercach ludzi ma działać sam Pan Bóg. Ludzie o tym mówią.

Magdalena

– Kilkanaście lat temu podjęłam trudną decyzję, żeby związać się z człowiekiem „z przeszłością" – mówi Magdalena. – Ale nie to wydarzenie sprawiło, że zaczęłam myśleć o Kościele jako o miejscu nie dla mnie. Już później usłyszałam, że jestem „gorszym sortem". Obśmiałam to. Potem, że jestem „ukrytą opcją niemiecką". Dalej z uśmiechem na twarzy mówiłam, że nie ukrytą, tylko jawną, bo mam niemieckie korzenie. Przestało mi być do śmiechu, kiedy dowiedziałam się z ambony, że nie jestem prawdziwą katoliczką, bo głosuję zgodnie z własnym sumieniem, a nie zgodnie z poleceniem księdza. A potem były filmy Sekielskich oraz bomba w postaci informacji, że mój katecheta, ksiądz, który przygotowywał mnie do bierzmowania, jest oskarżony o pedofilię.

– Słuchając historii chrztu księdza Dawida Dyrcza i ojca Michała Legana – jednemu i drugiemu księża przed laty odmawiali udzielenia chrztu – boleśnie przypomniałam sobie historię syna mojego męża – kontynuuje Magdalena. – Został wprawdzie ochrzczony, ale kilkanaście

AGNIESZKA GAMDZYK / MATERIAŁY PRASOWE

Pielgrzymka z Obrzeży Kościoła. Jasna Góra, 4 października 2025 r.

lat później usłyszał, że z powodu braku ślubu kościelnego rodziców jest nieczysty. On nie jest na obrzeżach Kościoła. Jest poza Kościołem i nie chce do niego wracać. Bardzo się cieszę, że pojechałam na Jasną Górę. Uczestnictwo w pielgrzymce upewniło mnie, że chcę zostać w Kościele, a nie szukać własnej drogi do Boga. Nie byłam tu kilkanaście lat. Dzięki tej pielgrzymce wiem, że jest tam również miejsce dla nas.

Basia

– Nie byłam u komunii od jakichś dziesięciu lat, u spowiedzi pewnie tyle samo – opowiada Basia. – Zewsząd słyszę, że same moje poglądy stawiają mnie poza Kościołem. Nie oburzam się na homoseksualistów i tworzenie przez nich związków, usankcjonowanych przez państwo. Nie mam nic przeciwko wychowywaniu dzieci przez takie rodziny. Całym sercem jestem za *in vitro*. Choć nie uważam aborcji za coś pozytywnego, jestem przeciwna temu, co się stało w 2020 r. Sprzeciwiam się też próbom zrobienia ustawy z Katechizmu Kościoła Katolickiego. Nie zgadzam się z teologią ciała według Jana Pawła II. Dla dodania dramatyzmu jestem starą panną i bezdzietną kociarą. W czasie pielgrzymki zadałam pytanie o. Maciejowi Biskupowi: czy taka nieprawomyślność naprawdę wyklucza mnie z życia sakramentalnego?

– Zapragnęłam iść do spowiedzi i wrócić do sakramentów – zwierza się Basia – ale uznałam, że to dzieje się za szybko. Po tylu latach przerwy potrzebuję głębszego przygotowania przed spowiedzią. Jednak drzwi zostały uchylone. Wiem, że sporo osób wyspowiadało się i przyjęło komunię świętą pierwszy raz od lat – to samo w sobie pokazuje, jakie są owoce tej pielgrzymki.

Paweł

Na Jasną Górę przyjechał z głęboką raną, wywołaną przez to miejsce. – Przez wiele lat uczestniczyłem w pieszych pielgrzymkach, zanosząc tam swoje życie. Zawsze było to dla mnie święte miejsce ↦

AGNIESZKA GAMDZYK / MATERIAŁY PRASOWE

Panel dyskusyjny w czasie Pielgrzymki z Obrzeży Kościoła. Od lewej: ks. Dawid Dyrcz, duszpasterz osób w związkach niesakramentalnych w archidiecezji katowickiej, red. Monika Białkowska, dziennikarka „Tygodnika Powszechnego" i o. Michał Legan, paulin, kierownik Redakcji Audycji Katolickich Telewizji Polskiej. Jasna Góra, 4 października 2025 r.

↦ – wspomina Paweł. – Potem gorszące wydarzenia na Jasnej Górze sprawiły, że odszedłem. Pozwoliłem triumfować złu. Pozostała tęsknota i żal. Kiedy usłyszałem o inicjatywie, jaką miała być pielgrzymka dla osób skrzywdzonych w Kościele, poczułem, jakby już sama idea uśmierzała mój ból. „Nie dajcie się wypchnąć, czujcie się kochani i zaproszeni" – wyraźnie usłyszałem te słowa. Wróciłem do Domu. Już wiem, że mimo wszystko Jasna Góra zawsze będzie dla mnie świętym zakątkiem na tej ziemi i nic nie jest mi w stanie go odebrać. Dzięki temu wydarzeniu po raz pierwszy od wielu lat spojrzałem inaczej na Kościół. Być może zrodziła się we mnie nadzieja...

Dorota

– Moja sytuacja jest dramatyczna. Od 2019 r. nie mogłam przekroczyć bram kościoła – przyznaje Dorota. – Miałam barierę psychiczną i fizyczną. Zostawałam w domu, słuchając mszy online. Tęskniłam za Eucharystią przez lata. Miały na to wpływ zranienia, jakich doznałam od duszpasterzy, a o których przez lata bałam się opowiedzieć. Wiary nie straciłam, tego jestem pewna. Dzięki tej pielgrzymce pokonałam lęki, które są we mnie. Wróciłam umocniona. Byłam wzruszona postawą ludzi, którzy służyli pomocą w dotarciu na Jasną Górę. Czułam dobroć tych, którzy tam byli. Nie zapomnę tego do końca życia. Pielgrzymka umocniła mnie w wierze, że Kościół jest dalej moim Kościołem. Matka Boża jest Matką nas wszystkich: ludzi poranionych, zagubionych, odtrąconych, ludzi, którzy noszą w sercach rany, i ludzi, którzy towarzyszą im w leczeniu tych zranień. Jezus Chrystus nie robi złudzeń, nie wprowadza w błąd. Można wyjść z obrzeży z podniesioną głową, zachowując godność człowieka.

Artur

Artur opowiada, że na Jasnej Górze miało go nie być: mówi, że jego peryferia Kościoła to w porównaniu z innymi ledwie delikatne przedmieścia. Zmotywował go hejt, rozkręcony przez media. – Kiedy przeczytałem, że ktoś, pod wpływem nagonki redaktora Pospieszalskiego, nie przyjedzie, bo się boi ostracyzmu, to ta nie-moja-pielgrzymka stała się moją – wyznaje. – Chciałem dać swoją twarz w zastępstwie nieobecnych. Przyjechałem na samą mszę. Poruszyło mnie kazanie mojego imiennika, biskupa Artura. Nagle będąc na wewnętrznych przedmieściach Kościoła, poczułem się „Ważny". Było nas już dwóch – Arturów Ważnych. „Nie dajcie się wypchnąć z Kościoła" – ta myśl ze mną pozostanie.

Jakub

– Od pewnego czasu staram się wychodzić do ludzi, z którymi nie do końca mi po drodze, których się jakoś obawiam czy boję, z którymi „nie powinienem" się spotykać, bo mogą mnie sprowadzić na złą drogę (nie prowadzi się dialogu ze złem, prawda?) – opowiada Jakub. – Pojechałem na Jasną Górę, bo czuję się z Kościoła wypychany: gestami parafialnych księży, listami KEP, słowami walczących działaczy o jedynie-słusznych-poglądach. Chciałem też spotkać ludzi, których to ja w Kościele przez wiele lat nie chciałem widzieć. I rzeczywiście mogłem ich spotkać. Zobaczyć, że, choć inaczej się ubierają czy zachowują, są... ludźmi. Nie mieszczą się w schematach, w ciasnych gorsetach konwenansów, ale czy mam jakikolwiek mandat twierdzić, że jestem od nich lepszy? Czy to, że jestem heteroseksualny, mam sobie poczytywać za zasługę? Albo to, że mam wspaniałą, kochającą żonę, że się nie rozwiodłem i nie spotkałem kogoś, z kim mogłem założyć nowy związek?

Nogi umył mi duszpasterz środowiska LGBTQ+. Zapytał o imię, o to, kim jestem. Coś we mnie drgnęło. Podziękowałem mu za to, że rozbija mury. Trzeba mieć odwagę, aby w tym kraju występować oficjalnie w takiej roli.

Epilog pielgrzymki dopisała niedzielna msza. Podszedłem do komunii, a obok szła znajoma z mężem. Przystanęli przed kapłanem, prosząc jedynie o błogosławieństwo – od przeszło trzydziestu lat

są razem, ale oboje po rozwodzie. Trzydzieści lat! A ja przyjąłem Eucharystię i zrozumiałem, że coś tu jest dziwnego. Ja mogę, oni nie. Jestem jakiś lepszy od nich? W czym? Trzydzieści lat ma swoją wagę. Trzydzieści lat „nielegalnej" miłości. Trzydzieści lat na obrzeżach. Poczułem, jakby mi ktoś przywalił obuchem. Nie jestem lepszy od nich. Jeśli ja mogę przystąpić do sakramentu, a oni nie, to przystąpię w ich imieniu.

Biskup

„Niektórzy przyszli tu pomimo gniewu, złości, bólu, jaki także Kościół, ten ludzki, ułomny, wam zadał. Jesteście dotknięci brakiem zrozumienia, niesprawiedliwą oceną, głupim słowem, okrutnym gestem – mówił bp Artur Ważny w czasie homilii. – Być może mierzycie się z lękiem, poczuciem krzywdy, konfliktem z tymi, którzy mieli prowadzić, a zawiedli. Wielu jest potwornie rozczarowanych Kościołem w różnych jego przejawach. Jezus też bardzo się rozczarował systemem religijnym w swoich czasach. Więcej: ludzie tworzący ten system Go prześladowali, krzywdzili i w końcu ukrzyżowali. Wasz ból, wasza szczera walka o wiarę, wasze poszukiwanie prawdy – wszystko to sprawia, że jesteście blisko Tego, który sam został odrzucony na krzyżu".

„Wasze miejsce w Kościele nie zależy od ludzkiego sądu, szat czy tytułów – puentował biskup. – Jeśli czujesz się na obrzeżach, to znaczy, że stoisz dokładnie tam, gdzie Jezus rozradował się w Duchu Świętym. On nie rozradował się w świątyni z faryzeuszami uczonymi w Piśmie. Rozradował się w objawieniu Ojca wobec niemowląt. Nie dajcie się wypchnąć z domu Ojca. Nawet jeśli stoicie na progu, to ten próg jest lepszy niż świat bez domu".

Oskarżenia

Jeszcze przed rozpoczęciem pielgrzymki przez media przetoczyła się burza. Usłyszeliśmy o sobie wiele złych słów. Czytaliśmy, że pielgrzymka z obrzeży to obraza dla Kościoła, profanacja Jasnej Góry, „dom wariatów". Obrazą i profanacją miało być wejście do sanktuarium tłumów, ubranych jak na Paradę Miłości, z transparentami i flagami, dopominających się krzykiem zmian nauczania Kościoła. Co wydarzyło się chyba tylko w wyobraźni oskarżycieli. Nic podobnego nie miało miejsca. Jedynie ci, którzy wzięli udział w pielgrzymce, sami o sobie to wiedzieli: jaką mają orientację seksualną, przez kogo zostali zranieni, z jakim bólem Kościoła trudno jest się im pogodzić.

Czytaliśmy, że naszą pielgrzymką utwierdzamy ludzi w grzechach.

Kolejki do spowiedzi i łzy wzruszenia na twarzach spowiedników to najlepszy argument przeciwko tym zarzutom.

Czytaliśmy, że manipulujemy ludźmi, bo obrzeża Kościoła nie istnieją: Kościół przecież nikogo nie odrzuca. Tak, w teorii Kościół przygarnia wszystkich. Tyle że nie wszyscy czują się w nim przyjęci. Fakt, że taka jest Ewangelia, nie oznacza, że ludzie Kościoła, od świeckich po kardynałów, głęboko nią żyją. Ani tym bardziej że nigdy nie zdarzyło im się źle potraktować człowieka. Wystarczą śladowe ilości pokory, by to przyznać. Na klatę trzeba przyjąć fakt, że i my sami bywamy antyświadectwem, wypychając innych z Kościoła. Obrzeża Kościoła istnieją – są grzechem tych, którzy próbują się w nim rozpychać łokciami. Tych, którzy w przekonaniu, że mają do tego prawo, zastępują Boga w sądach.

Słyszeliśmy obawy o upolitycznienie i zawłaszczenie Jasnej Góry. Ale to, zdaje się, dzieje się na Jasnej Górze już od dawna. Pielgrzymka z Obrzeży Kościoła przywraca jedynie prawdziwy sens temu miejscu: czyni je na powrót sanktuarium, w którym mieszczą się wszyscy, ponad podziałami.

Czytaliśmy, że włączamy się w nurt budowania „dyktatury ofiar" – cementujemy postawy, które odbierają im sprawczość i wolę działania, dając wygodną pozycję społeczną. To twierdzenia bezduszne, wiktymizujące powtórnie tych, którzy zostali realnie skrzywdzeni. To właśnie możliwość wypowiedzenia swojej krzywdy daje szansę wyjścia z pozycji ofiary. Dopiero po nazwaniu tej krzywdy – choćby tylko przed Bogiem, jak to było w czasie pielgrzymki – ludzie mogą podnieść głowy i uznać, że są gotowi iść dalej. Dopóki zamyka się im usta, realnie są i pozostają w roli ofiary.

Czytaliśmy, że naszą pielgrzymką utwierdzamy w grzechach tych, którzy nie są w stanie wypełnić przykazań. Nikt nie jest w stanie spełnić wszystkich przykazań. Jezus nie handlował cudami, nie wymieniał ich na obietnicę nawrócenia: najpierw okazywał miłość i to ona pociągała ludzi do przemiany życia. Wykluczanie tych, którzy nie są wystarczająco idealni, to mechanizm działania sekt, nie Kościoła. Ostateczny argument przeciwko takim zarzutom przyniosło samo życie: kolejki spowiadających się często po wielu latach i łzy wzruszenia na twarzach spowiedników. Życzyłabym Kościołowi jak najwięcej takiego „utwierdzania w grzechach".

Fantazje sędziów

Usłyszałam wreszcie o sobie, że organizując pielgrzymkę, jestem niczym tamten bohater skandalicznego wybryku, o którym niedawno rozpisywały się media: pijany, półnagi, agresywny mężczyzna, który wtargnął do kościoła w trakcie mszy, fizycznie zaatakował księdza, wulgarnie mu wygrażał, połamał na ołtarzu krzyż. Uciekając się do tego porównania, Jan Pospieszalski chciał zapewne zmusić mnie do refleksji, czy zapraszając „takich ludzi" na Jasną Górę, nie jestem jak ten agresor.

Tu także życie napisało najlepszą odpowiedź. Wieczorem w dniu pielgrzymki poszłam na Apel Jasnogórski. Przechodziłam przez zakrystię, gdzie spotkałam księdza, którego znam od piętnastego roku życia: to on uczył mnie Kościoła, przy nim dojrzewałam w wierze, przez długie lata był moim mistrzem, potem, przez kolejne, proboszczem i współpracownikiem. Nasze drogi się rozeszły, mamy czasem różne poglądy, ale wierzymy wciąż w tego samego Boga. Przywitaliśmy się serdecznie. Gdy on prowadził apelowe rozważanie, stałam tuż za nim, zaledwie kilka centymetrów.

To był właśnie ten ksiądz, zaatakowany przez pijanego mężczyznę w Mieścisku. W fantazji Jana Pospieszalskiego on był ofiarą, ja agresorem. W rzeczywistości staliśmy ramię w ramię przed Bogiem, by się wspólnie modlić. I o to chodziło w naszej pielgrzymce. Piękno Kościoła, który kocham, tkwi właśnie w tym – że jest to możliwe.

© MONIKA BIAŁKOWSKA

PA IMAGES / ALAMY / EAST NEWS

Arcybiskupka Canterbury Sarah Mullally. Canterbury, 3 października 2025 r.

Rewolucja u anglikanów

MARTA ZABŁOCKA

WYDARZENIA | Sarah Mullally – była pielęgniarka i feministka – została arcybiskupką Canterbury. Co to oznacza dla Kościoła na Wyspach?

Po raz pierwszy kobieta objęła stanowisko najwyższego duchownego w Kościele Anglii i symbolicznej głowy Wspólnoty Anglikańskiej, składającej się z 39 niezależnych Kościołów na całym świecie i 6 Kościołów lokalnych (to zwierzchnictwo jedynie honorowe, bo arcybiskup Canterbury nie posiada nad nimi realnej władzy). 63-letnia Sarah Mullally z zawodu jest pielęgniarką. Sama siebie nazywa feministką. A jej poglądy – w opinii innych – to teologiczny liberalizm.

Wybór kobiety na to stanowisko – 106. arcybiskupa Canterbury – nie był zaskoczeniem. Na krótkiej liście kandydatów znalazły się też dwie inne duchowne. Faworytką bukmacherów i mediów była Guli Francis-Dehqani, biskupka Chelmsford, uchodźczyni z Iranu (przyjechała do Wielkiej Brytanii po rewolucji islamskiej w 1979 r.). Wymieniano także nazwisko Rachel Treweek – biskupki Gloucester, pierwszej w historii kobiety powołanej na urząd biskupa diecezjalnego. Tak czy inaczej, wybór Mullally to rozpoczęcie nowej ery i kolejne napięcia we Wspólnocie Anglikańskiej, która jest bardziej konserwatywna niż Kościół Anglii.

Córka fryzjerki ze szlacheckim tytułem

Nowa arcybiskup to wyjątkowa postać na tle jej poprzedników, należących do kościelnej elity. Jej poprzednik, wielebny Justin Welby, absolwent Eton College, już w dzieciństwie pił herbatę z premierem Winstonem Churchillem. Mullally łamie dotychczasowe życiorysy arcybiskupów – jest córką fryzjerki, wykształcenie zdobyła w szkołach publicznych (przyznaje też, że jest dyslektyczką).

W wywiadach często wspomina o swojej zawodowej karierze – pielęgniarki onkologicznej. W wieku 37 lat została najmłodszą w historii naczelną pielęgniarką Wielkiej Brytanii. Ustąpiła z tego stanowiska w 2004 r., trzy lata po święceniach kapłańskich. Rok później otrzymała z rąk królowej Elżbiety II tytuł szlachecki. Podkreśla jednak, że pielęgniarstwo było dla niej „okazją do wyrażania miłości Boga".

W jednym z wywiadów przyznała, że od zawsze towarzyszy jej „lekkie poczucie niepewności co do tego, kim jestem", połączone z wrażeniem, że „Bóg mnie powołał nie pomimo tego wszystkiego, ale właśnie z tego powodu".

Pięć lat po święceniach została proboszczem kościoła św. Mikołaja w Sutton, w południowym Londynie. W 2015 r. objęła biskupstwo w Crediton, zostając czwartą kobietą-biskupem w Kościele Anglii (pierwszą, która nie miała męża duchownego – jej małżonek, Eamonn Mullally, jest informatykiem i przedsiębiorcą, para ma córkę i syna). W 2018 r. Sarah została 133. biskupem Londynu – trzecią najwyższej rangi osobą pod względem godność duchownej w Kościele Anglii, po arcybiskupie Canterbury i biskupie Yorku.

Jej najnowsza i najważniejsza nominacja została z entuzjazmem przyjęta przez brytyjskiego premiera Keira Starmera i króla Karola III. Natomiast krytyczne opinie wyraziła m.in. konserwatywna organizacja Wspólnota Anglikanów Wyznających (Fellowship of Confessing Anglicans, FCA) oświadczając, że „większość przedstawicieli Wspólnoty Angli-

kańskiej nadal wierzy, że tak jak wymaga tego Biblia, episkopat ma składać się wyłącznie z mężczyzn".

Postać wywrotowa

Podczas inauguracji w katedrze św. Pawła siedem lat temu Mullally nawiązała do kampanii sufrażystek, które w 1914 r. podłożyły ładunek wybuchowy pod tron biskupi (bomba została wtedy wykryta przed detonacją). Zwróciła się do wiernych słowami: „Zapewniam was, że nie przynoszę bomb, przynajmniej nie dosłownie. Zdaję sobie jednak sprawę, że jako pierwsza kobieta biskup Londynu, z historycznego punktu widzenia jestem postrzegana jako postać wywrotowa, i zamierzam się z tym jakoś pogodzić".

Mullally mówi o sobie, że jest feministką. Wspominając rozmowy z dziewczętami w szkołach przyznaje, że jej życiorys pozwala młodym kobietom uwierzyć, iż mają szansę spełniać swoje marzenia. W 2012 r. wyraziła swoje poglądy dotyczące aborcji, pisząc: „Określiłabym je jako pro-choice, a nie pro-life (...). Przesuwam się w stronę pro-life, gdy dotyczy to mnie samej, jednocześnie umożliwiam podjęcie wyboru, gdy dotyczy to innych".

Niewątpliwie ważny jest dla niej los kobiet w samym Kościele Anglii. Podczas synodu w 2021 r. mówiła o „mikroagresji", jakiej doświadczają wielebne, których „kobiecy głos nadal nie jest powszechnie słyszany". Dla przypomnienia, pierwsze święcenia kapłańskie kobiet miały miejsce w 1994 r., natomiast pierwsza nominacja biskupia kobiety odbyła się 20 lat później, w 2014 r.

Komentarz Angeli Berners-Wilson, pierwszej kobiety kapłan w Anglii, dla „The Telegraph" może świadczyć, że wybór Mullally to zmiana znacząca. „Kościół przeszedł długą drogę w akceptowaniu kobiet, ale wciąż jest ona dla nas bardzo długa. To niesamowite, że mamy arcybiskupkę zaledwie dziesięć lat po pierwszej kobiecie biskupie" – stwierdziła, dodając, że bardzo cieszy się z tej nominacji.

Słoń i pchła

Brytyjska prasa zastanawia się, w jaki sposób nowa arcybiskup będzie zarządzała Kościołem. „Church Times" przypomniał fragment rozmowy z 2009 r., gdzie Mullally mówiła o lekturze książki Irlandczyka Charlesa Handy'ego o przywództwie pt. „Słoń i pchła". „Duże organizacje są powolne, gruboskórne, silne i potężne. Pchły są żwawe, zwinne, wrażliwe i irytujące. Postrzegam siebie bardziej jako pchłę" – wyznała wówczas.

Od czasu objęcia stanowiska w Londynie jest postrzegana jako osoba stojąca na czele działań modernizujących Kościół Anglii. Jedną ze zmian proponowanych przez Mullally ma być redukcja liczby diecezji. Jednocześnie pojawiają się zarzuty, że jej doświadczenie w zarządzaniu Kościołem opiera się na zasadach menadżerskich. Dla jednych to przykład profesjonalizmu i kompetencji, dla drugich – znak technokratycznego podejścia do przywództwa.

Sama z pokorą przyjęła nominację arcybiskupią, przyznając podczas pierwszego wystąpienia w Canterbury, że „nie zawsze będzie robić wszystko dobrze". „Otuchy dodają mi słowa psalmu, który mówi: »A choćby upadł, to nie będzie leżał, bo rękę jego Pan podtrzymuje« (Ps 37, 24)" – dodała.

Gazeta i Biblia

Wśród najpilniejszych spraw, które będzie musiała rozwiązać Mullally, obejmując swój urząd na początku 2026 r., wymienia się wytyczenie strategii w walce z nadużyciami ze strony duchownych wobec wiernych. Raporty o tym, że jej poprzednik, Justin Welby, nie przeprowadził należytego dochodzenia w sprawie skandalu pedofilskiego w Kościele Anglii, doprowadziły do jego rezygnacji w listopadzie 2024 r. z urzędu arcybiskupa Canterbury.

Innym głośnym tematem, który rozpala brytyjską opinię publiczną, jest ustawa legalizująca samobójstwa wspomagane dla osób nieuleczalnie chorych, których Mullally, podobnie jak jej poprzednik, jest zagorzałą przeciwniczką. Prasa zadaje pytania, czy nowa arcybiskup podejmie też kwestię zawierania związków małżeńskich przez pary jednopłciowe, do tej pory zakazanych w Kościele Anglii. To prawdopodobne, bo Mullally kierowała debatą, która umożliwiła księżom od 2023 r. udzielanie błogosławieństwa takim parom. Wówczas opisała tę zmianę jako „moment nadziei dla Kościoła".

Rolę arcybiskupa Canterbury najcelniej opisał Rowan Williams, sam pełniący tę funkcję w latach 2003-2012, mówiąc w wywiadzie dla stacji BBC, że funkcja ta wymaga trzymania „gazety w jednej ręce i Biblii w drugiej". Zachowanie równowagi to dziś na pewno dobra i adekwatna rada dla nowej arcybiskupki. ©

Autorka jest korespondentką Polskiej Agencji Prasowej w Wielkiej Brytanii i Irlandii.

Jak były szef agencji wywiadowczej MI5 wybierał arcybiskupa Canterbury

WYBÓR nowego arcybiskupa Canterbury jest owiany tajemnicą. Mullally została nominowana przez 17-osobową komisję, której przewodniczył wybrany na to stanowisko przez rząd Wielkiej Brytanii Jonathan Evans, były szef agencji wywiadowczej MI5. To on w lipcu powiedział, że chce uniknąć listy kandydatów, na której wszyscy byliby „biali, z wykształceniem Oxbridge (czyli zdobytym na Uniwersytecie Oksfordzkim lub w Cambridge), płci męskiej i pochodzili z południowo-wschodniej Anglii". Komisja spotkała się trzykrotnie: w maju, lipcu i we wrześniu. Ostateczny wybór musiało zatwierdzić co najmniej 12 jej członków.

KANDYDACI I KANDYDATKI na arcybiskupa muszą mieć co najmniej 30 lat (zazwyczaj nie więcej niż 70, gdyż do tego właśnie wieku można pełnić to stanowisko). Zgodnie z tradycją mają oni doświadczenie na kierowniczych stanowiskach w ramach Wspólnoty Anglikańskiej.

OD CZASU SCHIZMY Henryka VIII, do której doszło w 1533 r., formalnie głową Kościoła Anglii jest król. Arcybiskup Canterbury jest jednak duchowym przywódcą Wspólnoty Anglikańskiej liczącej ok. 85 mln wiernych na całym świecie. Piastuje także godność prymasa Anglii.

NIEKTÓRE OSOBISTOŚCI Kościoła Anglii krytykowały wielomiesięczny proces wyboru arcybiskupa, porównując go z dwoma majowymi dniami, których potrzebowali kardynałowie, by na konklawe wybrać papieża Leona XIV na głowę Kościoła katolickiego.

© MZ

Zatopione katedry

MACIEJ BIELAWSKI

PORTRET | Był samoukiem, nie założył żadnej szkoły. Jego myślą wiele razy manipulowano. Dlaczego Augustyn z Hippony stał się fundamentem zachodniej cywilizacji?

Augustyn z Hippony jest jak morze. Przypływy i odpływy jego nauki pojawiają się w różnych epokach i miejscach zachodniej kultury, wzbudzając u jednych zachwyt, u innych niechęć. On jednak – jak to morze – po prostu jest. A my, chcąc nie chcąc, musimy się z jego obecnością liczyć.

W przestrzeni publicznej do dziś krążą te zdania: „Kochaj i rób, co chcesz", „Niespokojne jest serce moje, dopóki nie spocznie w Tobie", „Wróć do siebie, gdyż to w głębi człowieka mieszka prawda". I pewnie jeszcze kilka innych. Ale idźmy dalej i głębiej. Zanurzmy się świadomie w jego myśli i tym, co z niej zostało.

Mistrz bez mistrzów

Po pierwsze, uderza jego ogrom. Dorobek Hippończyka to imponujący zbiór tekstów. Augustyn zaczął pisać w wieku trzydziestu lat i przez kolejne czterdzieści pięć stworzył tyle, że w najnowszym krytycznym łacińsko-włoskim wydaniu wydawnictwa Città nuova, zachowany *corpus* jego pism obejmuje 70 tytułów w 25 tomach, liczących, wraz z całym aparatem krytycznym, około 42 tys. stron, nad którymi pracowało przez 40 lat ponad 40 specjalistów.

Nie mniej rozległy jest zakres tematów w nim poruszanych, od teorii muzyki po filozofię języka, od eudajmonologii po epistemologię, od metafizyki po teologię, od historii po etykę, od polityki po duchowość. Od strony formalnej dzieła Augustyna to dialogi i traktaty, teksty autobiograficzne i komentarze biblijne, dzieła polemiczne i kazania, listy i modlitwy. Jednak tym, co decyduje o wartości tego dzieła, jest owo „coś", które jedynie z braku lepszych słów można określić mianem głębi, oryginalności i mocy.

Augustyn należy bowiem do grupy myślicieli i pisarzy „oryginalnych", czyli sięgających podstaw rzeczywistości i dających początek (łacińskie *orior*) nowemu ujmowaniu świata. Dlatego też można go stawiać obok takich myślicieli jak Plotyn i Nāgārjuna, Averroes czy Śankara, na których opierały się całe epoki, a może nawet i cywilizacje. Na uwagę zasługuje też fakt, że Augustyn był talentem samorodnym, genialnym samoukiem i w sumie – mistrzem bez mistrzów. Nie założył też żadnej szkoły w sensie ścisłym tego słowa, a na przestrzeni wieków oddziaływał na zasadzie emanacji, którą wiele razy manipulowano i wykorzystywano, jak to często bywa z wybitnymi dziełami i osobistościami.

Trzeba też być świadomym, że na bazie jego dzieł powstał, rozwinął się i trwa do dzisiaj barwny i rozbudowany augustynizm, budowany przez wieki piórami zarówno utalentowanych interpretatorów, jak i miernych epigonów. To oni są twórcami zasłon i luster, przez które postrzega się Augustyna, i w których się on odbija, raz w sposób właściwy, innymi razy zniekształcony, raz subtelnie, innymi razy prostacko.

Mity i stereotypy

Rzućmy okiem na dziesięć augustyńskich tematów i stereotypów, popartych dla okrasy cytatami, w których mieszają się Augustyn i augustynizm, fakty i legenda, przesądy i uprzedzenia.

AUTOBIOGRAFIA

„Niespokojne jest serce nasze, dopóki nie spocznie w Tobie".

To jedno z pierwszych zdań „Wyznań", najbardziej znanej książki Augustyna. Wyznaczył nią nowy nurt myślenia o człowieku (i człowieka o samym sobie): autobiograficzny ogląd, w którym człowiek widzi siebie jako dążącego poprzez szereg życiowych doświadczeń do pewnego celu. Dla Augustyna był nim Bóg, Stwórca i Zbawiciel. Także dziś, gdy ktoś pisze autobiografię, by siebie pojąć, wchodzi w nurt stworzony przez Augustyna, który zmienił sposób naszego samopostrzegania: czytając tego rodzaju autobiografie, zaczynamy podobnie jak autor myśleć o sobie i o innych. Faktem jest, że tam, gdzie Augustyn nie dotarł – na przykład na szeroko pojęty Wschód (Bliski i Daleki, ale też chrześcijański), autobiografizm jest mniej obecny, a tym samym inne jest tam postrzeganie człowieka. Augustyński jest też niepokój egzystencjalny, towarzyszący poszukiwaniu prawdy o człowieku. Tak charakterystyczny dla Zachodu.

GRZECH

„Taki mały chłopiec i taki grzesznik".

Augustyn, jak nikt inny przed nim, zanalizował i opisał tragiczne pęknięcie w człowieku, co doprowadziło do powstania doktryny o grzeszności i grzechu pierworodnym, czyli o zmazie wpisanej w naturę człowieka i wpływającej tak na jego postępowanie (wypaczone), jak i na jego myślenie (zaciemnione), z którym o własnych siłach nie można się uporać. Tak – w wielu interpretacjach takie myślenie skręca w stronę pesymizmu.

DUALIZM ANTROPOLOGICZNY

„Dwie wole, jedna stara, druga nowa, tamta cielesna, ta duchowa, wiodły między sobą spór, a kłócąc się, rozpraszały duszę moją".

Według Augustyna, podążającego tu za Pawłem z Tarsu, człowiek jest rozdarty: aspiracje duchowe i wzniosłe napotykają opór pożądań cielesnych i niskich. Stąd niedowartościowanie, tłumienie czy wręcz potępianie porządku naturalnego, ciała i seksualności, a zarazem zbyt pochopne, jednostronne i nadmierne wychylanie się ku nadprzyrodzoności. Właśnie dlatego współczesne, psychologizujące i bardziej „ucieleśnione" antropologie tak nie lubią biskupa z Hippony.

DUALIZM HISTORYCZNY I POLITYCZNY

„Dwie miłości zbudowały dwa miasta: miłość własna posunięta do punktu pogardy dla Boga zbudowała miasto ziemskie, miłość Boga posunięta do punktu pogardy dla samego siebie zbudowała miasto niebieskie".

THE METROPOLITAN MUSEUM OF ART

Mistrz od św. Augustyna „Sceny z życia św. Augustyna z Hippony", Niderlandy, ok. 1490 r.

Rozdarcie wewnętrzne w człowieku znalazło u Augustyna przełożenie na wymiar historyczny. Jego czasy były niespokojne, a on sam z przerażeniem patrzył na to, jak umierał wielowiekowy porządek zwany cesarstwem rzymskim. Jego intuicja, że historia jest straszliwą bestią, była słuszna. Źle jednak się stało, że jego wizję adoptowano do politycznych rozgrywek i podbojów, do rywalizacji Kościoła rzymskiego z władzą świecką czy niekościelnymi systemami społecznymi. Również dzisiejsze napięcia Kościół–państwo podszyte są, w taki lub inny sposób, augustynizmem.

PREDESTYNACJA

„Bóg, znając możliwe wybory człowieka ku złu lub ku dobru, daje niektórym, za pomocą łaski, możliwość zbawienia, podczas gdy innym pozostawia wolność, by sami się potępili; nie jest to jednak arbitralny wybór Boży, lecz po prostu Boża wiedza, która w wieczności widzi tych, którzy mogą otrzymać łaskę, i tych, którzy nie mogą".

Augustyńskie wywody na temat woli Boga i wolnej woli człowieka były zawiłe i on sam zazwyczaj się w nich gubił. Czasami jednak formułował pewne zdania tak, że zaczęto je rozumieć w sposób uproszczony, schematyczny i mechanistyczny. Sprowadzono je do myśli, że część ludzi z góry jest skazana na potępienie, a część predestynowana do życia wiecznego. Nie byłoby źle, gdyby takie myślenie ograniczało się do probabilistycznej wizji. Gorzej jednak, gdy ktoś taką myśl odniesie do siebie. A najgorzej, gdy podobnymi schematami zaczynają posługiwać się możni tego świata, niezależnie od tego, czy ubrani w religijne szaty, czy w garnitury z plakietkami partii albo nacji. ↦

↦ **PAMIĘĆ**

„Przechodzę na pola i rozległe podworce pamięci, gdzie są skarby niezliczonych obrazów... Tam jest złożone wszystko, o czymkolwiek myślimy”.

Chyba nikt przed Augustynem – i może nikt po nim – tak rozlegle, wyrafinowanie i głęboko nie rozpisał się na temat arkanów ludzkiej pamięci. Poza wspaniałymi analizami i opisami tej rzeczywistości najistotniejszym u Augustyna jest fakt zadziwienia się tą przedziwną zdolnością, która w nas przebywa i która w dużej mierze decyduje o tym, kim jesteśmy. Podążanie za Hippończykiem w jego rozważaniach na ten temat jest doświadczeniem, którego nie da się z niczym porównać, jeśli nie chcemy popaść w kiczowaty banał. Pozostańmy więc przy zachęcie do przeczytania stron na temat pamięci w „Wyznaniach” i w „De Trinitate”.

CZAS

„Czym więc jest czas? Jeżeli mnie nikt o to nie pyta, wiem; gdy zaś chcę wyjaśnić pytającemu, nie wiem”.

Namysł nad własną biografią i pamięcią doprowadził Hippończyka do rozważań nad czasem. Pomimo przeświadczenia, że czas jest tajemnicą, której nie potrafimy zrozumieć i wysłowić, Augustyn poświęcił mu wiele wspaniałych stronic „Wyznań”. Tak jakby chciał powiedzieć, że skoro jest to rzecz niemożliwa do pojęcia, warto się w nią wmyślać. Bez lektury tych rozważań nie da się na temat czasu niczego sensownego powiedzieć.

TRÓJCA

„Nie mówimy jeszcze o tym, co najwyższe – o Bogu Ojcu, Synu i Duchu Świętym – ale mówimy o nierównym obrazie, a jednak o obrazie, o człowieku”.

Traktat „De Trinitate” pisał przez około trzydzieści lat. To pierwsze i w pewnym sensie jedyne takie dzieło w dziejach chrześcijaństwa. Także w tym przypadku można podziwiać odwagę myślenia, wyrafinowanie i delikatność. Idea odszukiwania śladów, czy też jak mówi Augustyn – obrazów Trój-Jedynego Boga w dziejach, w stosunkach międzyludzkich, ale i w strukturze samego człowieka jest wspaniała. To dzięki Augustynowi możemy myśleć, że świat i człowiek naznaczeni są boską strukturą triadyczną. I znów – na uwagę zasługuje nie tyle rezultat doktrynalny, ile sposób i proces namysłu.

Jego język nie traci piękna nawet w przekładach.

Struktura jego dzieł to „zatopione katedry” – niewidzialne świątynie myśli.

DUCHOWOŚĆ

„Pragnę poznać Boga i duszę. Nic więcej? Nic więcej”.

Kogokolwiek fascynuje życie wewnętrzne, jakkolwiek by je rozumiał, w Augustynie znajdzie cennego sprzymierzeńca. To dzięki niemu może zagłębiać się w niuanse własnej duszy (czy jakkolwiek by nazwać tę sferę wewnętrzności). Augustyn naznaczył na zawsze, na dobre i na złe, duchowość człowieka zachodniego. Gdy młody nowojorczyk, Thomas Merton, wkraczał po omacku w świat duchowości, pewien Hindus, Mahanambrata Brahmachari, polecił mu lekturę „Wyznań”. Merton go posłuchał i wszedł na drogę, którą opisał w „Siedmiopiętrowej górze”, dziele na wskroś augustyńskim.

MIŁOŚĆ

„Kochaj i rób, co chcesz”

To znane zdanie komentowane było na wiele sposobów. Miłość jest kolejnym wielkim tematem myśliciela z Hippony. Oczywiście, był nią dla niego nade wszystko Bóg. Nie przez przypadek tak szeroko skomentował Ewangelię św. Jana i trzy listy przypisywane temu Apostołowi. W pewnym momencie Augustyn mówi tam, że splatają się w nas bojaźń przed Bogiem i miłosne dążenie do Niego. Bojaźń to igła, miłość to nić – w taki sposób szyjemy nasz żywot. Gdy praca dobiegnie do końca, igła nie będzie już potrzebna. Zostanie tylko nić.

Morskie mapy

To prawda. Jest Augustyn myślicielem na tyle rozległym i bogatym, że każdy może znaleźć u niego coś dla siebie. Ja też mógłbym wybrać inne tematy i inne cytaty. Albo te, które przytoczyłem, zupełnie inaczej skomentować. Tak właśnie się działo na przestrzeni wieków, tak dzieje się dzisiaj i tak będzie się działo w przyszłości.

Augustyńskimi tekstami i komentarzami na ich temat można szastać na prawo i lewo, wzajemnie się nimi obrzucając. Znałem zacietrzewionych filozofów i fanatycznych teologów zarówno proaugustyńskich, jak i antyaugustyńskich, obserwowałem ich zaciekłe, a nawet pełne nienawiści, gorszące spory, w których ginął zwykle głos samego Augustyna.

Pozwolę sobie zakończyć akcentem osobistym, który przecież pozostaje w zgodzie z augustyńskim autobiografizmem, o którym wspomniałem. Obcuję z tym autorem od ponad czterdziestu lat, regularnie do niego powracam. Pisałem o nim i prowadziłem na jego temat wykłady. Raz myślałem z nim, innymi razy przeciw niemu, co nie zmieniało w niczym faktu, że zawsze darzyłem go sympatią i podziwem. Oczywiście, że wiem – bo nauczyłem się tego od badaczy i na podstawie własnych doświadczeń czy przemyśleń – kiedy Augustyn przesadza albo kiedy się myli. Dziś jednak można żeglować po augustyńskim morzu omijając rafy i skały, o które okręt egzystencji mógłby się rozbić, bo nakreślono już wiele bardzo dobrych map po jego myśli. Dlatego też spokojnie wracam do Augustyna, starając się uchwycić nie tyle wyrwane z kontekstu zdania, jak to zrobiłem powyżej, wbrew sobie, lecz nasiąknąć klimatem jego myśli.

Nie potrafię oprzeć się podziwowi, jaki budzą we mnie stronice przez niego napisane: piękno ich języka, które oddają nawet przekłady, głębię, odwagę i powagę jego rozważań. Udaje mi się czasami uchwycić strukturę niektórych jego dzieł, które są niczym „zatopione katedry”, niewidzialne świątynie myśli. Tylko pomyślmy – po dziewięciu księgach „Wyznań”, w których Augustyn opisuje pierwsze trzydzieści trzy lata swego życia, mówiąc raz do Boga, raz do siebie, a innymi razy do czytelnika, ów trójgłos przechodzi w refleksje na temat pamięci, czasu, kontemplacji i Boga, by za chwilę skupić się na zawiłościach interpretacji tekstów i faktów.

Wielu czytelników, o ile mi wiadomo, przerywa lekturę „Wyznań” na dziewiątej księdze, gdy kończy się część przygodowa, a zaczyna mozolna wspinaczka namysłu. Ale tylko dzięki niej można zrozumieć właściwie sens przygód opisanych w pierwszej części. Tak – czytajmy Augustyna. Przynajmniej czasami, ale z oddaniem i w całości. © MACIEJ BIELAWSKI

Reportaże, które przedstawiają prawdę o współczesnych czasach

W JAKI SPOSÓB DZIAŁA ARCHITEKTURA DLA ŻYCIA?

Czym jest i czym powinna być?
Kto ją tworzy?

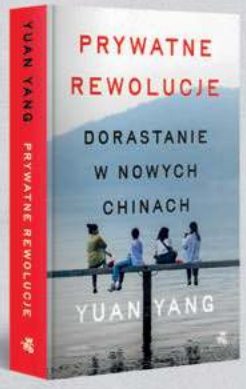

JAK WYGLĄDA RZECZYWISTOŚĆ KOBIET WE WSPÓŁCZESNYCH CHINACH?

W JAKI SPOSÓB WSPÓŁCZESNY EDISON, NIEGDYŚ NIEKWESTIONOWANY GENIUSZ, STAŁ SIĘ POSTACIĄ TAK NIEOBLICZALNĄ I KONTROWERSYJNĄ?

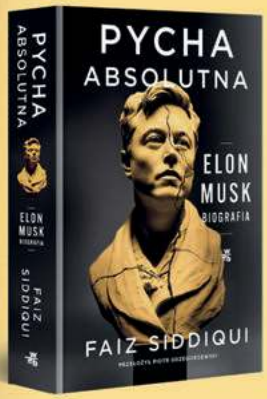

JAK POZWOLILIŚMY, BY LASY PAŃSTWOWE STAŁY SIĘ PAŃSTWEM W PAŃSTWIE

wydawnictwo

tytuł dostępny w: empik salony / online / aplikacja empik go e-book / audiobook

REKLAMA

ZUZANNA

Radzik:
Coś na ucho

Nie przypuszczałam, że do ścieżki dźwiękowej mojego urlopu macierzyńskiego będę mogła dołączyć najnowszą papieską adhortację „Dilexi te". Jeszcze się nawet porządnie nie zmartwiłam, że będę do tyłu w papieskich dokumentach. Dopiero przebiegłam ją wzrokiem, by stwierdzić, że potrzeba na to chwili skupienia, której brak. Ale oto pierwszy raz dokument papieski trafia do nas też w wersji dźwiękowej. Audiobook przygotowała sekcja polska Vatican News, a można go znaleźć na jej stronie oraz na kanałach podkastowych i YouTubie. Doceniam tę formę, inkluzywną wobec osób ze słabym wzrokiem i tych o zajętych rękach, w tym matek. „Chodź, zabierzemy papieża Leona z nami do parku" – śmieję się w duchu, zapinając dziecko w wózku.

Zwykle nie odbieram tekstów przez dźwięk najlepiej. Wolę skupienie nad papierem. Inne formy traktuję jako przymus prędkiego dostępu, kiedyś sięgałam w ten sposób tylko po rzeczy błahe, mogące towarzyszyć w sprzątaniu i zakupach. Jednak macierzyństwo zajmuje ręce i często wymaga długich seansów przy zgaszonym świetle, więc nauczyło mnie pokory wobec tej formy odbioru treści. I tak bezprzewodowa słuchawka stała się niezbędnym atrybutem. Zwykle jedna, w lewym uchu. Prawe zawsze czuwa.

Dzięki temu w codziennym szybkim usypianiu towarzyszy mi dźwiękowy dziennik „New York Timesa", przez co czasem aż za wiele wiem o tym, co dziwnego słychać za oceanem. A że wykonanie dziennikarskie i dźwiękowe ich podkastów jest tak profesjonalne, zaś aplikacja tak prosta w obsłudze, niosąc zmęczone niemowlę najłatwiej mi dyskretnie odpalić właśnie je. Lubię też, gdy autor artykułu we wprowadzeniu do jego wersji dźwiękowej pokazuje tło jego powstawania. Bywa, że takie dzielenie się warsztatem, pytaniami i przygotowaniami jest ciekawsze niż sam tekst.

Jednak królową ścieżki dźwiękowej mojego wczesnego macierzyństwa została Gloria Steinem, która przeczytała mi do ucha gruby zbiór swoich esejów. Słuchałam zaczarowana. Akurat miałam ją pod ręką, zaczęłam słuchać pod koniec ciąży. Dlatego w szpitalu, gdy już zaczęły się nocne pobudki i dłuższe karmienia, sięgnęłam po rozpoczęty plik. Potem noce stały się jeszcze bardziej poszatkowane, nawał pokarmu i chudnące dziecko kazały mi wstawać co dwie godziny i podpinać się do dojarki.

Zatem w ciemne i zimne lutowe noce, pod kocem, z kłączami kabli laktatora i miską orzechów (bo byłam wciąż głodna) słuchałam Glorii Steinem opowiadającej pradzieje amerykańskiego feminizmu, swoje młodzieńcze podróże do Indii, pierwsze doświadczenia dziennikarskie, działanie w kampaniach wyborczych. Również życiorysy swoich przyjaciółek-działaczek, trudną relację z ojcem i tragiczne życie matki. Z ulgą stwierdzałam, wciąż w szoku porodu i nowego stanu życia, że dopóki podpięta do toczącej mleko maszyny słucham matki-feministki, jestem sobą.

Zapamiętałam, z jaką czułością Steinem portretuje inne kobiety i ich zmagania. Dotyczy to nawet jej trudnej matki. Taki jest też proroczy esej o jej przyjaciółce z feministycznych bojów Alice Walker, w której wyczuwa wielką pisarkę. Gdy Steinem pisała ten tekst, Walker dopiero wydała (w 1982 r.) „Kolor purpury", który stał się ważną, XX-wieczną amerykańską powieścią.

Od Steinem poszłam więc dźwiękowym szlakiem do Walker, bo czemu nie. Skoro świat twierdzi, że jestem „na urlopie", to mogę sobie halsować między książkami, jak chcę. I przez długie godziny jej głos towarzyszył moim dniom, usypianiu, spacerom, przewijaniu i niektórym nudniejszym zabawom. Co za błogosławiony pomysł, by swoje teksty czytały autorki! Robi się od tego intymnie i blisko. Jakbyśmy siedziały w jednej kuchni.

Żeby nie było, ścieżka dźwiękowa urlopu macierzyńskiego to też niezadowolone pojękiwanie, radosny pisk oraz niekończące się czytanie tego samego. „Kim jesteś?" – zaczynam, a przez kolejne kartonowe strony Tutu rysowany przez Piotra Karskiego zastanawia się, czy jest lemurem, czy słoniem. „Nasze auto jest czerwone jak truskawka" – mówię, sięgając po odziedziczony po dzieciach znajomych hit ilustrowany przez Jana Bajtlika. A chwilę później liczymy klaunów, smoki, księżniczki i torciki w książce po innej dziewczynce. „Dwa, pięć... jak to, ma być ich osiem?" – liczę, pokazując palcem rysunki, by zabić monotonię popołudnia.

I wtedy mieć w uchu nową książkę Arundhati Roy (niby o trudnej matce, a tak naprawdę to przy okazji autobiografia Arundhati) albo nawet dźwiękową wersję papieskiej adhortacji, to uratować dzień. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

O. WACŁAW

Oszajca:
Sztandar bojowy

Po zwycięskiej walce Jozuego z Amalekitami Bóg „przemówił do Mojżesza: Wpisz to na pamiątkę do księgi i utwierdź w pamięci Jozuego, gdyż wymażę zupełnie ze świata pamięć o Amalekitach". To wymazywanie dokonywało się przy pomocy miecza, bywało, nie oszczędzając nikogo i niczego. Podobnych opowiadań, gdzie imię Boga jest „sztandarem bojowym", mamy w Biblii sporo. Do dzisiaj sprawiają one ogromne, być może niepokonalne trudności naszym interpretatorom, nauczycielom Starego i Nowego Przymierza.

I tak Jezus, przygotowując uczniów na swoją śmierć, przypomniał im, że gdy wysłał ich na głoszenie dobrej nowiny zupełnie bezbronnych, „bez sakiewki, bez torby podróżnej i bez sandałów", niczego im nie brakowało. Ale w tej aktualnej sytuacji, „teraz, kto ma sakiewkę, niech ją weźmie; tak samo i torbę podróżną. A kto tego nie ma, niech sprzeda swój płaszcz i kupi miecz! Bo mówię wam, że musi się spełnić na Mnie to, co napisano: I został zaliczony do przestępców. To wszystko spełnia się na Mnie. Oni zaś rzekli: Panie, oto tutaj są dwa miecze. Odpowiedział im: Wystarczy!". W Ewangelii Mateusza zaś czytamy, że podczas aresztowania Jezusa „jeden z tych, którzy byli z Jezusem, wyciągnął rękę, dobył miecza, uderzył sługę najwyższego kapłana i odciął mu ucho. Wtedy Jezus powiedział do niego: Schowaj miecz tam, gdzie jego miejsce, bo wszyscy, którzy za miecz chwytają, od miecza giną. Czyż myślisz, że nie mógłbym poprosić mojego Ojca, aby natychmiast postawił przy Mnie więcej niż dwanaście oddziałów anielskich? Ale jak wówczas wypełni się to, co według Pisma musi się wydarzyć?".

Simone Weil tak skomentowała to wydarzenie: „Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Kto miecz odkłada – umiera na krzyżu". To prawda, ale prawdą jest również, że to, co „musiało się wydarzyć", dokonało się także przez tych, którzy Jezusa aresztowali, domagali się wyroku śmierci i taki wyrok wydali, czyli w znaczeniu przenośnym i dosłownym dobywali miecza. Trochę czasu upłynie, zanim rozmyślający nad tym odkryją, iż ta tragedia była potężną eksplozją wszystkiego, co w człowieku nieludzkie, ale też tego, co w człowieku najbardziej człowiecze – „Nie ma większej miłości nad tę, gdy ktoś poświęca swoje życie za przyjaciół". Ginie się tak czy siak. Istotne, po co się ginie. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Ubodzy

Dwa ewangeliczne teksty genialnie ze sobą skojarzone przez papieża Leona w najnowszej adhortacji (n 5): „A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni aż do skończenia świata" (Mt 28, 20) oraz „Ubogich zawsze macie u siebie" (Mt 26, 11). Mamy wielką obietnicę (jestem z wami zawsze!) i mamy konkretny opis jej spełnienia (ubogich zawsze macie...). Czyli: zawsze jestem z wami w Ubogich! To nie obciążenie; to zaproszenie do spotkania. Dlatego niewiele dalej czytamy w adhortacji, że z człowiekiem ubogim nie spotykamy się „w horyzoncie dobroczynności, lecz objawienia"! Zaś jeszcze dalej pada odniesienie do myśli św. Augustyna, dla którego „ubogi jest nie tylko osobą, której można pomóc, ale również sakramentalną obecnością Pana" (n 44). To znaczy, że ostatecznym punktem odniesienia i sensem tego spotkania nie jest to, ile „musimy" wyłożyć z własnej kieszeni, lecz to, czy spotkamy się z żyjącym Jezusem – na sposób, który On wybrał jako „miejsce" swojej obecności, to znaczy właśnie objawienia.

Mamy tu do czynienia z przejmującym pogłębieniem myśli *Vaticanum II*. Sobór odszedł bowiem od „statycznego" pojmowania objawienia, rezygnując z dawnej definicji, która ujmowała je jako skatalogowany i abstrakcyjny „zbiór prawd" „podawanych do wierzenia", czyli do rozumnej akceptacji. Sobór i całe posoborowe Magisterium Kościoła widzi objawienie na sposób dynamiczny – jako spotkanie Boga z człowiekiem, w którym Bóg wychodzi do każdej osoby ludzkiej, i czyni to przez powiązane ze sobą wzajemnie czyny i słowa. Dlatego też „posłuszeństwo wiary", jakie objawiającemu się Bogu okazuje wierzący człowiek, nie sprowadza się jedynie do uległości rozumu. Ono również wymaga i czynu, i słowa!

Wczytując się więc w tekst adhortacji nie sposób nie zapytać samego siebie, z ilu takich prawdziwie objawiających Boga spotkań świadomie zrezygnowaliśmy? Przed iloma uciekliśmy? Podekscytowani poszukujemy cudownych znaków i miejsc „prywatnych" objawień; przegapiając nieprzerwane nigdy objawienie, gdyż oparte o świadectwo samego Jezusa: „byłem głodny, byłem spragniony, byłem nagi, byłem przybyszem...". Kościół – a to oznacza: parafię, diecezję, każdą wspólnotę, stowarzyszenie, zakon czy „Kościół domowy" – bez spotkania z ubogimi funkcjonuje więc poza horyzontem trwającego Objawienia. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

HISTORIA

OPOWIEŚĆ O MAŁEJ HAWANIE

Ta dzielnica Miami to lustro, w którym odbija się historia gorącej relacji Kuby i USA ostatnich 60 lat. Także dziś, gdy – jak tu mówią – prawdziwy Kubańczyk głosuje na Trumpa. Odwiedziliśmy to miejsce.

JAN RADOMSKI Z FLORYDY

ZUMA PRESS / ALAMY / BE&W

Uciekinierzy z Kuby przybijają do portu Key West na Florydzie, kwiecień 1980 r. W tej fali emigracji, na którą zezwolił reżim Castro, do USA przybyło 125 tys. Kubańczyków.

Niech nikt nie myśli, że „Mała Hawana" to gorsza wersja prawdziwej Hawany. *Pequeña Habana* jest bardziej kubańska od Kuby. Tak mówią o niej mieszkańcy, a ja muszę im wierzyć, bo na Kubie nigdy nie byłem. Podobnie jak zdecydowana większość z nich.

CYGARO | Taksówkarz, który wysadza mnie przy słynnej Calle Ocho, jest Kubańczykiem. Po drodze z dumą pokazuje miasto, ale narzeka, jak drogie jest życie na Florydzie. – Taniej jest pływać po Karaibach! – wie, co mówi, razem z żoną i dziećmi byli na rejsach prawie pięćdziesiąt razy.

Jak się żyje w Stanach? Macha ręką: – Z roku na rok coraz gorzej. Nie tylko w Miami, wszędzie jest drogo, nie ma pracy.

Pytany o Trumpa, ożywia się. – To oszust! Sam nie głosuję, ale moi rodzice i teściowie, wszyscy na niego głosowali. Wmówił im, że zna się na rządzeniu, na ekonomii. Twierdzi, że ma *big picture* i zrobi *huge deal* – śmieje się. – Oni mu wierzą, biedni ludzie. No ale nic dziwnego, tacy są Kubańczycy.

Zaraz, Kubańczycy? Czy on też nie jest Kubańczykiem? Mężczyzna śmieje się: – Pewnie, że tak! Żona też. Ale dla naszych rodziców żadni z nas Kubańczycy. Prawdziwy Kubańczyk mówi tylko po hiszpańsku, popiera Trumpa i gra w domino. A w gębie ma cygaro.

Minie kilka dni, zanim zrozumiem, co miał na myśli.

CORAZ MNIEJ | *Pequeña Habana* w pierwszym momencie rozczarowuje: przypomina skansen. Wcześniej znałem tę dzielnicę z „GTA: Vice City", gry komputerowej, w której odwzorowane jest Miami. Czuję się, jakbym już tu był. Wokół mnie wszystko krzyczy, że to kubańska dzielnica.

Statystyki pokazują jednak, że żyje tu coraz mniej Kubańczyków. Jeszcze w latach 80. XX w. stanowili ponad 80 proc. mieszkańców, dziś połowę. Dzielnica wciąż jest latynoska i katolicka, gdyż zamieszkali tu emigranci z Hondurasu i Nikaragui.

Co stało się z Kubańczykami? Niestety, raczej nie to, co było marzeniem ich rodziców, którzy wyobrażali sobie, że razem z dziećmi, najpóźniej wnukami, wrócą na Kubę, uwolnioną od Fidela Castro, który rządził nią od 1959 r.

Wielu z nich nie dożyło śmierci dyktatora (zmarł w 2016 r.; kubański komunizm trwa), a ich dzieci dorobiły się i wyjechały z Miami. Tak jak taksówkarz, który mnie tu przywiózł: choć wychował się niedaleko, od lat mieszka pod Miami, a z rodzinną dzielnicą ma kontakt tylko, gdy przywozi tu turystów.

POCZĄTKI | Kubańczycy zaczęli osiedlać się na Florydzie w ramach *Los vuelos de la libertad*, Lotów Wolności. Ich historia łączy się z ruchem praw obywatelskich, który w latach 60. XX w. przyczynił się do zniesienia w USA prawa faworyzującego imigrantów z Europy.

Po tym, jak komuniści opanowali Kubę, emigrować zaczęły najpierw najbogatsze grupy społeczne, utożsamiające się z poprzednim reżimem – np. przedsiębiorcy, których pozbawiono majątku. W 1965 r. prezydent Lyndon B. Johnson ogłosił, że prześladowany naród kubański może znaleźć schronienie w USA, co spowodowało emigrację już masową.

Stany obawiały się wówczas, że Kuba może stać się wzorem dla lewicowych rewolucji, a Związek Sowiecki wykorzysta strategiczne położenie wyspy. To motywowało Waszyngton do inwestowania w program Lotów Wolności, które dwa razy dziennie, od poniedziałku do piątku, przywoziły do Miami Kubańczyków (łącznie setki tysięcy).

Co ciekawe, odbywały się w porozumieniu z władzą w Hawanie. Powodem było to, że nowy reżim nie chciał kojarzyć się z niewygodnymi obrazkami, wolał pozbyć się problemu. Na liście oczekujących na emigrację było około miliona osób. Z czasem reżim zaczął ich gnębić – propaganda nazywała ich *gusanos*, robakami, które szkodzą społeczeństwu.

Ostatecznie w ramach tego programu w latach 1965-73 do USA trafiło 300 tys. ludzi – pierwsza tak duża fala kubańskiej imigracji. Tak powstała *Pequeña Habana*, „Mała Hawana".

NESTOR | Dziś ci, którzy wtedy przybyli, są uważani za pionierów. W społeczności nazywani są *la primera generación*. Pierwsze pokolenie. Stanowili niezwykłą jak na imigrantów mozaikę: byli tu antykomunistyczni inteligenci, przedsiębiorcy, specjaliści.

Wśród nich był Jorge Mas Canosa, król kubańskiego lobby. Do USA przybył jako 21-letni antykomunista, założył Narodową Fundację Kubańsko-Amerykańską. Wpływową organizację, która latami kształtowała politykę USA wobec Kuby, zwłaszcza wśród Republikanów.

Mas Canosa odniósł też sukces biznesowy. Stworzył firmę MasTec, która zajmuje się budową i modernizacją infrastruktury energetycznej, telekomunikacyjnej i wodociągowej. Ta historia nie jest jednak bez skazy: Mas Canosa latami spierał się z mediami, które zarzucały mu wręcz mafijne praktyki.

Po latach trudno powiedzieć, kto miał rację. Pewne jest, że komunistycznego reżimu nie udało mu się obalić, a MasTec ↦

↦ zatrudnia dziś kilkanaście tysięcy osób i wciąż jest w rękach rodziny Mas Canosa (nestor rodu zmarł w 1997 r.).

Tak jak Mas Canosa, wielu Kubańczyków z *la primera generación* charakteryzowała specyficzna bezczelność: nie czuli się jak przegrani, którzy szukają w życiu drugiej szansy, lecz jak rebelianci, których los jest chwilowy.

SERCE | Niewielu pasażerów Lotów Wolności spodziewało się, że spędzą tu więcej niż kilka miesięcy, może parę lat. Reżim miał przecież upaść. Kierowali się prostymi zasadami: pielęgnowali kubańską kulturę i język, ciężko pracowali i nienawidzili Castro.

O to, jak się czuje po wielu dekadach tu spędzonych, pytam Carlosa. Przyleciał do Miami pod koniec lat 60.; na Kubie jego rodzice mieli firmę, on pracował tu fizycznie. W wieku 80 lat wygląda na zmęczonego życiem. Ożywia się, gdy pytam, czy czuje się Amerykaninem.

– Nie jestem Amerykaninem! – krzyczy tak głośno, że spoglądają ku nam trzy Kubanki, które pracują w salonie fryzjerskim obok. – Po prostu tu mieszkam. Jestem stary, pewnie już stąd nie wyjadę, ale moje dzieci, wnuki wrócą kiedyś na Kubę.

Carlos ma obywatelstwo USA, ale nie traktuje tego jako czegoś ważnego. – To amerykański dokument – mówi. – A to kubańskie serce – smutno wskazuje na swoją pierś.

Pytam go o Trumpa. Interesuje mnie, co przyciąga Kubańczyków do obecnego prezydenta. Carlos macha ręką. – Trump to *buen hombre*. Porządny człowiek.

Rozmawiamy po hiszpańsku. Po angielsku Carlos nie mówi ani słowa. A może mówi, ale nie chce się do tego przyznać.

TRUMP | Od początku pobytu w „Małej Hawanie" dziwi mnie, jak mało użyteczny jest tu angielski. Gdy zaczynam rozmowę z kolejnymi grupkami, krzywią się i kręcą głową, nawet gdy zadaję podstawowe pytania po angielsku. Aż nie chce się wierzyć, że nie rozumieją, co znaczy *How are you*. Zwłaszcza że np. młodzi muszą mieć kontakt z anglojęzyczną kulturą.

Mam poczucie, że nawet nie próbują mnie zrozumieć, nie chce im się ze mną gadać. Jednak wystarczy, że powiem kilka słów w kaleczonym hiszpańskim, a ich nastawienie od razu się zmienia.

Grupa dwudziestolatków opowiada o życiu tutaj: jeden pracuje w kubańskiej restauracji, drugi na budowie, trzeci studiuje ekonomię. Na pytanie o Trumpa reagują raczej pozytywnie, ale bez większego zainteresowania. – Polityka mało nas obchodzi – mówi student. – Ale tak, głosowałem na Trumpa, bo to silny polityk. Zrobi porządek z tym wszystkim, co się dzieje dookoła.

A co się dzieje? – Świat zwariował na punkcie poprawności politycznej. Niedługo nic nie będzie można powiedzieć. Słyszałeś, co gada lewica? Nie ma dwóch płci, każdy może mieć inną.

– Kobieta może mieć jaja, a facet rodzić dzieci – śmieją się jego koledzy.

Czy interesuje ich, co Trump mówi o Kubie? – Trochę tak, potrafi postawić na swoim – mówi student. – W przeciwieństwie do Demokratów – dopowiada ten, który pracuje na budowie.

Rzeczywiście, Trump od początku drugiej kadencji zaostrzył kurs wobec Kuby. Cofnął tym niektóre decyzje Joego Bidena. Najgłośniejsze było przywrócenie Kuby na listę państw wspierających terroryzm. Trump zrobił to po raz drugi, poprzednim razem podjął taką decyzję na kilka dni przed końcem swojej pierwszej kadencji.

KIBICE | Chłopacy mówią o Kubie, ale mam poczucie, jakby słowo to nie oznaczało realnego kraju, ale było jakimś symbolem.

Przez chwilę rozmawiamy o baseballu. To też trudny temat. Kubańczycy żyjący w USA nie kibicowali reprezentacji Kuby. Chłopcy tłumaczą, że to się zmienia – w przeciwieństwie do ojców czy dziadków, młodzi niekiedy patrzą na sportowców bardziej po ludzku, jak na ofiary reżimu.

Niektórzy sportowcy ryzykują życiem, by uciec z Kuby. Kilka lat temu zyskała na tym Polska, gdy naszym obywatelem został Wilfredo León, jeden z najlepszych siatkarzy świata. Pytam o niego, wszyscy go kojarzą. – León, no pewnie, wspaniały siatkarz, macie szczęście, że gra dla Polski!

Jak złożona jest sytuacja Kubańczyków, pokazuje historia sprzed trzech lat. W marcu 2023 r. w ramach półfinałów World Baseball Classic rozegrano mecz między Kubą a USA. Na LoanDepot Park, w sercu „Małej Hawany", przyszli tłumnie imigranci. Część gwizdała, gdy reprezentacja Kuby zdobywała punkty. Podczas meczu na boisko wtargnęło trzech aktywistów. Spotkanie zakończyło się wynikiem 14:2 dla USA. Dzień później jeden z kubańskich zawodników zdecydował się zostać w Miami.

O tym meczu rozmawiam z dwiema młodymi Kubankami, które stoją na podwórku i palą papierosy. Camila i Yan były na nim ze swoimi chłopakami, którzy są Amerykanami.

Komu kibicowały? – USA! – odpowiadają bez wahania.

Dziewczyny to najmłodsze kubańskie pokolenie w Miami. Jednak ich rodzinna historia jest inna niż potomków „pierwszego pokolenia". One są córkami *Marielitos* – emigrantów, którzy do Miami przybyli w 1980 r., gdy Castro otworzył port Mariel na masową emigrację.

WENTYL | Ta historia pokazuje spryt dyktatora. Pod koniec lat 70. ludzie na Kubie próbowali uzyskać azyl w latynoskich ambasadach. 1 kwietnia 1980 r. sześciu mężczyzn dostało się do ambasady Peru, a władze w Limie ogłosiły, że nie wydadzą ich kubańskiej policji.

4 kwietnia rząd Kuby ogłosił, że wycofuje służby spod ambasady. Następnego dnia na jej terenie było 2 tys. osób, a kolejnego 10 tysięcy. Kubańscy urzędnicy przez głośniki ogłaszali, że każdy, kto znalazł się na terenie ambasady, może swobodnie emigrować, jeśli inne państwo zgodzi się go przyjąć. Warunki w ambasadzie pogarszały się; legenda głosi, że przebywający tam byli zmuszeni jeść z głodu koty.

Przez kolejne tygodnie rząd Kuby prowadził kampanię, która zachęcała do emigracji, a zarazem stygmatyzowała emigrantów. Społeczeństwo podzielono na lojalnych i szumowiny. Castro mówił, że wyjeżdżają „pedałki" (*flojito*) i „bezwstydne stworzenia" (tak nazwał pracownice seksualne). Rząd organizował zbiorowe akty potępienia.

20 kwietnia Castro ogłosił, że każdy, kto chce opuścić Kubę, może to zrobić przez port Mariel, o ile ktoś po niego przypłynie. Reakcja rodaków z Florydy była natychmiastowa – zaczęli organizować tysiące łódek i kutrów. Tymczasem Castro celowo wsadzał na nie przestępców i osoby leczące się psychiatrycznie, aby się ich pozbyć.

W Miami zapanował chaos. W dzielnicach zamieszkanych przez czarnych Amerykanów rosła frustracja z powodu

GIORGIO VIERA / AFP / EAST NEWS

W dzielnicy „Mała Hawana". Miami na Florydzie, czerwiec 2023 r.

przywilejów, jakie otrzymywali Kubańczycy. 17 maja w dzielnicach Liberty City i Overtown wybuchły zamieszki, zginęło 18 osób.

W tej fali emigracji do USA przybyło 125 tys. Kubańczyków. Tak powstali *Marielitos*.

MARIELITOS | Alejandro przybył do USA jako chłopiec na jednej z tych łodzi. Wesoły, wysportowany, ma ok. 60 lat. Zadowolony z życia, siedzi przed domem i popala cygaro. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej kubańskiego. – Jestem *Marielito!* – mówi z dumą. – Przez lata trudno było o tym mówić, ludzie patrzyli na nas podejrzanie. Ale teraz to się chyba zmienia.

Jest pierwszą osobą w „Małej Hawanie", która rozmawia ze mną po angielsku. Przez lata pracował jako urzędnik, a także w szkole położonej kilka przecznic dalej: – Kubańczycy się boją. Nikt ci nie powie tego głośno, ale się boją. A później ten strach przerabiają na jakieś zasady. Ludzie tu nie integrują się, a później nazywają to dbaniem o kubańską kulturę.

A Trump? – Ten facet to ucieleśnienie naszych lęków. Ludzie głosują na niego, gdyż daje im błyskawicznie odpowiedzi. Na wszystko. A jak się boisz, to nie chcesz słuchać skomplikowanych analiz, ale chcesz jednego: przestać się bać.

Do rozmowy włącza się sąsiadka, też Kubanka; w Miami mieszka od 30 lat. – Starsi Kubańczycy lubią podkreślać swoje wartości, tylko to w dużej mierze powierzchowne. Każdy, kto myśli trochę inaczej, od razu staje się komunistą.

– Skąd jesteś? – pyta Alejandro. Entuzjastycznie reaguje na moją odpowiedź:

JAN RADOMSKI X2

CARLOS *jest obywatelem USA, ale nie traktuje tego jako czegoś ważnego. W sercu jest Kubańczykiem*

ALEJANDRO *jest dumny z tego, że jest „Marielito". Do Miami przybył na łodzi 45 lat temu.*

– Z Polski? No to nas zrozumiesz. Też mieliście komunizm, starsze pokolenie zostało upokorzone, musieli uciekać jak szczury z kraju, a później odbili to sobie.

– Moi rodzice to *Marielitos* – dodaje kobieta. – Całe życie strasznie się tego wstydzili, a jednocześnie czuli się lepsi od innych, choćby od imigrantów z Meksyku. Mieli poczucie, że przyjechali tu ze względu na wartości, a nie tylko za pracą. Choć to była tylko częściowo prawda.

OPOWIEŚĆ | Pytanie, dlaczego mieszkańcy „Małej Hawany" popierają Trumpa, można by sprowadzić do kwestii ideologicznych. Ale to nie byłaby pełna odpowiedź. Dla starszych pokoleń antykomunizm był rzeczywiście czymś definiującym, ale dla młodszych Castro to postać z innego świata – interesuje ich mniej niż koszty życia czy brak pracy.

Rozmowa z Alejandro uświadamia jednak, że jest tu coś wspólnego: lęk, który w tej społeczności dziedziczony jest razem z kubańskością. I starsi, i młodsi boją się, jak sobie poradzą. Choć trudno im to przyznać, wolą więc mówić o złości na komunizm lub polityczną poprawność.

„Mała Hawana" jest jak Miami – chyba jedyne miasto na świecie stworzone na podstawie wyobrażenia w popkulturze. Popularność serialu „Miami Vice" w latach 80. XX w. sprawiła, że miasto stało się takie, jak wyobrazili sobie jego twórcy: miejscem wiecznej imprezy, wypełnionym pastelowym przepychem i syntetycznym popem.

Tutaj jak nigdzie indziej kultura masowa potrafi zawęzić złożone losy społeczności do kilku symboli: muzyki, cygar i kolorowych aut.

Wystarczy jednak zejść z Calle Ocho, by zobaczyć, że pod tym, co zdaje się skansenem, kryje się coś więcej. To opowieść o pokoleniach emigrantów: od antykomunistycznie zaangażowanego „pierwszego pokolenia" przez *Marielitos* po ich dzieci i wnuki, które mają już inne priorytety. O emigracji niebędącej ani porażką, ani sukcesem. Opowieść o polityce, która nie jest ideologią, ale traumą i nadzieją, a czasem też muzyką, jedzeniem i sportem.

Przede wszystkim jednak jest to opowieść o tym, że powrót do domu nie zawsze jest możliwy, a cel cały czas się zmienia.

To wszystko uczy pokory. Bo proste odpowiedzi w tym miejscu nie istnieją.

© JAN RADOMSKI

Autor jest socjologiem, wykładowcą akademickim. Publikował także w zagranicznych mediach, ostatnio we francuskim „Le Monde diplomatique" czy brazylijskim „Folha de São Paulo".

NAGRODY NOBLA 2025

Kontrola i tolerancja

BARTOSZ KABAŁA

Shimon Sakaguchi, Mary Brunkow i Fred Ramsdell odpowiedzieli na pytanie, które samo się nasuwa nawet po powierzchownym zapoznaniu się z działaniem układu odpornościowego.

System immunologiczny jest potężnym mechanizmem, który dba o bezpieczeństwo naszego organizmu. Komórki tego układu są w stanie zabijać bakterie, grzyby, wirusy i pasożyty, które dostaną się do naszego ustroju, a także unicestwiać komórki nowotworowe. Za reakcję układu odpornościowego odpowiada skomplikowana siatka powiązań molekularnych, biochemicznych i komórkowych. Jednak kluczowym pojęciem do zrozumienia zasady rządzącej tym mikrokosmosem jest antygen, czyli związek (zwykle białko), który ma zdolność łączenia się z receptorami komórek odpornościowych i przeciwciałami. Antygeny to białka wirusowe lub bakteryjne, ale także niektóre własne białka organizmu. To właśnie antygeny stymulują reakcję układu odpornościowego, prokurują powstawanie przeciwciał i napływ limfocytów do miejsca infekcji. Dlaczego zatem system immunologiczny nie atakuje własnego organizmu i własnych białek?

Wiadomo, że za zjawisko tej immunologicznej tolerancji odpowiada grasica – niewielki narząd zlokalizowany tuż za mostkiem, w którym dojrzewają limfocyty T (od łacińskiego słowa *thymus*, oznaczającego grasicę). Owe komórki dzięki receptorom na swojej powierzchni, niczym strażnicy, patrolują organizm, szukając antygenów – śladów infekcji. Jednak niektóre z nich widzą wroga we własnych komórkach i rozpoznają białka organizmu jako antygeny, które koniecznie trzeba zniszczyć. W grasicy takie limfocyty są likwidowane, by nie doszło do uruchomienia reakcji autoimmunologicznej. O kluczowej roli grasicy przekonują eksperymenty wykonywane w latach 80. – szczurom i myszom po trzech dniach od narodzin wycinano grasice, co skutkowało atakiem układu odpornościowego wymierzonym w organizm. Pojawiało się autoimmunologiczne zapalenie tarczycy, jajników czy żołądka. Zagadka na pozór rozwiązana.

Wydział wewnętrzny

Zamieszanie w immunologii wprowadził pierwszy z tegorocznych noblistów Japończyk Shimon Sakaguchi. Zaraz po studiach medycznych dołączył do laboratorium profesora Nishizuki, pod którego okiem wyrósł również inny japoński noblista – Shinya Yamanaka, odkrywca komórek

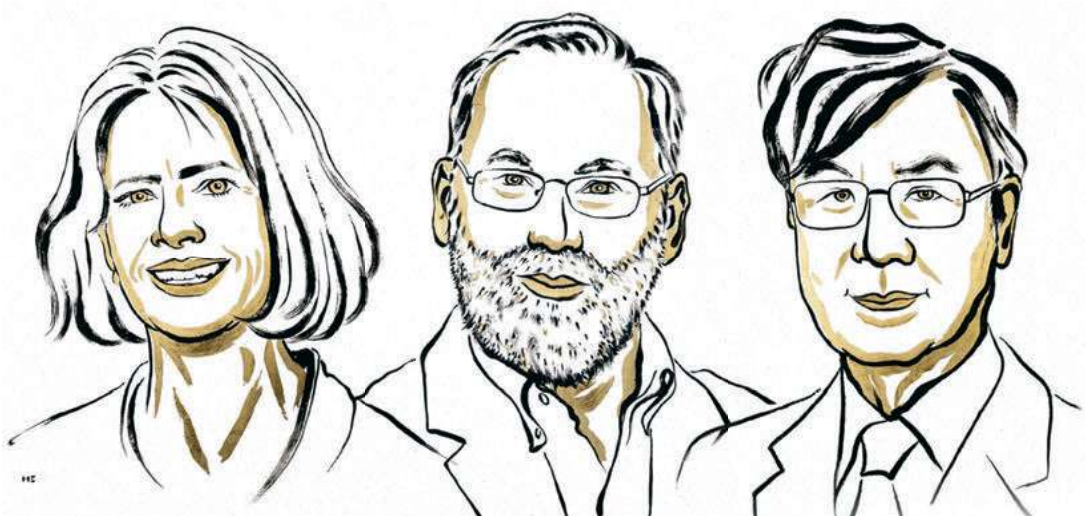

Laureaci Nagrody Nobla z medycyny: Mary E. Brunkow, Fred Ramsdell i Shimon Sakaguchi

RYS. NIKLAS ELMEHED / NOBEL PRIZE

macierzystych (Nagroda Nobla w 2012 r.). Badacze dowiedli, że podanie pozbawionym grasic myszom limfocytów T pobranych od zdrowych osobników chroniło te pierwsze przed rozwojem reakcji autozapalnej. Musiały zatem istnieć inne, niezależne od grasicy, mechanizmy broniące organizm przed autodestrukcją. Po ponad dekadzie starań, w 1995 r., już jako główny badacz Sakaguchi opublikował pracę, w której scharakteryzował nowy rodzaj limfocytów – określonych jako T regulatorowe. Jeśli pomimo szczegółowej kontroli w grasicy po organizmie krążą takie limfocyty, które atakują własne narządy, wówczas działać zaczynają limfocyty T regulatorowe, swoista wewnętrzna policja hamująca reakcję. Co ciekawe, te wnioski nie zostały powszechnie przyjęte przez świat nauki.

Mniej więcej w tym samym czasie po drugiej stronie Pacyfiku dwoje naukowców – Mary Brunkow i Fred Ramsdell – dokonało przełomowego odkrycia, dopełniającego wyjaśnienia zagadki. Ale tu historia zaczyna się dużo wcześniej.

W latach 40. w jednym z laboratoriów w Tennessee, działającym w ramach Projektu Manhattan, zaobserwowano u myszy spontaniczną mutację, w wyniku której męskie osobniki miały łuskowatą skórę, rzadkie futro, powiększoną śledzionę i dożywały jedynie trzech miesięcy. Za objawy odpowiedzialne okazały się limfocyty i niekontrolowana reakcja autoimmunologiczna. Brunkow i Ramsdell, dzięki uporowi i mrówczej pracy, odnaleźli zmutowany gen foxp3, a mysią chorobę powiązali z występującym u ludzi, bardzo rzadkim zespołem IPEX, charakteryzującym się – podobnie jak u myszy – zmianami skórnymi, powiększoną śledzioną i licznymi chorobami z autoagresji.

Oba klocki układanki połączył Sakaguchi – gen foxp3 działa przede wszystkim w limfocytach T regulatorowych i odpowiada za ich prawidłowe funkcjonowanie. Ramsdell wraz z zespołem nieco później dowiedli zaś, że zmutowane myszy w ogóle nie posiadały limfocytów T regulatorowych. Zatem mutacja kluczowego genu upośledza kontrolę reakcji autoimmunologicznej.

Hakowanie komórkowej policji

Choć nagrodzone badania dotyczą głównie nauk podstawowych, to jednak mają niezwykłe znaczenie praktyczne. Szacuje się, że nawet 10 proc. populacji państw rozwiniętych choruje na przynajmniej jedną z około stu chorób autoimmunologicznych. Wśród nich jest cukrzyca typu 1, choroba Hashimoto, choroba Crohna i wiele innych. Ich częstość w wielu krajach z dekady na dekadę rośnie i mimo że dostępne są coraz skuteczniejsze leki, to całkowite wyleczenie pozostaje poza naszym zasięgiem. Być może odpowiedzią okażą się właśnie limfocyty T regulatorowe i umiejętne modyfikacje ich działania. Już teraz trwa około stu badań klinicznych dotyczących tej grupy komórek, w tym w obszarze onkologii i transplantologii.

Wyjaśnienie, w jaki sposób organizm tłumi potencjalne bunty układu odpornościowego przeciwko własnym narządom, jest ważne dla zrozumienia, dlaczego czasami się to nie udaje i autoimmunologiczne wojny domowe jednak wybuchają. Być może dokonania tegorocznych noblistów odkryją przed nami uniwersalny plan pokojowy. ©

Kwantowe obliczenia w nadprzewodnikach

ŁUKASZ LAMŻA

Trzech tegorocznych noblistów spotkało się w latach 80., aby położyć podwaliny pod, być może, następną wielką rewolucję technologiczną i naukową.

Tegoroczna Nagroda dotyczy spotkań z mechaniką kwantową w zupełnie nowej skali" – ogłosił Hans Ellegren z Królewskiej Szwedzkiej Akademii Nauk, prowadzący we wtorek 7 października ceremonię wręczania Nagrody Nobla z Fizyki. Akademia, nauczona wieloletnim doświadczeniem, po tym lekko enigmatycznym streszczeniu przystąpiła do konkretów.

Nagrodę otrzymało trzech fizyków, każdy po równej jednej trzeciej: John Clarke, Michel H. Devoret i John M. Martinis. Formalne uzasadnienie podane przez Akademię głosi, że Nobla przyznano za „odkrycie makroskopowego tunelowania kwantowego i skwantowania energii w obwodach elektrycznych". Rozłóżmy może tę kwiecistą frazę na czynniki pierwsze.

Cuda i dziwy świata kwantów

Tunelowanie kwantowe to jedno z licznych zjawisk, które występują w mikroskopijnym świecie kwantów, lecz nie w otaczającym nas zwykłym, „dużym" (czyli: makroskopowym) świecie. Polega ono na „przeskoku" cząstki przez barierę, która z punktu widzenia klasycznej fizyki (i matematyki!) wydaje się za duża. To trochę tak, jak gdyby wejście do pewnego budynku wymagało okazania dokładnie 200 złotych, a ja, posiadający w kieszeni tylko stuzłotówkę, i tak dostałbym się do środka. Takie uroki świata, który jest tylko „w przybliżeniu".

Druga ciekawa cecha świata kwantowego: zachodzące w nich procesy dokonują się tylko porcjami. Przykładowo, natężenia prądu elektrycznego nie można zmniejszać z całkowitą swobodą: w pewnym momencie osiągnięte zostanie najmniejsze możliwe natężenie, od którego mniejsze jest już tylko okrągłe zero. Znów przydaje się metafora finansowa: choć w świecie finansjery zdarza się operować ułamkami groszy, zwykła gotówka nie zna takich fenomenów. Pieniądz gotówkowy, powiedzielibyśmy, jest skwantowany.

Skwantowanie energii oraz tunelowanie zostały przewidziane i zaobserwowane bardzo szybko, bo pod koniec lat 20. XX wieku – w szczenięcych niemal czasach mechaniki kwantowej. Za co więc tegoroczny Nobel? Wszyscy trzej nowi nobliści poświęcili swoje życie nie tylko badaniu podstaw mechaniki kwantowej, co przede wszystkim jej zastosowaniach. Spotkali się w latach 80. na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley; John Clarke, najstarszy z trójki, prowadził tam laboratorium, do którego dołączyli Devoret i Martinis. Ich zainteresowania szybko skoncentrowały się na nadprzewodnikach. ↦

RYS. NIKLAS ELMEHED / NOBEL PRIZE

Laureaci Nagrody Nobla z fizyki: John Clarke, Michel H. Devoret i John M. Martinis

Niektóre materiały w odpowiednich warunkach – zwłaszcza w bardzo niskich temperaturach – przewodzą prąd „idealnie", czyli zupełnie bez oporu. Przewód nadprzewodzący można by sobie wyobrazić jako rzekę, która nie ma ani jednego wiru, bąbelka czy falki, tylko całą swoją masą gładko przesuwa się przed siebie jak niewzruszony pas transmisyjny (fizyk powiedziałby, że woda taka płynie „laminarnie"). Równie „gładki" przepływ prądu możliwy jest właśnie dzięki skwantowaniu energii: uspokajamy nasz układ tak bardzo, że nie starczy energii na najdrobniejszą dozwoloną formę chaosu, nawet grosik nieporządku. Opór nie jest wówczas „tylko" bardzo mały: jest dokładnie zerowy.

Obwód nadprzewodzący to idealny układ, aby w spokoju manipulować najdrobniejszymi porcjami energii, wykrywać maleńkie zaburzenia środowiska (stąd detektory nadprzewodzące) i robić wiele innych cudów niewyobrażalnych w warunkach „klasycznych". Obwód taki, jak się okazuje, może stać się elementarną jednostką komputera kwantowego, czyli takiego, który przeprowadza obliczenia na układach zdolnych do utrzymywania kwantowej „niepewności" (w dziwacznym świecie kwantów mój stan portfela nie jest jedną określoną liczbą, a raczej rozmytą chmurą prawdopodobieństw). Wymaga to niezwykłej pieczołowitości, ponieważ nawet najdrobniejsze zaburzenie wytrąca taki układ z kwantowej ewolucji; jest to jednak gra warta świeczki. Od końca lat 90. obliczenia kwantowe realizuje się na rozmaitych układach; jedną z popularnych technologii są właśnie obwody nadprzewodzące: dobrze zbadane i względnie stabilne.

Komputery nowej ery

John Martinis był liderem grupy, która w 2019 r. ogłosiła, że na swoim nadprzewodzącym procesorze Sycamore wykonała obliczenia „niemożliwe" do przeprowadzenia na komputerze „klasycznym". Choć szybko okazało się, że pomysłowość inżynierów jest w stanie podważyć owo „nie da się" – dobrze napisany program jest w stanie wystarczająco precyzyjnie symulować zjawiska kwantowe również na zupełnie zwykłym komputerze – komputery kwantowe budzą wielkie nadzieje. Chodzi nie tylko o obliczenia, ale choćby i o szyfrowanie: układ, który „rozpada się" pod wpływem najdrobniejszego zaburzenia, to świetny punkt wyjścia do bezpiecznego przekazu informacji. Te i inne zastosowania nadprzewodników rozwijają się w solidnym tempie, a technologia obliczeń kwantowych budzi wielkie nadzieje: naukowe i biznesowe. Devoret, dodajmy, choć został opisany przez szwedzką Akademię jako pracownik Uniwersytetu Kalifornijskiego, pełni też ważną rolę kierowniczą w Google Quantum AI.

Na koniec ciekawostka. Zajrzymy do owego przełomowego artykułu z 2019 r., w którym Martinis i spółka donieśli o pierwszym nadprzewodzącym procesorze z „kwantową przewagą". Cztery pierwsze nazwiska na liście cytowań to Feynman, Devoret, Martinis i Clarke. Dobre towarzystwo.

© ŁUKASZ LAMŻA

Krystaliczna klatka na cząstki

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Japończyk Susumu Kitagawa i Amerykanie Richard Robson oraz Omar M. Yaghi otrzymali Nobla z chemii za stworzenie materiałów, które potrafią wchłaniać, magazynować i uwalniać cząsteczki.

Nagrodę w dziedzinie chemii przyznano za opracowanie metalowo-organicznych struktur (MOF) – niezwykle porowatych kryształów, które potrafią pochłaniać, przechowywać i selekcjonować cząsteczki gazów oraz cieczy. Jak żartował przewodniczący Komitetu Noblowskiego, Heiner Linke, „to materiały, które są trochę jak torebka Hermiony z »Harry'ego Pottera« – mogą pomieścić ogromne ilości substancji w maleńkiej objętości".

Historia nagrodzonych badań zaczyna się nie w superlaboratorium, lecz w warsztacie stolarskim. W 1974 r. Richard Robson z Uniwersytetu w Melbourne przygotowywał dla studentów modele cząsteczek z drewnianych kulek i pręcików. Zauważył wtedy, że sam układ otworów w kulkach – czyli geometria wiązań – determinuje strukturę cząsteczki, a więc niesie informację o tym, jak powinna ona wyglądać. Kilkanaście lat później postanowił wykorzystać ten pomysł w praktyce. Zamiast atomów węgla, które w diamencie tworzą regularną sieć, użył jonów miedzi i cząsteczek z czterema „ramionami" zakończonymi grupami chemicznymi przyciągającymi metal. Ku zaskoczeniu większości chemików, zamiast chaotycznej mieszaniny powstał uporządkowany, przestrzenny kryształ o licznych pustkach.

Chemiczne klocki

W 1989 r. Robson opisał to w „Journal of the American Chemical Society", pisząc proroczo, że nowy sposób konstruowania molekuł może otworzyć drogę do materiałów o „niespotykanych dotąd właściwościach". „Było to trochę jak zbudowanie diamentu z przestrzeniami w środku" – wspominał później.

Kolejny krok należał do Susumu Kitagawy z Uniwersytetu w Kioto. Kierował się zasadą, że „nawet rzeczy pozornie bezużyteczne mogą okazać się użyteczne". W latach 90. próbował tworzyć porowate kryształy z jonów metali i organicznych „łączników".

Początkowo jego struktury były nietrwałe, a grantodawcy nie widzieli w nich niczego nadzwyczajnego. Kitagawa często powtarza jednak, że okresy przestoju i niepowodzeń były dla niego źródłem pomysłów. Zamiast wymuszać szybki efekt, pozwalał doświadczeniom dojrzewać – wierząc, że czas spędzony na pozornie „bezużytecznych" badaniach sam w sobie może być wartością.

Przełom nastąpił w 1997 r.: Kitagawa opracował trójwymiarowy materiał z kobaltu, niklu i cynku, przecięty kanałami, które mogły wchłaniać i uwalniać gazy – metan, tlen, azot – bez utraty kształtu. Wkrótce odkrył też, że takie konstrukcje mogą być elastyczne, zmieniać formę pod wpływem temperatury, ciśnienia czy światła.

W tym samym czasie, po drugiej stronie Pacyfiku, Omar M. Yaghi, urodzony w Ammanie chemik, pracował na Uniwersytecie Stanowym Arizony. Jako nastolatek wyjechał z Jordanii do USA z niemal pustymi rękami. „Zakochałem się w chemii, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem w książce rysunki cząsteczek" – wspominał. W 1995 r. opisał pierwsze trwałe struktury z metali i kwasów karboksylowych, wprowadzając nazwę *metal-organic frameworks* (MOF).

Jego najbardziej znany materiał, MOF-5, powstał w 1999 r. Wystarczy kilka gramów tego proszku, by ukryta wewnątrz powierzchnia jego mikroskopijnych porów odpowiadała rozmiarowi boiska piłkarskiego. Kryształ można podgrzać do 300 st. C, nie niszcząc jego struktury. To właśnie ta stabilność odróżnia MOF-y od wcześniejszych porowatych materiałów, takich jak zeolity. Jak tłumaczy Yaghi, w jego laboratorium „łączymy budulce niczym w molekularnym LEGO, tworząc nieskończoną liczbę możliwych kombinacji". Z tego pomysłu narodziła się nowa dziedzina – chemia retikularna, czyli nauka o „szyciu" molekuł w sieci o określonych kształtach i właściwościach.

Rewolucja trwa

W ciągu dwóch dekad naukowcy na całym świecie stworzyli ponad 100 tys. odmian MOF-ów. Niektóre pochłaniają dwutlenek węgla z kominów elektrowni, inne wychwytują toksyczne gazy używane w przemyśle półprzewodników. Zespół Yaghiego zbudował materiał, który wydobywa wodę z pustynnego powietrza – w nocy absorbuje parę, a rano, gdy słońce podgrzewa proszek, skrapla się czysta woda.

Na rynku są już produkty oparte na tych materiałach. Kanadyjska firma Svante wykorzystuje MOF-y w instalacjach do wychwytywania CO_2 z gazów spalinowych, a brytyjsko-amerykańskie start-upy eksperymentują z ich użyciem do magazynowania wodoru i metanu w bezpiecznej, gęstej formie. Niektóre konstrukcje potrafią pochłaniać tzw. wieczne chemikalia PFAS (związki o bardzo długim czasie rozkładu) z wody, inne – wydłużać świeżość owoców, zatrzymując etylen odpowiedzialny za dojrzewanie. Są też MOF-y, które „oddychają", zmieniając kształt jak płuco w rytmie napełniania i opróżniania porów.

„Ich architektura molekularna zawiera pokoje dla chemii" – głosi tytuł oficjalnego komunikatu Akademii Nauk w Sztokholmie. Dzięki Robsonowi, Kitagawie i Yaghiemu naukowcy mogą dziś projektować materiały o funkcjach dostosowanych do potrzeb – od filtrów powietrza po nośniki leków i katalizatory. Z czasem MOF-y zainspirowały powstanie innych rodzin „inteligentnych" struktur. „To materiały, które mogą stać się tworzywem XXI wieku" – mówi Olof Ramström, członek Komitetu Noblowskiego. Ich potencjał doceniają też giganci technologiczni: firma Meta trenuje modele sztucznej inteligencji na danych o 15 tys. znanych MOF-ach, by przyspieszyć odkrywanie nowych.

Choć tegoroczny Nobel dotyczy podstaw nauki o materiałach, jego znaczenie jest bardzo praktyczne. Porowate struktury mogą nie tylko wiązać gazy cieplarniane, ale też umożliwić czystsze przechowywanie energii, filtrowanie zanieczyszczonej wody czy wychwytywanie z powietrza toksycznych związków. „To chemia, która dosłownie pomaga światu oddychać" – podsumował jeden z komentatorów „Nature". Trudno o lepszy przykład, że fundamentalna, ciekawością napędzana nauka może po latach przynieść rozwiązania najbardziej palących problemów. ©

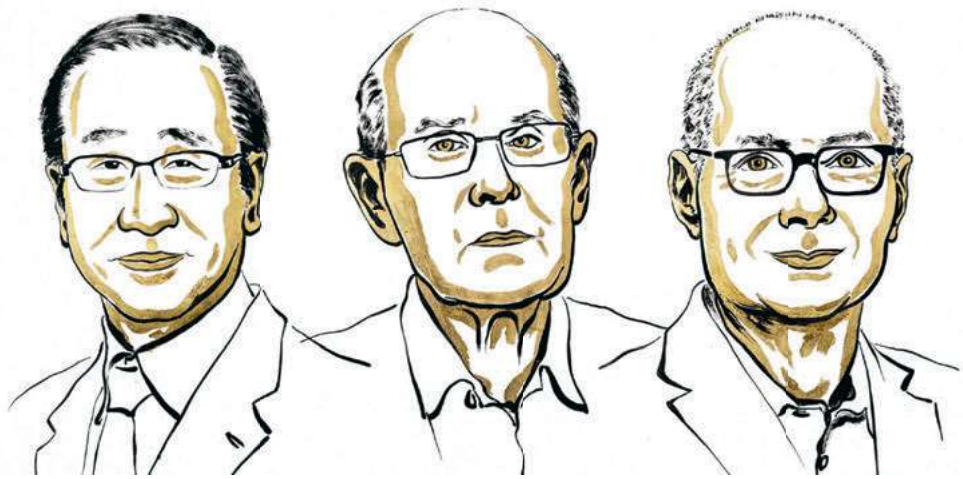

Laureaci Nagrody Nobla z chemii: Susumu Kitagawa, Richard Robson i Omar M. Yaghi

RYS. NIKLAS ELMEHED / NOBEL PRIZE

WSPÓLNY JĘZYK

Stałyśmy w tej niemej scenie naprzeciw siebie. Dziewczynka z tablicą „smutek", ja z płaczem. Gdybym miała nakręcić film egzystencjalny ze scen z mojego życia, ta byłaby jedną z ważniejszych.

ELIZA KĄCKA

MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

ANNA GOC: „Chciałabym wynaleźć nowy język" – napisałaś w książce „Wczoraj byłaś zła na zielono", za którą właśnie odebrałaś Nagrodę Literacką Nike i Nike Czytelników. Jaki byłby ten nowy język?

ELIZA KĄCKA: Taki, dzięki któremu moglibyśmy wyjęzyczyć stany emocjonalne, których doświadczyłyśmy. Wysłowić sytuacje, przez które przeszłyśmy i nie znajdowałyśmy dla nich języka. My, czyli ja i moja córka Ruda.

O tym jest chyba jedna ze scen z książki. Czekałaś na Rudą w przedszkolu, gdy podeszła dziewczynka z planszą.

Dziewczynka miała pięć lat i niektórzy rodzice mówili, że jest niezwykle inteligenta, bo bezbłędnie rozwiązuje zadania. I wycofana, a przez to uznawana za nieempatyczną.

Czekałam wtedy na Rudą i płakałam. Dziewczynka minęła mnie na korytarzu; byłam pewna, że mnie nie zauważyła. Jednak gdy nauczycielka wyszła na chwilę z sali, dziewczynka zdjęła ze ściany tablicę nawigacyjną, dzięki której dzieci w spektrum uczą się nazywać emocje – i podeszła do mnie.

Stałyśmy w tej niemej scenie naprzeciw siebie. Ona z tablicą „smutek", ja z płaczem.

Trudno o tej scenie przestać myśleć.

Dziewczynka, która nie potrafiła utrzymać kontaktu wzrokowego i niemal nie

mówiła, zareagowała na mój ból. Pokazała, że wie, co u mnie – i że jest w tym ze mną.

Gdybym miała nakręcić film egzystencjalny ze scen z mojego życia, ta byłaby jedną z ważniejszych. Bezsłowność tej sceny sprawiła, że była pięćset razy silniejsza.

Od każdego „przykro mi", którego się nauczyliśmy, „aportując język" – jak piszesz o zjawisku dostosowywania się do językowych norm.

Szukałam kilku języków, także literackiego. Ale nowy język, o który pytasz, był mi przede wszystkim potrzebny, by nawiązać relację z moim dzieckiem. Wyjść na spotkanie językowi Rudej. Dzisiaj wiem, że nam się udało, ale ten wspólny wypracowywałyśmy przez lata.

W pewnym momencie uświadomiłam sobie, że próbuję Rudą trenować w języku, który obowiązuje. Socjalizować komunikacyjnie. A może ona nie potrzebuje takiej komunikacji? A ja – zamiast szukać tej właściwej – rzucam kij: aport. I co, Ruda ma za nim biec? Za kijem-słowem? Za kijem-zachowaniem? Dla osób, które mają trudności z przystosowaniem społecznym, nie jest to łatwe.

Jeszcze jedna scena z Twojej książki: „Ty tak mnie nosisz. I tak nosiłaś brzuch" – powiedziała pewnego dnia o Waszej relacji.

Zaskoczyła mnie tym zdaniem. Słowo „nosisz" pojawiło się w związku z noszeniem jaja. Jestem dla Rudej „Pingwinem". Długo nie rozumiałam, dlaczego mnie tak nazywa, mogłam jedynie fantazjować, gdybać. Spekulacja najbardziej prawdopodobna naprowadzała na poduszkę, którą kiedyś jej kupiłam: poduszkę w kształcie pingwina w szlafmycy.

Najogólniej: jeśli żyjemy z kimś, kto nie udostępnia nam swoich światów i radykalnie mało mówi o tym, jak nas postrzega, to takie słowa, wypowiedziane nagle, mocniej działają. Moja córka najpewniej myśli obrazami, całostkami i wygląda na przekonaną, że wiem, o co jej chodzi. Że mi się to bezsłownie udostępnia.

Tym „nosisz mnie" Ruda opowiedziała więcej.

Jak to zrozumiałaś?

Okazało się, że jestem pingwinem z filmów przyrodniczych – i jak one, niezdarne na lądzie, kołyszące się na swoich płetwo-stopach, niosę jajo. Tak, żeby nie upuścić. Zatroskany pingwin.

Trudno oddać aurę tych słów, moc tego zdania. Wypowiedziała je tak dobitnie, jakby uświadomiła sobie, odczuła, jak ciężka to była robota.

Kiedy Ty się zorientowałaś, że będzie?

Ruda urodziła się przedwcześnie, z ciąży mocno obciążonej. Jakoś fatalistycznie obawiałam się czegoś mrocznego od początku, choć nie wiedziałam, co by to miało być. Przez pierwsze miesiące wszystko było z grubsza w porządku. Lekarze nic nie sygnalizowali.

Powoli docierały do mnie jednak niepokojące sygnały. Nie znałam się za bardzo na psychologii rozwojowej dzieci, podpowiadała mi to raczej intuicja, może i matczyna. Dziecko nie miało odruchów nawiązywania relacji, nie tworzyło więzi spontanicznie. Śmiała się, ale nie śmiechem do mamy. Nie zwracała się radością ku mnie.

Coraz częściej miałam wrażenie, że mam do czynienia z osobą przebywającą za niewidzialną ścianką niedostępności.

I to wzmagało czujność?

Gdy opiekujesz się dzieckiem, które inaczej odczytuje świat, jesteś ciągle czujna. Zagapisz się, myślisz, a zgniecie je społeczny autobus.

Dochodziły kolejne sygnały. Ruda wybierała tylko konkretne zabawki i zawsze postępowała z nimi tak samo. Innych nie była ciekawa. Jeśli bawiła się klockami, a ja próbowałam ułożyć je inaczej – co mogłoby być zaproszeniem do zabawy – denerwowała się. Gdy wychodziłyśmy na podwórko – zawsze skręcała w jednym kierunku. Wciąż nie miałyśmy werbalnej komunikacji, ale wyczuwałam, jakby moje dziecko było w polu magnetycznym, a gdy próbowałam je z niego wydobyć, czułam opór.

Wiedziałam, że muszę mieć zmysły otwarte na dziecko, które, nie mówiąc, wiele sygnalizuje gestem. Ruda często zwracała się do mnie ciałem, obracając się w charakterystyczny sposób. Chciała coś tym przekazać.

„Bijąc, mówisz".

Krzyk to nie agresja, lecz ekspresja bólu. Ludzie często tego nie wiedzą. Myślą, że drze się dziecko uparte, złośliwe, roszczeniowe. Że ma w tym cel lub nie chce powściągnąć złości. A dziecko w takich razach funkcjonuje jak pszczoła z trasą lotu od-do. Musi dolecieć, zrealizować zakodowaną ścieżkę. Trasę przymusową. Wszelkie przeszkody są dla niego formą psychicznego czy fizycznego cierpienia.

Ruda na nikogo się nie rzucała, ale była zrozpaczona. Krzyczała, bo przerwano jej rytuał, który musiała doprowadzić do końca. Gdy ktoś ją z tego wybijał, widomie cierpiała.

A po gestach, rytuałach i sztywnościach przyszedł kolejny sygnał – mowa.

„Tam" – notujesz pierwsze słowo Rudej.

Bardzo symboliczne. Nie było próbą nawiązania kontaktu, raczej piłką rzuconą w kosmos.

Język Rudej na początku zastępowały gesty i pozy ciała. Potem włączyła się mowa, ale „koślawa" i specyficzna. Odkształcała słowa, natrętnie je powtarzała, miała dziwną i skąpą składnię. A jednocześnie ma specyficznie plastyczny język. Swobodnie tworzy neologizmy, określenia na czyjś temperament czy osobowość. Tu ma wybitny talent. W oficjalną polszczyznę wdrażała się słabo. Jej język był dla większości mało komunikatywny.

Robiłaś zapiski z Waszego życia?

Notowałam co ciekawsze sformułowania Rudej.

Gdy pracowałam nad książką, znalazłam notatki z czasów poważniejszych kryzysów. Jak wtedy, gdy po traumie szpitalnej wycofała się na kilka miesięcy z życia. Psychiatra poprosił, żebym robiła notatki. Trwało to aż kilka miesięcy, lekki obłęd. A ściślej: ciężki.

Czasem, gdy było mi bardzo trudno znieść to, że nie mogę włamać się w stany emocjonalne mojego dziecka, wysyłałam do siebie maile, by doświadczyć jakiejkolwiek rozmowy.

W tym włamywaniu się nie chodzi o to, by wydobyć najintymniejsze informacje, tylko by zwyczajnie wiedzieć, jak się czuje. A Ruda nie usiądzie i nie wyłoży swoich stanów. Nawet teraz, gdy sprawnie się komunikuje, daje mi skąpy wgląd.

Gdy była radosna – świetnie, nie musiałam wiedzieć, dlaczego. Ale gdy widziałam, że jest rozdrażniona, smutna, więcej: zrozpaczona, chciałam się włamywać. ↦

↦ Kiedy się ze mną nie komunikowała, a widziałam, że się męczy, zdarzało mi się napisać do siebie, jakbym pisała do niej.

Kilka tygodni po tym, jak Ruda zaczęła chodzić, miałam już w głowie słowo na „a".

W książce nie dostajemy informacji o diagnozie. Odkrywamy ją, wspólnie z Tobą.

Brak informacji o diagnozie nie jest kwestią tabu czy wstydu, tylko poznawczą. Bardzo zależało mi na tym, żeby pisać tę książkę z nastawieniem fenomenologicznym: takiego przemywania oczu i patrzenia na świat, który się z opowieści *in extenso* wyłania. Podanie diagnozy na początku uniemożliwiłoby pisanie / czytanie w ten sposób. Do słowa „spektrum" każdy dostawiłby swoje wyobrażenia, a pod nie podciągnął Rudą. A ja chciałam, żeby Ruda była jak autonomiczny *case*, niesformatowany przez diagnozę. Pozostawała zjawiskiem.

Nie cytuję w książce filozofów, ale miałam w głowie Marcela i jego myślenie kategorią tajemnicy. W niej się jest, ale nie można jej przejąć. Nie jest zagadką, którą możesz rozwiązać, tylko czymś, w czym partycypujesz. Myślałam filozofią dialogu: także w sensie praktyczno-życiowym. Nie tylko po to, żeby dodać sobie krzepy, lecz także by choć spróbować zrozumieć tę tajemnicę, którą „przerabiałam" jako rodzic.

Być może dlatego odnalazło się w niej tylu rodziców, nie tylko dzieci w spektrum.

Niektórzy rodzice wyznawali, że moja książka była dla nich formą małego *katharsis*. Nie oczyści się wszystkiego, to jasne, ale oto pojawia się szansa spotkania z innym, który ma i doświadcza podobnie.

Pisałam tę książkę jako eksperyment poznawczy: próbuję rzeźbić w języku tak, by ludzie za każdym razem zanurzali się w konkretnej sytuacji, w danym stanie. Żeby mogli zobaczyć obłędność naszego świata (wiem, ciężkie doświadczenie dla błędnika). I w tym też sensie moja książka ma nastawienie fenomenologiczne. Nie mówię gotowymi formułami, lecz próbuję odtworzyć wrażenie, które sama miałam – świata, który się wyłania, ciągle niegotowy.

I prowadzisz przez ten świat.

Wybrałam pierwszoosobową narrację, bo chciałam być jak drepcąca za dzieckiem kamera. Dać czytelnikom wgląd w moją perspektywę.

Zastanawiałam się, na jakim oddechu pisać. Czy intensywnie, jak zaczęłam? Stwierdziłam, że tylko tak uda mi się pociągnąć za sobą ludzi. Język książki musi czasem budzić opór, nie może być gładki, ponieważ rzeczywistość krążenia za Rudą też jest wybitnie wyboista.

Piszę zatem w silnie emocjonalnym nastawieniu. Ono jest nieuchronne, bo dotykam wielu punktów bolesnych, zapalnych w sobie i własnej rzeczywistości. Wiem, że zaskakująco wielu czytelników dobrze to przyswoiło. Ale pojawiły się też komentarze, że porywam się na metafory, a dziecko – chore.

To znaczy?

Niektórzy biorą literackość za gest nieskromności. Że niby uważam, że mogę sobie używać literatury, gdy piszę o chorobie mojego dziecka.

Matka ma obowiązek pisać prosto. Niech matka się nie wychyla.

Nie godzę się z tym, że podjęcie trudnych tematów, zwłaszcza macierzyńsko-córczynych, owocować ma językiem do granic transparentnym, nienacechowanym literacko. Że powinnam o naszym świecie opowiadać językiem prostej konfesji, możliwie nieartystycznym. Bo nie można mieć nowych patentów formalnych.

A niby dlaczego taka tematyka ma zostać ograbiona z formy? Może chodzi o to, że po prostu nie zasłużyłyśmy na tę formę, co? Ja i dziewczyna w spektrum?

Niesamowite jest to lustro społeczne.

W książce są dwie opowieści o Rudej – Twoja i babci Rudej. Wyjaśniacie, każda nieco inaczej, co u Rudej, ale i jej – co dookoła. Opowieści ochronne, właśnie przed lustrem społecznym?

Próbowałyśmy – ja i moja mama – stworzyć dla Rudej parasol ochronny, również ze słów. Nie tylko poprzez tłumaczenie jej zachowań innym, którzy ich nie rozumieli. I to były dla mnie ochronne opowieści – najpierw w skali rodzinnej, potem małego miasta, w którym mieszkałyśmy. Trudne to było, bo zachowania Rudej były niekonwencjonalne.

Musiałam się dużo nagadać: tak w swoim, jak w jej imieniu.

W języku mojej matki, także w moim, chociaż to są dwa różne indywidualne języki, widać tę wzmożoną czujność. Raz, gdy wyjaśniałyśmy, co Ruda robi, dwa, gdy próbowałyśmy mówić do niej. Szukałyśmy języka, który uspokoi, a jednocześnie nie zablokuje.

Jest jeszcze jedna relacja – Rudej i jej dziadka.

Gdy byłam dzieckiem, nie miałam tak dobrego kontaktu z moim ojcem, jaki ma z nim Ruda. Może dlatego, że byłam gadułą – i musiałam tatę tym gadaniem odstraszać. Kochał mnie zawsze, wiem, ale z rezerwą i niewiele mówił.

Z Rudą pasują do siebie znacznie bardziej. Zareagował na nią fantastycznie. Na pewno był w tym element współczucia – dla mnie, dla niej. Dużo z Rudą spacerował, nosił ją na rękach, podrzucał, tańczył z nią. Nawiązał z nią znacznie bardziej organiczny kontakt niż ze mną. Do dziś mają ze sobą mocną relację. Ruda uprzywilejowała dziadka.

Gdy działo się coś złego, ojciec uciekał w las – od ludzi ku zwierzętom. Bardzo kocha zwierzęta, chociaż już ich nie leczy, sam ma problemy ze zdrowiem.

Ruda – jak piszesz – też lubi las.

Oboje fantastycznie przylegają do natury. Gdy Ruda była mała, pobyty w lesie ją uspokajały. Wchodziła w terapeutyczny rytm lasu. Być może właśnie dlatego lis stał się jej zwierzęciem opiekuńczym, totemem.

W książce wracasz też do swojego dzieciństwa. Okazuje się, że miałyście z córką podobne momenty, podobne zachowania.

Nie miałam takich obciążeń jak Ruda, ale też byłam nadwrażliwym dzieckiem. Wyśmiewanym w przedszkolu, bo miałam dwie lewe ręce i lewe nogi. I nie byłam w stanie poradzić sobie z wieloma rzeczami. Też mnie mieli za kosmitkę.

Tak to pamiętasz?

Nie potrafiłam nikomu odpysknąć, byłam nieśmiała i wycofana, więc dostawałam od rówieśników, mocno. Tym bardziej że byłam tą, do której – co nie było moim wyborem, tylko aurą raczej – kleili się ci źle traktowani przez rówieśni-

ków. Wyśmiewani z różnych powodów: a to grubości, a to nerwicy, a to dziwności. Na przykład kolega, który był regularnie bity z racji swojego nerwicowego rozdygotania. Jeszcze mu dokładano.

Był moją parą na spacerach. I wtedy to już śmiano się z naszej dwójki.

Możliwe, że dzisiaj miałabym diagnozę spektrum. Tyle że ja dysponowałam językiem, był moją tarczą. Choć dostawałam po głowie za to, że używałam trudnych słów. Ha, ha, gadałam dość literacką polszczyzną, którą miałam za neutralną. To nie był popis, bo nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Czytałaś dużo?

Bez przesady. Choć był taki czas, kiedy obsesyjnie – i to by się nadawało świetnie do diagnozy – pochłaniałam atlasy zwierząt ze szczegółami. Znałam je na pamięć, ale rytualnie odtwarzałam ścieżki: psy, konie, koty, ptaki, ryby. I więcej.

Nasz świat jest bardzo logocentryczny, z języka ciągle się musimy wylegitymowywać. Nie miałam z tym problemów, więc nie wiedziałam, że to może być aż tak istotne. Dopiero sytuacja Rudej mi to uzmysłowiła.

Nawet wśród rodziców dzieci w spektrum jest mały wyścig – kto sobie lepiej radzi.

Co znaczy lepiej?

Krótko mówiąc: lepiej mieć zaburzone zachowania, niż mieć zaburzony intelekt i mowę. Taki ranking.

Myśmy miewały te „gorsze" problemy autystyczne. Te bardziej upokarzające. Co człowieka buntuje, ale też obezwładnia, a najczęściej sprawia, że chce się po prostu wyć.

Jest to też książka o bólu.

Córka doświadczyła nieakceptacji w klasie integracyjnej. W rozpaczy powiedziała mi, że to jest moja wina, bo ją urodziłam. Raz zgłosiła pretensję, że żyje, bo ma autyzm. A przecież generalnie afirmuje życie.

Zależało mi na tym, żeby tego niewykrzyczanego krzyku nie unikać w książce. Nie chciałam opowiadać tylko o urokach poznawania innego świata i o nieoczywistej więzi, którą się zdobywa latami. Silnej i trudnej.

I jest to też o byciu matką. Matką w sytuacji formatowania społecznego tej roli. Matką pilotującą dziecko, które zachowuje się niestandardowo. Ale też matką, która często się nie zgadza na siebie.

> Nie godzę się z tym, że podjęcie trudnych tematów owocować ma językiem do granic transparentnym. Że powinnam o naszym świecie opowiadać językiem prostej konfesji.
>
> **Dlaczego taka tematyka ma zostać ograbiona z formy?**

W jaki sposób?

Mój bunt, ale też ból, był wielopiętrowy. Nie do końca zgadzałam się na siebie w roli matki, miałam lęki i wątpliwości. Nie była to rola chciana. Zdecydowałam się jednak na nią. A potem dowiedziałam się, że mam do czynienia z kazusem, który nie będzie łatwy.

W książce nie daję wglądu w to, ile czasu musiało minąć, żeby uaktywniła się we mnie swego rodzaju przekora. W skrócie można ją opowiedzieć tak: dobra, jesteś i zawsze byłaś dziwna, no to może temu dziecku, które – wszystko wskazuje na to – też będzie dziwne, nieprzypadkowo trafiasz się ty. I albo to jest zwiastun katastrofy, bo mamy dziwne razy dwa. Albo coś z tego będzie.

Zaczęłam sobie to redagować w głowie jako sytuację człowieka wobec człowieka, odmieńca wobec odmieńca. I wtedy zrozumiałam, że muszę zawiesić to i zacząć sobie własne życie na nowo opowiadać.

Opowiesz?

Zanim napisałam książkę, ustawiłam siebie na scenie swojego życia i mówiłam sobie tak: już nie jesteś ta, co dawniej, ponieważ teraz – jako człowiek wobec człowieka – masz konkretne zadanie. Jesteście razem, ale przy zachowaniu autonomii twojej córki.

Języka tej historii szukałaś już we wcześniejszej książce, „Elizjach".

W „Elizjach" zmieściłam dużo z własnego egzystencjalnego doświadczenia. Istotna jest już ich eksperymentalna forma – filozoficznych bajek, których nigdy nie mogłam czytać własnemu dziecku. Mały traktat o tym, że jest się królewną, która funkcjonuje zupełnie inaczej niż reszta królestwa. Królewną, która, owszem, umie dobrze wypaść, ale z balkonu.

W tym moim opisywaniu królewny zmieściło się dużo smutku, ale też buntu wobec norm społecznych. Oczekuje się od niej, że będzie chciała władzy, a królewna wcale nie chce. No, bierzcie sobie – mówi i odpuszcza.

Nie nazwałabym tego autoterapią. Bardziej redakcją myślenia o sobie i swojej sytuacji, która ostatecznie uwolniła we mnie też ducha walki.

Z czym?

Ruda, która ma dystans do siebie – jako osoba wymykająca się normom – dąży jednocześnie do tego, żeby być w normie, z tym się mierzy.

Ja – dla równowagi – zaczęłam wymykać się normom. Nie agresywnie, na zasadzie manifestu, tylko małych sygnałów niechęci do formatek. Nie boję się być śmieszna, nie boję się mieć dziwnego poczucia humoru, nie boję się być Elizą krążącą po mieście z torbą na kółkach, nie boję się pisać małą literą „e". A jeśli chcecie pisać wielką literą, piszcie. Ja jestem mała, ale jeszcze zobaczycie!

Napisanie tej książki dało mi poczucie wyzwolenia. Nie mówię o swoich emocjach, ale o stanie umysłu – opisałam coś, co wcześniej dla siebie samej nazywałam manifestem innego świata.

Jaki on jest?

Ludzie, którzy kiedyś spotykali Rudą, widzieli w niej często przypadek społecznej niepełnosprawności. Dostrzegali nieprzystosowanie do świata. A ponieważ spędziłyśmy razem już dwadzieścia lat, widziałam ją społecznie i intymnie, to mój ogląd tej osoby jest inny.

Jej świat jest znacznie bogatszy, niż się przeciętnie zdaje. Jej wyobraźnia jest znacznie bogatsza, niż się wydaje. I nawet jeśli Ruda nie komunikuje się swobodną polszczyzną (choć zrobiła wielkie postępy), nawet jeśli nie udostępnia nam zbyt wielu informacji na swój temat i wglądów w siebie, to równocześnie ma swoje krainy. Choćby Moroufków – o czym piszę. To od nich dostała imię. Nie wiem, czy to lud, ale jeśli, to na pewno ma temperament opiekuńczy.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

Kto stawia kropki

KINGA PIOTROWIAK-JUNKIERT

NOBLISTA | Podczas jednego z publicznych odczytów swojej prozy usłyszał błędy rytmiczne i postanowił poprawić tekst. To „poprawianie" – jak twierdzi – trwa do dzisiaj i nigdy się nie skończy.

Kilka dni temu na facebookowej stronie pisarza pojawiła się krótka wiadomość, w której László Krasznahorkai wyraził „wdzięczność Nieuniknionemu Przypadkowi za to, że [Nagroda Nobla] sprawiła radość tak wielu osobom". Bez wątpienia kategoria przypadku i losu jest kluczem do jego twórczości. Kilka lat temu, w wywiadzie udzielonym Louisiana Channel, Krasznahorkai oznajmił, że nigdy nie chciał zostać pisarzem, a jego pierwsza powieść, „Szatańskie tango", zrodziła się z naglącej potrzeby nazwania wewnętrznych stanów i rozpadu świata, w którym żył jako dorastający przedstawiciel inteligencji w przygranicznym mieście Gyula. „Słyszałem w głowie muzyczny motyw i chciałem znaleźć dla niego formę wyrazu" – mówił. Zanim powstała pierwsza powieść, autor dokonał życiowej rewolucji, opuścił rodzinny dom, zerwał kontakty z bliskimi i rozpoczął swoje „lata wędrówki i nauki".

UCIECZKA | Jak każdy student w czasach polityki Jánosa Kádára, musiał odbyć rok służby wojskowej. To doświadczenie go złamało, więc kiedy pojawiły się problemy z ukończeniem studiów prawniczych, a przerwanie edukacji skutkowało dodatkowym rokiem w jednostce, Krasznahorkai postanowił przechytrzyć system i wykorzystać opieszałość wojskowej biurokracji. W tym celu regularnie zmieniał miejsce zamieszkania, przenosząc do kolejnych komitatów (węgierskich odpowiedników województwa). Pracował jako górnik, dyrektor prowincjonalnych domów kultury, nauczyciel, a nawet nocny stróż w oborze. Opieka nad prawie 400 krowami i przebywanie w towarzystwie zwierząt było, jak wspominał, „cudownym doświadczeniem pokoju".

W tymczasowych mieszkaniach, na stacjach kolejowych i w pociągach, między jednym rozdziałem życia a drugim, rodziło się „Szatańskie tango". Najpierw w głowie pisarza, a później w formie gęstej, wielogłosowej narracji, która zachwyciła Pétera Esterházyego. Prozaik pomógł koledze w opublikowaniu debiutu, ale Krasznahorkai nie zamierzał pisać kolejnych książek, pierwsza miała być tylko próbą „zapisu" świata. Podczas jednego z publicznych odczytów fragmentów swojej prozy usłyszał jednak błędy rytmiczne i postanowił poprawić powieść. To „poprawianie" – jak twierdzi – trwa do dzisiaj i nigdy się nie skończy.

ŹRÓDŁO | Kolejna książka, „Melancholia sprzeciwu", miała większy rozmach, ciekawie zaplanowaną dynamikę narracji i bardziej złożone psychologicznie postaci, ale – podobnie jak debiut – była osadzona w dobrze znanej pisarzowi przestrzeni rodzinnych stron. Uważni czytelnicy, z małą pomocą aplikacji albo map, zauważą, że większość wsi i osad z powieści znajduje się niedaleko Gyuli. Ta strategia wydaje się jasna, są to tereny, które Krasznahorkai zna najlepiej i swobodnie się w nich porusza, ale można w tym dostrzec coś więcej. Mimo deklaracji młodzieńczego buntu, który kazał pisarzowi opuścić wszystko, co oswojone i bezpieczne, mimo przejechania kraju wzdłuż i wszerz, by znaleźć kolejną dorywczą pracę, podczas tworzenia zawsze wracał do źródła.

Krasznahorkai wyznał kiedyś, że już w dzieciństwie otaczali go wyjątkowi ludzie – niespokojne duchy, dziwacy i natchnieni domorośli poeci. Dokładnie tacy jak Futaki z „Szatańskiego tanga" czy Valuska z „Melancholii sprzeciwu". Być może trzeba było dotrzeć na kraniec świata, żeby zrozumieć, że wszystko, co stało się znakiem rozpoznawczym twórczości węgierskiego pisarza, towarzyszyło mu od najwcześniejszych lat.

KLUCZ | Podobnie jest z językiem powieści, znakiem rozpoznawczym jego stylu. Zdania-molochy, tasiemcowate struktury, hipnotyzująca gadatliwość, bogactwo słownictwa, tysiące dygresji i retardacji nie należą do świata, który Krasznahorkai opisuje, żaden z jego bohaterów nie posługuje się taką węgierszczyzną. To jest umiejętność tego, kto na nich patrzy, wykształconego wirtuoza, kogoś, kto nie może wyprzeć się inteligenckich korzeni i pochodzenia. Pisanie o rozpadzie świata, o nędzy ludzi niemających szansy na ucieczkę i ponoszących klęskę za klęską, jest pod tym względem rodzajem socjologicznego eksperymentu, bo Krasznahorkai trafił do świata ubóstwa i braku nadziei z wyboru, jako przybysz.

Nie bez powodu pojawia się tutaj klucz autobiograficzny. Powieści węgierskiego pisarza traktowane są jako metafory Węgier i prowincji, wskazuje się je w każdym podsumowaniu literackim dotyczącym naddunajskiej literatury przełomu XX i XXI w. jako dokonania przełomowe, porównywalne z wyimaginowanym światem Sinistry z cyklu powieściowego Ádáma Bodora. Dla wielu czytelników konsekwencja, z jaką Krasznahorkai obrazował trudne życie ludzi z głębokiej prowincji, była jednoznaczna z deklaracją lojalności i zrozumienia dla jej potrzeb.

Tymczasem autor „Szatańskiego tanga" w wywiadzie dla dziennika „Svenska Dagbladet", przeprowadzonym przy okazji odbierania szwedzkiej nagrody za powieść „Herscht 07769", tak scharakteryzował sytuację w kraju: „Demokracja jest bardzo krucha. Uzbrojone w prawa niewykształcone masy i tak wielu dupków. W zatłoczonym wagonie kolejowym wystarczy jeden neonazista, tylko jeden". Węgierscy komentatorzy nie kryli zdziwienia, że pisarz tak surowo i bezwzględnie ocenia obywateli i nie rozróżnia popierających rząd od tych, którzy nie utożsamiają się z polityką władzy.

Krasznohorkai nie jest pierwszym Węgrem, który wyraził gorzki osąd na temat sytuacji w kraju. Rozgoryczenie rzadko daje impuls do działania, chociaż nie ma wątpliwości, że bunt jest jednym z najcenniejszych gestów, na jakie może zdobyć się człowiek. Dodajmy, że krytyczne

COLIN MCPHERSON / GETTY IMAGES

LÁSZLÓ KRASZNAHORKAI
(ur. 1954) to pierwszy pisarz środkowoeuropejski nagrodzony Bookerem i drugi, po Imre Kertészu, węgierski laureat Literackiej Nagrody Nobla. Dla badaczy naddunajskiej prozy jeden z najważniejszych przedstawicieli „złotej ery węgierskiej powieści" lat 80., tuż obok dobrze znanych polskiemu czytelnikowi Pétera Nádasa, Pétera Esterházyego czy Imre Kertésza. Jego powieści „Szatańskie tango" (1985) i „Melancholia sprzeciwu" (1989) stały się metaforami kondycji kraju w dobie burzliwej transformacji ustrojowej i tuż po niej. Trudno dzisiaj mówić o literaturze środkowoeuropejskiej bez wymownych obrazów pustki, kryzysu i ledwie tlącej się nadziei z parabolicznych powieści tegorocznego noblisty.

uwagi pisarz kierował nie tylko do swoich rodaków, ale pod adresem większości dyktatur, bo od początku swojej drogi artystycznej wyrażał sprzeciw wobec niesprawiedliwego traktowania ludzi.

GŁOS | Czy ta postawa ma wpływ na recepcję jego twórczości w kraju? Na Węgrzech, podobnie jak w Polsce, czytelnicy wymagającej literatury wciąż należą do wąskiego grona specjalistów związanych przede wszystkim ze środowiskiem literackim i akademią. Krasznahorkai jest jednym z najważniejszych i najbardziej uznanych pisarzy węgierskich, więc próbuje wykorzystać swoją międzynarodową pozycję do skutecznego wywierania nacisku na polityków, chociaż ryzykuje, że zainteresowanie jego książkami będzie mniejsze. Zwłaszcza wśród odbiorców opierających swoje zdanie na złośliwych komentarzach internetowych, których po środowym werdykcie przybywa. Najczęściej przypominana jest niefortunna uwaga pisarza, który stwierdził, że „nie czuje się dumy z bycia Węgrem", bo miejsce urodzenia jest dziełem przypadku, podobnie jak język, którego używamy.

Surowość autora ma swoje źródło w lęku o znikający z mapy naród, który nie uchronił swojego dziedzictwa przed nieuchronną dziejową klęską. Ten temat powraca w wypowiedziach i książkach Krasznahorkaiego, jak choćby w powieści „Wojna i wojna", w której główny bohater, György Korim – noszący to samo imię i nazwisko co dziadek pisarza, stwierdza: „Węgrzy? (...) nie ma Węgrów, *Hungarian no exist*, już wymarli, *they died out*, zaczęło się to jakieś sto, sto pięćdziesiąt lat temu, w niewiarygodny sposób, niepostrzeżenie (...) na miejscu Węgrów są już tylko Węgry, *Hungary yes, Hungarian not*" (przeł. E. Sobolewska).

WSKAZÓWKA | Szwedzka Akademia wierzy, jak oświadczyła, w „wizjonerskie dzieło, które w obliczu apokaliptycznego terroru potwierdza siłę sztuki", być może nawet bardziej niż jej twórca. Krasznahorkai, zapytany o to, kim jest czytelnik jego dzieł, odpowiedział, że „jest nim każdy, kto rozpoznaje w powieściowych obrazach samego siebie, kto wie, że to historia o nim samym". „Nie czekamy na apokalipsę – dodaje pisarz – bo już jesteśmy w apokalipsie". Autor miał na myśli nie tylko kwestie polityczne, ale także filozofię życia, które musi minąć.

W niespokojnym dla naszego regionu czasie te słowa brzmią niezwykle aktualnie, zwłaszcza że – jak komentują węgierscy krytycy – decyzje Akademii często wskazują główne źródło duchowego niepokoju na świecie. Nagrody przestały być tylko wyróżnieniem dla artystycznego kunsztu, a stają się wskazówkami sięgającymi dalej niż literatura. „Im bardziej upośledzone jest życie polityczne, im bardziej prymitywne, tym potężniejsze są korpusy tekstów, które się im przeciwstawiają. Im bardziej zawiłe zdanie, tym mocniej destylowane pojęcia" – pisała Boróka Parászka. A obowiązkiem, „naturą i celem Nagrody Nobla jest demaskowanie tego, co fałszywe, wskazywanie narodowych obsesji i wspieranych przez system socjopatii".

Wiele poprzednich literackich Nagród Nobla miało wydźwięk polityczny i było gestem wsparcia dla artystów poszukujących sprawiedliwości i rozliczenia zaległych win. Pisarstwo Krasznahorkaiego stawia pytania od czasu, kiedy na Węgrzech panował komunizm. Już wtedy autor widział swój kraj jako miejsce opuszczone i zaniedbane. Trudno zarzucać noblistce złośliwość, skoro jego wizja rzeczywistości w istocie się nie zmieniła.

Do powieściowego uniwersum dołączyły inne miejsca globu i w każdym z nich bohaterowie, nawet ponosząc klęskę, są przez Krasznahorkaiego muśnięci metafizyką. Czy to zwykłe pocieszenie, czy głęboka wiara, że powrót do budzącego nadzieję świata jest jeszcze możliwy? Krasznahorkai mówi tak: „Każdy człowiek ma do wypowiedzenia tylko jedno zdanie. Ja swojego wciąż poszukuję i nie wiem, czy je znajdę, ale szukam. To Bóg stawia kropkę". ©

HAWA / MATERIAŁY PRASOWE X2

Scena ze spektaklu „Protest kielecki. Do kogo należą Kielce?", reż. Jakub Skrzywanek. Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach

Zbrodnie po sąsiedzku

DARIUSZ KOSIŃSKI

TEATR | Dwa pytania: „do kogo należy miasto" i „do kogo należy teatr" spotkały się w centrum Kielc i splotły w niepokojący węzeł.

Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach już od kilku sezonów wymieniany jest w gronie najważniejszych scen w kraju. Zwracano na niego uwagę wcześniej, a stabilizacja wysokiej formy wiązała się z dyrekcją Michała Kotańskiego, który od roku 2015 kierował instytucją, z powodzeniem przeprowadzając ją przez bardzo trudny proces generalnej przebudowy i modernizacji.

Gdy udało się go wreszcie zakończyć i wydawało się, że przed teatrem już tylko dalszy twórczy wzrost, nastąpiło niespodziewane zamieszanie, które trwa i staje się coraz groźniejsze. Zespół wprawdzie uspokaja, rozpoczynając sezon pod przewrotnym hasłem „Spokojnie, to tylko awaria", ale na horyzoncie nie widać znaków pozwalających na to, by rzeczywiście poczuć się uspokojonym.

Taniec

Od kilku miesięcy wiadomo było, że koniec sezonu 2024/2025 to także koniec kieleckiej dyrekcji Michała Kotańskiego, który od stycznia 2024 r. objął kierownictwo Teatru Telewizji Polskiej i wraz ze swoim zastępcą, Wojciechem Majcherkiem, błyskawicznie wyprowadził telewizyjną scenę z martwoty, przywracając jej znaczenie, jakość i oglądalność. Z odpowiednim wyprzedzeniem Urząd Marszałkowski Województwa Świętokrzyskiego, który współprowadzi Teatr im. Żeromskiego z Ministerstwem Kultury, ogłosił konkurs na stanowisko dyrektora, zapraszając do jury odpowiednie grono zacnych osób, przedstawicieli zespołu, związków itd.

W dniu 17 kwietnia ogłoszono, że konkurs wygrał Jacek Jabrzyk, reżyser, od roku 2018 dyrektor artystyczny Teatru Zagłębia w Sosnowcu. Usłyszawszy o tym rozstrzygnięciu, pomyślałem, że to bardzo dobry wybór, bo Jabrzyk ma dobrą artystyczną passę, a zarazem jest człowiekiem o sporym doświadczeniu w specyficznej pracy w teatrze pozametropolitalnym. Krótko mówiąc, byłem przekonany, że Kielcom Jabrzyk zrobi jak najlepiej, a i jemu zmiana Zagłębia na Świętokrzyskie nie zaszkodzi.

Niestety zaraz potem zaczął się urzędniczy taniec, który z odległości wyglądał początkowo absurdalnie, stopniowo odsłaniając typowo polski splot osobistych ambicji, politycznych gier i piaskownicowych walk o nową łopatkę. Pod wydumanym pretekstem rzekomego naruszenia praw autorskich kontrkandydatów, Urząd Marszałkowski odmówił powołania Jacka Jabrzyka na dyrektora, a następ-

nie rozpisał kolejny konkurs. Ten z kolei nie tylko został szybko unieważniony przez wicewojewodę świętokrzyskiego, ale też zlekceważony przez osoby potencjalnie zainteresowane – nikt się na niego nie zgłosił.

Za Jabrzykiem opowiedzieli się więc ponownie jurorzy, którzy na niego głosowali, jego powołania domagało się i domaga ministerstwo, a kandydaturę tę poparły liczące się organizacje środowiskowe. Najważniejsze zaś, że w specjalnym oświadczeniu opowiedzieli się za nim pracownicy teatru.

Przysiad

Kolejny akt afery zaczął się 13 czerwca, gdy w kieleckim programie TVP 3 Michał Kotański ujawnił naciski, jakie miano na niego wywierać w sprawie wyboru następcy. Odchodzący dyrektor stwierdził, że rządzące województwem marszałek Renata Janik i szefowa PiS w Świętokrzyskiem Anna Krupka jeszcze przed decyzją jury postanowiły, że konkurs ma wygrać Leszek Zduń, aktor ostatnio związany z Teatrem Klasyki Polskiej, który w konkursie otrzymał jeden głos mniej od Jabrzyka. Oczywiście władze tym rewelacjom zaprzeczyły, ale cała sprawa stała się przedmiotem prokuratorskiego dochodzenia. Zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa w związku z brakiem realizacji wyników rozstrzygniętego konkursu złożył też przeciwko urzędowi marszałkowskiemu poseł Rafał Kasprzyk z Polski 2050. Wszystko to jedynie zaogniło sytuację i oddaliło możliwość jakiegokolwiek kompromisu.

W tej sytuacji szans powodzenia nie miała podjęta też przez marszałek Janik próba podsunięcia ministerstwu alternatywnego i tymczasowego rozwiązania. Miało nim być powołanie na stanowisko dyrektora na sezon 2025/2026 reżyserki Anny Wieczur-Bluszcz, która wyraziła na to zgodę, pod warunkiem akceptacji jej kandydatury przez ministerstwo. Warunek nie został spełniony i pomysł upadł. Urząd zapowiadał, że w takim przypadku będzie zgłaszał kolejne kandydatury, ale jak dotąd o żadnej innej nie słychać.

Sytuacja jest patowa – obie strony okopały się na swoich stanowiskach i nie zamierzają ustąpić. Marszałek Janik oskarża ministerstwo o protekcjonalizm, wykorzystując i zarazem wystawiając słabość władzy centralnej, zgodnie z prowadzoną przez opozycję polityką kwestionowania skuteczności rządu, gdzie się tylko da. Teatr nie ma dyrektora, jego pracami kieruje od lipca wskazana przez Kotańskiego pełnomocniczka Luiza Buras-Sokół.

Sezon zaczął się już w sierpniu przypomnieniem przedstawień przedwakacyjnych, zapowiadane są kolejne premiery, wkrótce zacznie się międzynarodowy festiwal. Niby wszystko jest normalnie, ale okna teatru od ulicy Sienkiewicza zaklejają plakaty z retorycznie gniewnym pytaniem „Do kogo należy teatr?", na które zespół odpowiada w swoim oświadczeniu jednoznacznie „Teatr jest nasz!".

Przekręt

Pytanie odnoszące się do zamieszania wokół konkursu na dyrektora współbrzmi z innym, stawianym w podtytule przedstawienia, które miało swoją premierę 30 maja 2025 r., a więc pomiędzy kolejnymi kumulacjami teatralnej afery. „Protest kielecki. Do kogo należą Kielce?" to spektakl wyreżyserowany przez Jakuba Skrzywanka na podstawie scenariusza stworzonego przez niego i Julię Nowak. Stanowi on podróż pod prąd czasów i zarazem w głąb historii przejęć cudzej własności: od współczesnego flippingu, przez machlojki wykorzystujących luki w przepisach urzędniczek okresu transformacji, po powojenne przejmowanie prawem kaduka nieruchomości po Żydach. Wszystko z podaniem konkretnych danych, adresów, imion i nazwisk, ze wskazaniem znanych kieleckim widzom działek i kamienic. A także z wykorzystaniem różnych konwencji i miejsc teatralnych.

Przedstawienie rozpoczyna się na Scenie Kameralnej od prowadzonego przez parę specjalistów (Kuba Golla i Dagna Dywicka) ironicznego szkolenia z flippingu, które stopniowo przeradza się w akt brutalnej destrukcji przestrzeni mieszkania urządzonego na scenie. Żelazna konsekwencja i logika przedstawianych instrukcji pozwala uświadomić sobie, że czyszczenie kamienic to nie jest żadna patologia, ale precyzyjnie realizowany proceder realnie dziejący się wokół nas od lat.

W zakończeniu pierwszej części przedstawienia widzowie zostają obsadzeni w rolach osób wysiedlonych z przejętej kamienicy i wyprowadzeni z sali, by dowiedzieć się, jaki będzie ich dalszy los. Paradoksalnie, los jest nie dalszy, lecz wcześniejszy, bo wychodząc do *foyer*, a potem na wyższe piętro – do sali prób, przenosimy się w czasie do przełomu lat 80. i 90. XX wieku.

Zasiadając przy długich stołach w zrekonstruowanej z przewrotnym humorem przestrzeni postpeerelowskiego posiedzenia (są nawet słone paluszki w szklankach), poznajemy historię przekrętu, który pozwolił córce i wnuczkom miejskiej urzędniczki (Beata Wojciechowska) przejąć tanim kosztem atrakcyjną kamienicę w centrum miasta, w sąsiedztwie teatru. Zespół aktorski znakomicie balansuje tu na znanej z innych przedstawień Skrzywanka cieniutkiej linii między rekonstrukcją a obnażeniem sytuacji teatralnej, sprawiając jednocześnie, że tematem przedstawienia na równi z opowiadaną historią stają się reakcje publiczności.

Kuba Golla w spektaklu „Protest kielecki. Do kogo należą Kielce?"

Obrót

Kolejne warstwy prowadzonego w ten sposób dochodzenia prowadzą do „potencjalnego wątku żydowskiego". Aktorzy nie mają ochoty na jego poruszanie, ale Dawid Żłobiński, który teczkę z takim napisem wyciągnął ze stosu akt, nie ustępuje. Przypomina głos ofiary pogromu kieleckiego, a następnie czyta antysemicką enuncjację prasową z roku 1938 zatytułowaną „Do kogo należą Kielce?". Odpowiedź jest jasna: „do Żydów". W powietrzu zawisa ciężkie pytanie: co stało się z należącymi do nich nieruchomościami po wojnie.

↦

↦ Niespodziewanie wybucha wiejski śpiew weselny. Do sali wpada para w ludowych strojach, by powieść nas z powrotem na Kameralną, zamienioną w międzyczasie w izbę weselną. Przypomina się finał Skrzywankowego „Spartakusa", gdzie przywołanie ludowego rytuału weselnego stanowiło radykalny gest zerwania z depresją i niemożnością. Gdy Panna Młoda (Klaudia Janas) toczy po stole bochen chleba przywołując dawny obrzędowy akt, wydaje się, że czeka nas coś właśnie takiego. Ale w drzwiach izby weselnej pojawia się w potarganym pasiaku Szlojm Himelfarb (Dawid Żłobiński) – właściciel domu i ziemi, którą przejęli nowi właściciele, przekonani, że zginął. Atmosfera gęstnieje.

Pozornie gościnne gesty – podawanie chleba, nalewanie wódki – stają się złowróżbne. Panna Młoda wyprowadza Szlojma na poły nieświadoma, że czekają już na niego przekupieni przez jej ojca (Łukasz Pruchniewicz) milicjanci. Odgłos wystrzału i nagły płacz Młodej szybko zagłusza wybuchająca ponownie muzyka. Nad zamkniętymi już teraz drzwiami weselnej chaty pojawiają się napisy informujące, że to, co właśnie widzieliśmy, jest rekonstrukcją rzeczywistych wypadków i że mordercy Himelfarba przekonani o swojej bezkarności nawet nie ukryli zwłok. „A teraz..." Słowa zawieszają się w niepewności, a po chwili eksplodują brutalnym „WYNOCHA!".

Z boku sceny otwiera się przesuwana ściana wiodąca na dziedziniec. Wesele trwa. Publiczność nie wie, co robić. Wstaję chyba jako pierwszy i w tym samym momencie któraś z aktorek woła „Wynocha! To nasze wesele!". Widzowie czują, że powinni zaklaskać, bo przecież w teatrze się klaszcze, jak skończą, nie? Tyle że to niestety nie jest koniec. Nie dlatego, że na dziedzińcu jeszcze czeka nas gniewny antypomnik, na którym zastrzelony Szlojm leży na cokole z tablicą dedykowaną wszystkim kielczanom (czy tylko im?), którzy wyłudzili cudzą własność.

Końca nie ma, bo wychodząc z teatru czuję ciężar winy. Nie, nie przywłaszczyłem cudzej własności. Ale do kogo należała kamienica, w której na początku lat 50. zamieszkali moi dziadkowie migrujący ze wsi? Do kogo należały przedwojenne domy przy głównej ulicy handlowej mojego rodzinnego miasta? Kto wybudował okazały budynek ze sklepem z motocyklami oglądanymi przez nas pożądliwym wzrokiem i dlaczego dopiero dziesięć lat temu pojawił się na nim napis informujący, że kiedyś była to synagoga?

> Nigdy dość proszenia o przebaczenie i przypominania, że niewinność to fikcja. **Do tego jest dziś potrzebny teatr.**

Wyskok

„Protest kielecki" to – jak się domyślam – świetny przykład teatru, jakiego Urząd Województwa Świętokrzyskiego nie chce. W jego przekonaniu teatr jest zapewne szacowną instytucją umacniającą to, co partia uważa za polską kulturę, a więc zespół historii i fantazji podnoszących na duchu i umacniających przekonanie, że Polacy są narodem wielkim, wspaniałym i niewinnie pokrzywdzonym.

To oczywistość, ale najwyraźniej trzeba powtarzać: jak każdy naród mamy w swojej historii i kulturze rzeczy, do których powinniśmy nawiązywać, starać się je poznawać, rozumieć i czynić częścią naszej rzeczywistości, a nie tylko dziedzictwa. Ale mamy też takie, które należy poznać właśnie dlatego, żeby się strzec ich powtarzania, a przede wszystkim, żeby nie popadać w samouwielbienie i pamiętać, że nie jesteśmy niewinni. Wśród narastającego faszystowskiego pragnienia, by zaczadzić się własną wielkością, taka pamięć staje się wręcz fundamentalnie ważna.

Wiem, że jej ożywianie w teatrze niekoniecznie jest skuteczne i że ci, którzy napełniają płuca powietrzem, by tym głośniej było słychać, że Polska jest tylko tam, gdzie oni, do teatru nie chodzą. Ale uwierzcie, że naprawdę nigdy dość proszenia o przebaczenie i nigdy dość przypominania, że niewinność to fikcja. I że do tego właśnie jest dziś potrzebny teatr – także tym, którzy to wszystko wiele razy już słyszeli.

Twórcy kieleckiego przedstawienia z podziwu godną precyzją oraz dramaturgiczno-reżyserską i aktorską maestrią przeprowadzają proces będący zaprzeczeniem podstawowego wyobrażenia o teatrze jako o urządzeniu do biernego i bezkarnego podglądania osób zachowujących się „jak w życiu". Tę anachroniczną konwencję zrywa się w „Proteście kieleckim" na wiele sposobów.

Najbardziej dotkliwy jest ten finałowy – gdy ci, którzy protest zorganizowali i z którymi już nawiązaliśmy jakąś nić porozumienia, każą się nam wynosić, bo obejrzeliśmy sobie ciekawy spektakl, który może nawet dał nam „do myślenia", ale przecież nic to nie zmienia. Flipping działa dalej, interesu deweloperów pilnują obie podobno radykalnie sobie przeciwne i rzekomo w niczym się niezgadzające partie, na które od dwóch dekad zgodnie głosujemy, a Teatr im. Żeromskiego nadal nie ma dyrektora.

Oddech

Od wielu lat powtarzam, że w świecie wszechogarniającego spektaklu, domagającego się ciągłego popisu i nieustannej ewaluacji jego skuteczności, teatr pomawiany, że jest modelem tego widowiskowego badziewia (ileż to razy politycy oskarżają się wzajemnie o „robienie teatrzyku"), ma obowiązek i narzędzia, by się jego władzy sprzeciwiać. Po kolejnych tryumfach widowiska już wręcz demonstracyjnie głupiego i bezczelnie pozbawionego wszelkiego gustu, sam zwątpiłem, że ma to jakikolwiek sens, skoro widziane gołym okiem skutki społeczne są dokładnie odwrotne do oczekiwanych. Przecież nie tylko ja mam gorzką świadomość, że pozostajemy w teatrze „krytycznym" we własnym gronie i zamiast dialogu mamy solilokwia. Ale czy właśnie dlatego nie jest on tym bardziej nasz?

Kieleckiej ekipie protestowej udało się odnowić we mnie przekonanie, że coś należy do nas o tyle, o ile tego potrzebujemy i rzeczywiście używamy. Należność to nie posiadanie, a relacja. Należności trzeba regulować, a to wymaga działania. Należeć znaczy też – być częścią. Tak jak się należy do rodziny, do społeczności, a w końcu i przede wszystkim – do samego siebie. Więc jeśli miasto i teatr należą do nas, to znaczy, że są częścią tego, co razem stanowimy, co tworzymy, choć może wcale tego nie posiadamy. © DARIUSZ KOSIŃSKI

Dobry, zły i bezradny

JAKUB MAJMUREK

STREAMING | „Grupa zadaniowa" to serial pełen niejednoznacznych bohaterów, ożywających na ekranie za sprawą znakomitych aktorskich kreacji.

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z serialu „Grupa zadaniowa", sezon 1., prod. HBO, 2025 r.

Telewizyjny twórca Brad Ingelsby bez wątpienia posiada talent do tworzenia złożonych, mocno doświadczonych przez życie, przytłoczonych codziennością postaci, które – choć ledwo znajdują siłę, by przetrwać kolejny dzień – muszą zmierzyć się z niezwykłą, kryzysową sytuacją. W „Mare z Easttown" (2021) poznaliśmy policjantkę z szeregiem rodzinnych problemów na głowie, coraz bardziej przekonaną, że najlepsze dni życia ma dawno za sobą.

W nowym serialu tego twórcy, „Grupie zadaniowej" (HBO), bohaterem jest pogrążony w żałobie po zabójstwie żony agent FBI, Tom Brandis. Z powodu ciężkiej sytuacji rodzinnej Tom miesiącami odsunięty był od aktywnej służby. Gdy pojawia się na ekranie, rozstawia stoisko z ulotkami zachwalającymi zalety pracy w Agencji na targach pracy.

Agencja ma jednak zbyt wiele spraw do rozwiązania i zbyt wiele kadrowych oraz budżetowych ograniczeń, by pozwolić tak doświadczonemu pracownikowi jak Brandis marnować się jako rekruter. Choć mężczyzna ciągle nie doszedł do siebie po rodzinnej tragedii, staje na czele grupy mającej wyjaśnić serię napadów. Ktoś rabuje domy, w których lokalne gangi przechowują utarg z handlu narkotykami.

W „Mare" narrację organizowała figura śledztwa i pytanie „kto zabił", w „Grupie zadaniowej" od początku wiemy, kto stoi za napadami, a opowieść prowadzona jest równolegle z puntu widzenia „policjantów" i „złodziei". Podstawową stawką historii jest to, kto okaże się górą.

Problem w tym, że cała historia jest trochę bardziej skomplikowana. To nie tylko walka prawa z bezprawiem, bo w tym meczu biorą udział aż trzy drużyny. Poza tytułową grupą zadaniową i sprawcami napadów jest jeszcze brutalny gang motocyklowy, do którego należy większość okradanych domów. Doświadczony, bezwzględny gangster Perry Dorazo niezależnie od FBI prowadzi swoje śledztwo w sprawie napadów, kierowany słuszną intuicją, że sprawcy muszą mieć w gangu wtyczkę.

Intryga

Im bliżej finału sezonu, tym bardziej wszystko zmierza do otwartej konfrontacji między gangiem Perry'ego, grupą zadaniową kierowaną przez Toma i liderem ekipy dokonującej napadów, Robbiem Prendergastem – zupełnie jak w finale „Dobrego, złego i brzydkiego" Sergio Leone. Nie mamy wątpliwości, że „złym" jest tu sadystyczny Perry, „dobrym" idealistyczny agent FBI, a przymiotnikiem, jakim określilibyśmy Robbiego, będzie jednak przede wszystkim: „bezradny".

Robbiemu nic nie wychodzi. Pracuje jako śmieciarz, samotnie próbując wychowywać dwójkę dzieci, z którymi mieszka kątem u wkraczającej w dorosłość bratanicy. Jej ojciec był członkiem gangu Perry'ego, został jednak zamordowany przez dawnych kolegów w zemście za romans, w jaki wdał się z żoną lokalnego lidera grupy, Jasona. Okradając gang wspólnie z dwoma kolegami, Robbie mści się za brata, a jednocześnie próbuje zdobyć środki konieczne do tego, by jego rodzina mogła zacząć życie na nowo. Najlepiej gdzieś daleko, na północy Kanady.

Szybko przekonujemy się, że Robbie, występując przeciw gangowi, wplątał się w sytuację, która całkowicie go przerasta. Jeden z napadów idzie zupełnie inaczej, niż miało to wyglądać: wywiązuje się strzelanina, są ofiary, a świadkiem całego zajścia jest dziecko. Robbie nie ma pojęcia, co zrobić z chłopcem, umieszcza go więc w domu swojej bratanicy. W dodatku zamiast gotówki znajduje wielką paczkę fentanylu, której spieniężenie na terytorium kontrolowanym przez gang nasuwa, jak można się spodziewać, trudności.

Każda kolejna decyzja Robbiego tylko pogarsza jego problemy i sprawia, że pętla coraz ciaśniej zaciska się wokół niego i bliskich. Bohater miota się, przekraczając granice, zza których nie da się już wrócić.

Aktorzy

Twórcy serialu nie potępiają Robbiego, wiele scen sugeruje wręcz, że mimo przestępczej przemocy, w jaką się uwikłał, pozostaje zasadniczo przyzwoitą osobą, niezdolną do sadystycznego okrucieństwa. Nie mamy wątpliwości, że kieruje nim głównie troska o przyszłość rodziny. Aktor Tom Pelphrey doskonale potrafi oddać na ekranie całą złożoność swojej postaci.

Serial pełen jest zresztą podobnie niejednoznacznych bohaterów, ożywających na ekranie za sprawą znakomitych aktorskich kreacji. Mark Ruffalo chyba nigdy nie wyglądał na ekranie na tak zmęczonego życiem i przytłoczonego wiekiem. Tom jest nie tylko wdowcem, niemogącym dojść do siebie po śmierci żony, ↦

↦ ale też przybranym ojcem jej zabójcy – chłopaka z problemami psychicznymi, którego małżeństwo adoptowało. A w dodatku byłym katolickim księdzem, który porzucił kapłaństwo. Religia dostarcza istotnego kontekstu dla jego historii i osobistych rozterek. Ruffalo jest jednak w stanie uwiarygodnić i scalić wszystkie elementy biografii swojej postaci, którą ktoś inny łatwo mógłby położyć.

Także Perry odtwarzany przez Jamiego McShane'a ostatecznie okazuje się nie do końca jednoznaczną postacią. Bez wątpienia jest sadystycznym, zawodowym przestępcą, z drugiej strony działa kierując się lojalnością wobec Jasona, którego traktuje jak swojego przybranego syna. Wie, że jeśli problem z napadami nie zostanie szybko rozwiązany, krajowe kierownictwo gangu ukarze za to Jasona – dobrze działająca organizacja przestępcza nie może przecież tolerować w swoich szeregach ludzi niezdolnych utrzymać porządku na własnym terenie.

W niektórych momentach twórcy tak zagłębiają się w zawiłości drugo- i trzecioplanowych postaci, że tracą tempo i utykają na narracyjnych mieliznach. Im bliżej finału, tym żywszy rytm łapie opowieść i tym bardziej całość zbliża się do równowagi między atrakcyjnym dramaturgicznie spektaklem a pogłębionym studium charakterów.

Wątki

Podobnie jak w „Mare z Easttown", miejscem akcji „Grupy zadaniowej" są odległe peryferie Filadelfii, obszar, gdzie zamożne przedmieścia ustępują miejsca coraz bardziej małomiasteczkowym i wiejskim przestrzeniom. To świat odległy od amerykańskiego snu, jedno z wielu miejsc w Stanach, w którym jego obietnice wydają się kpiną.

W pierwszym odcinku „Mare" tytułowa bohaterka świętuje razem ze swoją szkolną drużyną koszykówki 25. rocznicę zdobycia mistrzostwa stanu. I, jak widzimy w kolejnych odcinkach, nie tylko w życiu Mare, ale także jej lokalnej społeczności ostatni prawdziwy, bezdyskusyjny sukces mógł się wydarzyć ćwierć wieku temu albo i dawniej.

Chorobą toczącą rodzinną miejscowość Mare jest epidemia opiatów. Rozbijająca rodziny, popychająca uczciwych, na co dzień przestrzegających prawa i zasad współżycia społecznego ludzi do zbrodni. Mare walczy o opiekę nad swoim wnukiem z żoną syna, który pod wpływem choroby psychicznej popełnił samobójstwo. Kobieta ma za sobą historię uzależnienia od heroiny. Zdesperowana policjantka kradnie heroinę przetrzymywaną na komendzie i podrzuca byłej synowej – pakując się w ten sposób wyłącznie w kłopoty.

W „Grupie zadaniowej" także pojawia się wątek opiatów, ale to tylko jedna z chorób toczących świat, w którym rozgrywa się akcja. Widzimy tu Amerykę szarych, zmęczonych mężczyzn, ciężko pracujących na kilku etatach, by utrzymać się na powierzchni. Rodziny zniszczone przez narkotyki, alkohol, zdrady i przemoc. Świat, w którym stare reguły nie działają, a zmiany budzą głównie przerażenie.

W jednej ze scen lider konkurencyjnego wobec motocyklistów dominikańskiego gangu z Filadelfii mówi z przekąsem swoim konkurentom: mogę mieć lepszy i tańszy towar od was, ale mieszkańcy wiejskich hrabstw i tak nigdy nie kupią narkotyków od kogoś, kto wygląda tak jak moi ludzie. Nawet wykańczając się opiatami, biała amerykańska biedota zachowuje postawę wrogości i nieufności do migrantów.

Doskonale rozumiemy, czemu tak wielu mieszkańców tej części Stanów łagodzi ból istnienia odurzając się narkotykami albo próbuje wyrwać się z beznadziei dzięki pieniądzom, które można zarobić na ich sprzedaży. Ingelsby jest przy tym bardziej „psychologicznym" niż „socjologicznym" twórcą. Interesują go raczej wewnętrzne zmagania bohaterów niż jakakolwiek społeczna diagnoza.

„Grupa zadaniowa" nie jest wielką epicką narracją, przedstawiającą pozostawioną z tyłu Amerykę. Serialowi udaje się jednak osadzić bardzo przekonująco wewnętrzny dramat kilku bohaterów w formule atrakcyjnego telewizyjnego widowiska, umieszczając go przy tym w doskonale uchwyconym społecznym tle: w tej części Ameryki, której gniew i desperację cały świat usłyszał przy okazji ostatnich amerykańskich wyborów.

© JAKUB MAJMUREK

REKLAMA

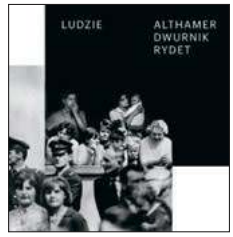

▪ *Edward Dwurnik, Zofia Rydet, Paweł Althamer* **LUDZIE**, *Raster, wystawa czynna do 15 listopada br.*

Wystawa w warszawskim Rastrze opowiada o podróżach trójki artystów reprezentujących różne pokolenia. Zofia Rydet urodziła się w 1911 r., Edward Dwurnik w 1943, a Paweł Althamer niemalże ćwierć wieku później – w roku 1967. Rydet była fotografką, Dwurnik malarzem, Althamer jest rzeźbiarzem i performerem. Jednak to nie oni są głównymi bohaterami tej ekspozycji, lecz mieszkańcy małych miasteczek i wsi, do których w swojej pracy dotarli.
W przypadku Zofii Rydet był to podhalański Chochołów, w którym powstał cykl zdjęć przedstawiający jego mieszkańców. Unikalny, wykonany najprawdopodobniej na zamówienie Ars Polony z myślą o prezentacji na zagranicznych targach. A jednocześnie będący częścią „Zapisu socjologicznego", na który składa się kilka tysięcy fotografii ludzi w ich domostwach.
Edward Dwurnik w połowie lat 60., jeszcze jako student, wyjeżdżał do podkieleckich Chęcin i rysował tamtejszych mieszkańców. Jednak wystawa w Rastrze opowiada przede wszystkim o pobycie w kaszubskiej wsi Sławoszyno w czerwcu i lipcu 1976 r. Żona Dwurnika, Teresa Gierzyńska, robiła zdjęcia mieszkańców, a sam artysta malował. Powstał unikalny, artystyczny zapis jednej miejscowości, w którego tworzeniu brali udział żyjący tam wówczas ludzie. „Udostępniali swoje gospodarstwa, opisywali sąsiadów, historie" – wspominał artysta. „Korygowali błędy, czuli się współodpowiedzialni za wierność w oddawaniu szczegółów natury". Dwurnik stworzył obraz Sławoszyna pełen szczegółów, a jednocześnie zaskakujący – inaczej bowiem niż w wielu innych jego dziełach, przedstawiający mieszkańców i wieś z czułością.
Wystawę dopełnia rzeźba Pawła Althamera „Maria Juana" stworzona we współpracy z mieszkańcami niewielkiego miasteczka Licenza pod Rzymem. To jeszcze jedno dzieło, którego powstanie zawdzięczamy spotkaniu artysty z ludźmi mieszkającymi poza wielkimi miastami.
© PIOTR KOSIEWSKI

▪ **TYLKO HAJ.** *Opowiadania inspirowane płytą Dawida Podsiadło i Kaśki Sochackiej, Wielka Litera*

Tworzenie na zlecenie to zajęcie żmudne, choć bez mecenatu nie powstałoby wiele dzieł kultury: obrazów, oper, teatralnych spektakli, ale też powieści czy okolicznościowych poematów. Szkoci dotąd utrzymują zresztą w swoim kraju stanowisko narodowego poety, który na bieżąco komentuje najważniejsze wydarzenia w literackiej formule. W wypadku tej publikacji temat jest nieco bardziej frywolny: inspiracją dla opowiadań miały być piosenki dwójki popularnych muzyków i wokalistów: Kaśki Sochackiej i Dawida Podsiadły. Jak z tekstu przeboju wyłuskać pomysł na fabułę, wyprowadzić bohaterów i zaskakujące puenty? Wydawnictwo Wielka Litera zaprosiło do współpracy zarówno debiutantów (Jul Łyskawa i Katarzyna Kubicka), autorów bestsellerowych powieści (Szczepan Twardoch, Jakub Żulczyk), jak też twórców, na których książki czekamy latami (Edward Pasewicz). Efekt zasługuje na uwagę co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze: pomysł na sparowanie popularnych muzyków z pisarkami i pisarzami to doskonały przepis na promocję polskiej prozy i dotarcie do nowych czytelniczek i czytelników. Po drugie: ten tom zawiera po prostu bardzo dobre teksty. Mamy tu zarówno opowiadania ironiczne (Twardoch, Fiedorczuk), przejmujące (Pasewicz, Żulczyk), jak i takie, które bawią się konwencją i formą opowiadania (Łyskawa i Kubicka), same w sobie stanowiąc ciekawe studium krótkiej formy. ©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

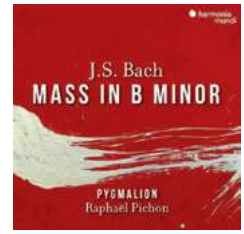

▪ *Pygmalion, Raphaël Pichon, J.S. Bach,* **MASS IN B MINOR**, *Harmonia Mundi*

Bach jest dobry na wszystko, a jako odskocznia od Konkursu Chopinowskiego – wręcz idealny. Wśród nagrań jego wokalnych arcydzieł, których oczywiście jest bez liku, ostatnio pojawiło się nowe, odświeżające najbardziej klasyczną z klasycznych pozycji: wielką Mszę h-moll.
Raphaël Pichon i jego zespół Pygmalion przyzwyczaili nas do muzyki baroku ukazywanej z jednej strony efektownie – w wartkich tempach, precyzyjnie i dynamicznie, bardzo barwnie (a barokowe orkiestry miały tu zawsze ogromne możliwości, ze swą różnorodnością instrumentów dętych, szarpanych i klawiszowych) – z drugiej natomiast niezwykle przejmująco i retorycznie. Pichon celuje w kluczowej dla baroku kategorii: teatralności. Połączmy to z Mszą h-moll, utworem w dorobku Bacha wyjątkowym, gdyż jako luterański kantor nie miewał on przecież do czynienia z katolickim cyklem mszalnym. Msza h-moll miała być jednak dziełem, które zdobędzie dla swego twórcy tytuł kompozytora królewskiego (konkretnie: kompozytora króla Polski, Augusta III Sasa), była więc nie tylko mszą katolicką, ale pokazem możliwości twórczych genialnego kompozytora.
Te walory Mszy znalazły w zespole Pichona znakomitych wykonawców. Efektowna wirtuozeria, piękno głosów, bogactwo faktur podporządkowane są celom muzycznym i stylistycznym, a wśród nich specjalne miejsce zajmuje barokowa teatralność, operująca zarówno znaczącym szczegółem, gestem, jak i ogromnym kontrastem. Przykład? „Crucifixus" i „Et resurrexit" są z założenia zderzającymi się częściami Credo, ale tu pierwsze zamiera na niemal wyszeptanych słowach „et sepultus est", więc wybuch entuzjazmu zmartwychwstania jest jeszcze bardziej uderzający. Takich zabiegów, wyostrzających znaczenie i ekspresję utworu, jest tu co niemiara. I każdy idealnie na swoim miejscu, podany precyzyjnie, w energicznym tempie. Nie sposób się oderwać.
© JAKUB PUCHALSKI

Graj w obronie

ANITA PIOTROWSKA

FILM | „Jedna bitwa po drugiej" dostarcza dzikiej frajdy, w której, co rzadkie w dzisiejszym kinie, nie czuć grubej kalkulacji.

Amerykańska kultura popularna próbuje żywo reagować na to, co przynosi rzeczywistość – na wojny kulturowe, próby wprowadzenia państwa policyjnego czy nowe, reaktywne oblicza rasizmu. Czasem robi to w sposób wielce finezyjny, patrz: wampiryczno-muzyczni „Grzesznicy" Ryana Coogler a. Bywa, że *political fiction* prowokacyjnie ociera się o symetryzm („Civil War" Alexa Garlanda), innym razem zaś opowieść nie nadąża za dobrymi intencjami, by pochwycić i obśmiać panujący wokół chaos, polaryzację czy dezinformację („Eddington" Ariego Astera). Żaden jednak z tych tytułów nie wzbudzał takich dyskusji, a zarazem czysto filmowych emocji, jak najnowsze dzieło Paula Thomasa Andersona. Czy „Jedna bitwa po drugiej" to rzeczywiście najlepszy film tego roku?

Z pewnością nieobliczalna, eksplodująca niemal każdego dnia rzeczywistość robi temu filmowi doskonałą przysługę. Jego światowa premiera miała miejsce zaledwie dwa tygodnie po zamachu na Charliego Kirka, a że tym razem wybuch politycznie motywowanej przemocy nastąpił z lewej strony barykady, groteskowa opowieść o byłych rewolucjonistach walczących z imperializmem, kapitalizmem i białym suprematyzmem zyskuje jeszcze aktualniejszy kontekst.

Już w pierwszej scenie twórca „Aż poleje się krew" kompromituje wszelką ideologiczną walkę opartą na przemocy. Oto terrorystyczna grupa French 75 napada nocą na ośrodek detencyjny, by uwolnić przetrzymywanych tam nielegalnych imigrantów. Absurdalność tej akcji plus wyrafinowana seksualna przemoc, jakiej dopuszcza się afroamerykańska terrorystka o pseudonimie Perfidia Beverly Hills (Teyana Taylor) na strzegącym obozu pułkowniku Lockjawie (Sean Penn), tworzy groteskowy splot – seksu, rasy i władzy. Co świetnie oddaje ikoniczny kadr niczym z Tarantino: czarnoskóra bohaterka z giwerą wspartą na obnażonym ciążowym brzuchu kontynuuje swoją walkę. Również po narodzinach dziecka, które szesnaście lat później będzie musiało się zmierzyć z dziedzictwem swoich rodziców.

Po drugiej stronie mamy jeszcze bardziej karykaturalnych przeciwników na czele z monstrualnym i żałosnym Lockjawem, którego tłumione pożądanie i seksualne upokorzenie, wrodzony rasizm i polityczne ambicje czynią dozgonnym prześladowcą Perfidii i jej partnera Boba (Leonardo DiCaprio). Oraz wspomnianej córki, ukrywającej się po latach pod imieniem Willa (gra ją Chase Infiniti). Zwłaszcza że pułkownik aspiruje do elitarnego i ultrakonserwatywnego Klubu Gwiazdkowych Awanturników hajlujących... Świętemu Mikołajowi, i musi sobie wyczyścić konto, skażone relacją z czarną kobietą. Ameryka, której Anderson przyglądał się krytycznie w wielu filmach, nigdy nie była aż tak rozpolitykowana i tak bardzo w tym surrealna. I mało który film tak dobrze oddaje dzisiejszą paranoję. Bo spiskują tutaj wszyscy – dawni i obecni rewolucjoniści, turboprawicowi „awanturnicy", aktywiści pomocowi, a nawet dziarskie mniszki.

Kanwą scenariusza była powieść Thomasa Pynchona „Vineland", wydana w 1990 r., opowiadająca o aberracjach Ameryki czasów Reagana i końca hippisowskiej utopii. Anderson wcześniej przeniósł na ekran „Wadę ukrytą" (2014), lecz tym razem potraktował pierwowzór swobodniej i czytelniej, adaptując go zaś do współczesności, jednocześnie zawiesił w jakimś amerykańskim bezczasie. Stąd powtarzające się pytanie: „która jest godzina?". Odpowiedź na nie to konspiracyjne hasło, którego Bob, nadużywający rozmaitych substancji, nie może sobie przypomnieć w krytycznych chwilach. Lecz samo zapytanie wydaje się w filmie czymś więcej.

W jakim momencie jesteśmy i co z nim zrobimy? Rozrywkowe kino rzadko traktuje na serio tego rodzaju kwestie. Między kolejną szaloną ucieczką i równie brawurowym pościgiem po falujących, pustynnych drogach, w oparach adrenaliny, bezsensu, to znów tkliwych emocji, powraca Anderson do tematu ojcostwa, jaki przewijał się w wielu jego filmach, zazwyczaj w postaci zaniedbań czy nadużyć.

„Jedna bitwa po drugiej" zawiera aż trzy warianty ojcowskich figur i która z nich powinna być dzisiaj wzorem, łatwo się domyślić. Bob jest samodzielnym, choć niespecjalnie dzielnym tatą, wypalonym rebeliantem na wewnętrznej emigracji, nierozumiejącym współczesnego świata, za to obsesyjnie zatroskanym o córkę (DiCaprio wystylizowany

WARNER BROS. PICTURES / MATERIAŁY PRASOWE

JEDNA BITWA PO DRUGIEJ
(„One Battle After Another”) – reż. Paul Thomas Anderson. Prod. USA 2025. Dystryb. Warner Bros. Entertainment. W kinach.

Paul Thomas Anderson uważany jest za jednego z najciekawszych reżyserów amerykańskich, choć nigdy, mimo licznych nominacji i statuetek dla współtwórców jego filmów, nie dostał Oscara. Ma na koncie tak mocne tytuły, jak „Boogie Nights” (1997), „Magnolia” (1999), „Aż poleje się krew” (2007), „Mistrz” (2014), „Nić widmo” (2017) czy „Licorice Pizza” (2021) z Alaną Haim.

Na zdjęciu: Teyana Taylor i Leonardo DiCaprio w filmie „Jedna bitwa po drugiej”

na Kolesia Lebowskiego wadzi się tu ze swoim gwiazdorskim wizerunkiem). Pułkownik Lockjaw w przyciasnym tiszercie, z podwyższającymi wkładkami i brzydkim zaczesem to, jako się rzekło, karykatura męskości i Penn nie bierze jeńców w swojej kreacji. Ale jest jeszcze ten trzeci, instruktor karate nazywany Senseiem, szef tajnej siatki pomagającej latynoskim imigrantom, zagrany (także po hiszpańsku) przez Benicia del Torro. Każda z tych ról to ironiczne mrugnięcie do ekranowych i pozaekranowych wcieleń aktorskiej trójki.

Bo Anderson to twórca wyjątkowo samoświadomy, który zaliczył najlepsze, choć raczej nieformalne uniwersytety. Dorastał w kinofilskiej rodzinie, kręcił filmy od dziecka, terminował na planach filmowych. A jego nauczycielem literatury w koledżu był niejaki David Foster Wallace. Stąd w „Bitwie” aż roi się od jawnych i ukrytych odniesień. Tytuł, wzięty z manifestu lewicowej grupy The Weather Underground, nawiązuje także do legendarnej „Bitwy o Algier” (1966) Gillo Pontecorvo, arcydzieła kina rewolucyjnego zarówno w swej treści, jak i formie. Nic dziwnego, że upalony bohater DiCaprio odpala sobie właśnie ten film dla podtrzymania buntowniczego żaru. Poza tym widzowie wyłowią tu niejeden cytat z klasyki kina akcji: z „Bullita”, „Francuskiego łącznika” czy „Człowieka z blizną”. I bez tego „Jedna bitwa po drugiej”, ze swym wigorem, zmiennym rytmem i nieprzewidywalną tonacją emocjonalną może dostarczać dzikiej frajdy, w której, co rzadkie w dzisiejszym kinie, nie czuć grubej kalkulacji.

Udało się wykreować iście transową atmosferę, punktowaną minimalistycznym brzmieniem Jonny’ego Greenwooda, bez wątpienia współautora wszystkich filmów Andersona. Zapewne to nadpobudliwe, przesadnie kinetyczne kino w swoim niewyczerpanym żarcie zbytnio spłaszcza polityczną satyrę i rozbraja międzypokoleniowe napięcia. Ocala jednak, w ramach wysokobudżetowej turborozrywki, swoje antyprzemocowe – w różnych znaczeniach – przesłanie. Wypowiada je w filmie charyzmatyczny Sensei: po prostu „graj w obronie”. ©

Lektor:

Książeczka czerwona jak krew

▪ *Joanna Tokarska-Bakir*
TĘSKNOTA PIESKA ZA WILKIEM Z LASU
Wydawnictwo Austeria, Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2025, ss. 40.

Znakomitą antropolożkę znamy z dzieł opartych na wieloletniej pracy. „Legendy o krwi” – studium wychodzące od osławionego obrazu Karola de Prevot w sandomierskiej katedrze, przedstawiającego rzekomy mord rytualny. „Kocia muzyka. Historia chóralna pogromu krakowskiego” – dwa tomy, ponad 1800 stron. Wydana teraz książeczka jest jednak dla mnie równie ważna.

„Sobotnie przedpołudnie 7 października 2023 roku spędzałam w Bethesdzie pod Waszyngtonem w domu Basi i Marka, marcowych emigrantów, dzieci polskich Żydów ocalałych z Zagłady. Śniadanie przerywały telefony z meldunkami o losie izraelskiej rodziny i znajomych”. Szczególny punkt obserwacyjny, jakim była Ameryka, pozwolił opisać zdumiewającą reakcję lewicowych kręgów intelektualnych na rzeź Izraelczyków dokonaną przez Hamas. Właśnie na samą rzeź – bo przecież brutalny odwet Izraela nastąpił później.

Natychmiast ruszyła kampania zaprzeczania. „Zachodni pisarze, artyści, aktywiści prześcigali się w mediach społecznościowych, tłumacząc, dlaczego mieliśmy do czynienia ze zbrojnym oporem, a nie ludobójstwem, przechodząc do porządku nad faktem, że palestyńscy terroryści zabijali każdego, kto się nawinął”. Pewna brytyjska lewicowa wydawczyni zatweetowała, że 7 października powinien stać się świętem zwolenników demokracji i praw człowieka na całym świecie. Na Stanfordzie zgłaszano przypadki grup przepuszczających studentów przez drzwi, dopiero gdy wyrecytowali „Fuck Israel, free Palestine”.

„Czy lewicowy antysemityzm stanie się nową modą, która w końcu pozwoli progresywnym elitom zbratać się z ludem? (...) Lewica łaknie prostego patrzenia na świat i potrzebuje grupy, którą można bezkarnie nienawidzić, oraz tej do bombardowania miłością. Żydzi lewicy nie potrzebują, bo, wbrew temu, co o nich mówią antysemici, są zbiorowością anty-ofiar: po największej katastrofie w dziejach wykorzystali historyczną szansę i odbudowali zbiorowe życie. Właśnie dlatego nigdy im nie wybaczymy tego, cośmy im zrobili”.

A skąd tytuł całości? Tove Jansson jest dobra na wszystko. W „Zimie Muminków” występuje piesek Ynk, który marzy o spotkaniu z braćmi wilkami. Kiedy wilki przychodzą, odkrywa, że z nimi nie można się bawić i że najpewniej zostanie zjedzony. Ratuje go Paszczak – postać skądinąd irytująca. Przygoda Ynka kojarzy się Tokarskiej-Bakir – złośliwie, ale czyż nie słusznie? – z hasłem „Queer for Palestine”... ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Ład łodyg

Dwieście osiemdziesiąt kebabów dało się na początku tego roku kupić za przeciętne wynagrodzenie. Nieco mniej niż rok wcześniej. Inflacja w gastronomii jest nadal znacznie wyższa niż ta ogólna. Przynajmniej jeśli brać za miarę ceny na jednej z platform, bez względu na niepogodę wypełniających ulice i chodniki armią wyrobników z sześciennym plecakiem – ale ja bym ufał tym danym, wyglądają na solidne, albowiem ów system obejmuje z grubsza połowę z dwudziestu paru tysięcy działających punktów produkcji tego najważniejszego narodowego dania.

Tak, nadal zapytany przez ankietera „jaki obiad twój", Polak odpowie bez namysłu, że pierogi. Ale jest to potrawa robiona w domu, jeden z materialnych budulców siatki emocjonalnej łączącej nas w grupy rodzinne i konstelacje domowe, zwieńczone mityczną babcią, co to ich lepiła trzysta za jednym posiedzeniem i już nigdy ruskie nie będą tak smakowały, odkąd odeszła. Tymczasem to właśnie kebab w trakcie ledwie ćwierćwiecza zdołał wyprowadzić z domu naród szukający nowej konsumpcyjnej tożsamości (i czegoś na kolację). Okazał się bramą, przez którą w miarę poprawy statusu materialnego i pojawienia się nowych aspiracji, kolejne grupy społeczne i wiekowe wciągały w swoją codzienność jedzenie na mieście i kontakt z gastronomią, już nie tylko jako element odświętności.

Kilka razy nasza skromna rubryczka składała już hołdy iście prasłowiańskiej krzepie, z jaką narodowy duch oswoił tę potrawę, zgodnie z głęboko zaszytymi wzorcami „dobrego jedzenia". Potrawę sprowadzoną przecież do Polski z niemieckich (!) ulic, gdzie powstała drogą mieszania się wpływów bliskowschodnich (!), będącą zatem już w punkcie wyjścia kuchennym kundlem najgorszego sortu, któremu Polak jeszcze bardziej powykręcał ogon i wykoślawił mordkę. Operacja przebiegła znakomicie i obyło się bez szwów, tak że kaprawy smok gastronacjonalizmu nawet ogonem nie machnie. O czym wie doskonale np. nasz Pierwszy Obywatel, który niedawno w ramach budowania swojskiego wizerunku nawiedził wraz z miejscową dziatwą jedną z kebabowni na Mazowszu. Było mi przykro, gdym widział grymasy wielu moich znajomych, szydercze, niechętne, zniesmaczone. Trudno nie uciec od myśli, że klasistowskie. Zaiste, przepustką do bycia *comme il faut* w moim świecie i wyznacznikiem miejsca w hierarchii jest czas odstany w kolejce po ramen. Godziny na mrozie w miesiącach zimowych liczy się podwójnie.

A przecież nie trzeba wcale wysiłku, żeby wystawić czasem nos poza swoją gastrobańkę. Wystarczy np. znaleźć się w mieście powiatowym, zgłodnieć i nie mieć wiele czasu. A już szczególnie późnym wieczorem. W pewien dżdżysty dzień w Suwałkach wyszukiwarka w telefonie podpowiedziała rzecz oczywistą: na obszarze kilometra kwadratowego, jaki zajmuje parterowo-jednopiętrowe centrum tego miasta, działa z osiem miejsc z kebabem, a intuicja, poparta doświadczeniem wędrowania daleko w bok od szosy głównej, kazała wybrać któreś z nich, żeby zaspokoić głód w sposób szybki i w miarę bezpieczny, bez zastanawiania się, co złego może nas spotkać w miejscowej restauracji z pretensjami do elegancji. A czasu nie chciałem tracić ani marnować sił na rzeczy drugorzędne względem celu podróży – w sam środek sławetnego przesmyku zakreślonego czerwonym ołówkiem na mapach sztabowych Kremla.

MATERIAŁY PRASOWE

Strachu w powietrzu nie było czuć, raczej gubernialną nudę, której nie rozpraszają liczne dowody szczodrych wydatków na remonty, estetykę i ogólną schludność. Nuda zaś i jesienna szarość szczególnie sprzyjają medytacji, której zamierzałem się czym prędzej oddać w tamtejszej galerii miejskiej przed martwymi naturami Mikołaja Nowotniaka. Dopiero co pożegnałem w Warszawie niewielką, acz wspaniałą wystawę Giorgia Morandiego (to niesprawiedliwe skądinąd, że w ogóle nie mamy na stałe jego prac – przecież polski żołnierz wyzwolił jego Bolonię, coś nam się należy!), byłem więc otwarty na szczególne przeżycie pełni, jakie spotyka nas przed pejzażem czy układem paru dzbanków lub jabłek namalowanych ręką natchnionych ludzi, którzy w innym kręgu religijnym z pewnością pisaliby ikony. Pełni jedności tego, co namacalne, z tym, co żyje tylko w naszych myślach

Mikołaj Nowotniak, Pomidory barokowe 1, 2020 r., z wystawy „Pejzaże i warzywa" w Galerii Chłodna. Suwałki, październik–grudzień 2025 r.

i uczuciach. Może da się to samodzielnie osiągnąć długą pracą kontemplacyjną wedle recept siwiutkich mnichów i brodatych guru – ale prościej jest, przynajmniej dla mnie, wesprzeć się obrazami mistrzów takich jak Nowotniak. Dać się poprowadzić w taki punkt, gdzie bezczas obiektów na ścianie wyzwala poczucie najwyższej ulotności nas, patrzących, zaczepionych na moment jedną pętelką spojrzenia o tę nadprzyrodzoną stałość. Martwe natury zwano martwymi, bo nie przedstawiają ludzi ani zwierząt, ale dobrze namalowane są opowieścią o życiu w takiej postaci, jaką znamy, gdy codziennie aż do śmierci próbujemy jakimś koślawym ładem zatrzymać ściekającą na nas entropię.

Im dalej w październik, tym więcej pod moimi palcami szarości. Ubywa soczystych liści – a jeśli nawet są, to więdną szybciej. Wilgoć i miękkość grzybów wcale nie jest oznaką żywotności, lecz rozkładu. Coraz więcej na stół trafia suchych w dotyku korzeni. Przypadkiem wystawa zgrywa mi się z sezonem i odgania mi z głowy narzekanie „addio pomidory". W pracach Nowotniaka dominuje jesienny ład przywiędłych warzywnych łodyg i liści, ale przecież opowieść o powolnym dogasaniu i rozkładzie jest wciąż pełna sensu, choć zapowiada rychłą pustkę i ciszę. Mikołaja Nowotniaka mainstream nie niesie z głośnym bulgotem, ale dla mnie był wart długiej podróży.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Mont Blanc – deser z kasztanów

Nie ma bardziej jesiennego, ulotnego jedzenia związanego z momentem – oprócz grzybów – jak kasztany. Te jadalne, rzecz jasna. Od paru lat to już żaden problem, żeby je kupić, i choć często nie są aż tak dorodne i świeże, żeby smakowały upieczone, to mogą stanowić dobry składnik różnych placków (pisaliśmy tu nieraz o toskańskim castagnaccio) lub deserów, takich jak ten: Mont Blanc – francuska nazwa wcale nie gwarantuje jego pochodzenia, jest szczególnie często jedzony po włoskiej stronie Alp.

750 kasztanów jadalnych 120 g cukru 500 ml mleka 40 ml rumu 20-30 g kakao do smaku ▪ laska wanilii ▪ sól śmietanka kremówka do ubicia ▪ wiórki czekoladowe do dekoracji

Nacinamy kasztany, wrzucamy do garnka z wodą, doprowadzamy do wrzenia i gotujemy przez pół godziny. Wyciągamy po jednym i ostrożnie, w rękawiczkach (parzą!) obieramy. Dajemy je do garnka z mlekiem, cukrem, szczyptą soli i wanilią, gotujemy na wolnym ogniu przez 20 minut. Odcedzamy, przeciskamy przez praskę, łączymy z kakao i rumem, mieszamy, aż powstanie dość zwarta masa. Odkładamy ją do lodówki na co najmniej godzinę. Przed podaniem przeciskamy ją znów przez praskę o małych otworach, tworząc na talerzyku górkę z wyciśniętych „robaczków". Dekorujemy bitą śmietaną i wiórkami czekoladowymi. ©℗

ANTONIO & PHOTOS / ADOBE STOCK

MERFIN / ADOBE STOCK

PSYCHE

SWOJA WERSJA SIEBIE

ANNA KRÓL-KUCZKOWSKA, PSYCHOTERAPEUTKA:

Fantazjujemy o systemie aplikacji, zdrowej diety i rozwoju duchowego, który zapewni nam dobrostan. Ale szczęście polega na czym innym.

BERENIKA STEINBERG: Wczesne chodzenie spać, zdrowa dieta, siłownia, medytacja – czasem czuję się przytłoczona tym, ile trzeba aktywności, żeby bez wyrzutów sumienia uznać, iż się o siebie dba. A może ten cały wellness wcale nam nie służy?

ANNA KRÓL-KUCZKOWSKA: Zależy, co dokładnie oznacza wellness. Jeśli uznamy, że to dbanie o siebie, troska o swoje ciało i psychikę – zachęcam z całych sił. Jednak dobrze jest przyjrzeć się temu, w jakim natężeniu te różne aktywności występują i jaką pełnią funkcję. Jeśli ktoś chce zadbać o to, aby być jak najdłużej w dobrej formie, to świetnie. Także gdy ktoś np. cierpi na depresję, może zrobić wiele różnych rzeczy, które z dużym prawdopodobieństwem pomogą mu czuć się lepiej: wziąć leki, pójść na psychoterapię, ale dodatkowo podjąć też wellnessowe kroki, jak aktywność fizyczna czy kontakt z przyrodą. To wszystko będzie jeszcze dbaniem o dobrostan na zasadzie: „chcę czuć się lepiej, bo czuję się niedobrze".

Jednak dalej na kontinuum są już działania w stronę ulepszania siebie, realizowania fantazji o byciu nowym modelem.

Naomi Klein w swojej najnowszej książce „Doppelgänger" pisze: „Dla osoby zdecydowanej na dokonanie transformacji za pomocą diety i ćwiczeń istnieje bowiem ona sama, w dzisiejszej postaci, oraz zawsze obecna ta, którą mogłaby się stać (...). Lepsze, inne ja, zawsze niedosięgłe".

Kluczowe jest tu sformułowanie „zawsze niedosięgłe", bo próba sięgnięcia ideału jest iluzją. Jeżeli konsultując pacjenta przed podjęciem psychoterapii słyszę, że chciałby być kimś innym, inną wersją siebie – bardzo mocno na to reaguję. Jestem przekonana, że nie temu służy dobrze prowadzona terapia, i w ogóle nie zmierza ona w kierunku stania się przez pacjenta kimś zupełnie innym, niż jest. Przeciwnie, pozwala człowiekowi odnaleźć się takim, jaki jest, w zdrowszy niż do tej pory sposób, z całym bagażem często niełatwych doświadczeń i ograniczeń. Tymczasem pop-wellnessowe podejście mówi jak w reklamie: „Możesz wszystko, tylko musisz zachcieć". A to nie jest prawda.

Powołała się pani na Naomi Klein, a ja nawiązałabym do angielskiego psychoanalityka Adama Phillipsa, autora książki „Missing Out: In Praise of the Unlived Life". Twierdzi on, że każdy nosi w swoim wnętrzu alternatywne, nieprzeżyte życia. Np. ja mogłabym mieć fantazję o byciu słynną aktorką. I jeśli uznam, że nie istnieją ograniczenia, że powinniśmy zdobywać w życiu wszystko – będę cierpiała z powodu tego, że nie jestem i najprawdopodobniej nie będę słynną aktorką. A Phillips mówi, że te nieprzeżyte życia w nas to naturalna ludzka kondycja. I jeśli nauczymy się z nimi dobrze obchodzić, rozumieć siebie przez ich pryzmat, to będą one tworzyć nasze bogactwo i budować nas jako ludzi.

W jaki sposób?

Phillips wskazuje na wnikliwe i czułe rozumienie siebie jako człowieka, który nawet jeśli dobrze ocenia swoje życie, w nieunikniony sposób musiał doświadczyć różnych strat. Np. wybierając zawód, nie został kimś innym, a zawierając związek, zrezygnował z innych opcji. Na te straty, czyli nieprzeżyte życia, dobrze spojrzeć jak na rzeczy, za którymi możemy tęsknić i o nich fantazjować, ale które zdecydowaliśmy się zostawić. Według Phillipsa wymaga to zbudowania w sobie zdolności kluczowych dla bycia człowiekiem: przeżywania żałoby, straty, rozumienia, że z pewnych rzeczy w życiu trzeba rezygnować, godzenia się z ograniczeniami. I uznania, że z różnych powodów nie zawsze spełniamy swoje, ale też otoczenia czy naszych bliskich, oczekiwania.

Nasze ograniczenia nie zawsze są zależne od nas.

Tak, czasem mamy na nie wpływ, ale bardzo często nie. Bo nieprawdą jest, że wszyscy mamy równe szanse i wystarczy tylko chcieć, żeby osiągnąć wszystko. Już od wieku dziecięcego pozycja wyjściowa ludzi diametralnie się różni, począwszy od sytuacji materialnej – która przekłada się na możliwości edukacyjne i kondycję zdrowotną – aż po rodzinę, która albo jest psychologicznie zasobna, albo uboga, co przekłada się na późniejsze zdrowie psychiczne. Tylko że nie zgadza się to z podejściem „bądź szczęśliwy, możesz wszystko". W pewnym kolorowym piśmie widziałam kiedyś tytuł pop-psychologicznego wywiadu: ↦

↦ „Możesz zmienić wszystko, nawet swoją przeszłość". Bardzo bym chciała wiedzieć, jak to się robi!

Co się stanie, jeśli swoich nieprzeżytych, alternatywnych żyć nie spróbujemy zrozumieć?

Możemy zacząć używać ich przeciwko sobie – np. przerabiając je na niezatrzymywalny pęd do bycia maksymalnie „najlepszą wersją siebie". Wtedy często zaczynamy siebie, swoje ciało, ale też niestety swoich bliskich traktować jak wyczynowy obszar działania, projekt. Więc zakładamy, że wszystkie życia można przeżyć – przez całe życie, że można szukać idealnej miłości, chronić się przed rozczarowaniem i frustracją, zaprzeczać upływowi czasu i zawsze wyglądać jak dwudziestokilkulatek.

Ale co złego jest w dążeniu do bycia najlepszą wersją siebie?

To sformułowanie budzi we mnie nieufność i irytację. Przyjrzyjmy mu się głębiej – co ono właściwie miałoby znaczyć? Czy to, że cały czas krytykujemy się i zawstydzamy za to, że najlepszą wersją siebie nie jesteśmy? A jeśli oczekujemy tego od siebie, to od innych również? Czy inni też mają być najlepszą wersją siebie? Jakim wtedy okiem patrzymy na ważne dla siebie osoby: partnera, dziecko, przyjaciela? Takim, które się nie potrafi zachwycić, które cały czas wyłapuje, co by tu jeszcze...?

Wobec zaś samych siebie: co zrealizowanie optymalnego modelu miałoby oznaczać? Że mielibyśmy być zadowoleni od rana do wieczora? Zawsze pełni pomysłów, chęci i nigdy nieprzemijającej energii? Znam takie osoby, ale zazwyczaj cierpią one również na różnego rodzaju trudności – skrajnym tego przykładem są stany maniakalne w chorobie afektywnej dwubiegunowej, które zresztą często kończą się straszliwą depresją.

Niezwykle ważna w funkcjonowaniu człowieka jest zdolność do przeżywania mniej „dobrostanowej" strony życia – cierpienia, bólu, rozczarowania. Tymczasem wellness obiecuje, że kiedy do jakiegoś punktu dobrniemy, to będziemy szczęśliwi.

Wolałabym jednak czuć szczęście niż ból.

Daniel Haybron, amerykański profesor filozofii badający zagadnienie szczęścia i dobrostanu, twierdzi, że my – zwłaszcza w zachodniej kulturze – właściwie nie rozumiemy pojęcia szczęścia. Skłonni jesteśmy myśleć, że to jasno określony stan, który można osiągnąć. Tymczasem osoby, które określiłyby siebie jako generalnie w życiu szczęśliwe, rzadko kiedy odczuwają takie mityczne szczęście. Ich poczucie, że jest okej, polega na czymś zupełnie innym, a mianowicie na doświadczeniu zaangażowania w życie, które to doświadczenie Haybron nazywa *vitality*. To przekonanie, że nasze życie jest żywe i wartościowe, i my jesteśmy w nim żywi i wartościowi. Właśnie owo poczucie witalności, żywotności i dobrego funkcjonowania w świecie – zarówno z innymi, jak i w swojej skórze – jest tym, co można nazwać szczęściem. Tylko że to inne szczęście niż takie, o którym mówi tzw. pop-psychologiczny wellness.

W pogoni za dobrostanem raczej nie myślimy o swoim funkcjonowaniu z innymi. W cenie jest robienie czegoś dla siebie – a nie dla świata czy społeczności. Nawet budowanie relacji ma przede wszystkim przynieść korzyść nam samym.

To również obietnica pop-psychologii – że człowiek idealnie może funkcjonować osobno, że jest samokształtowalnym, odrębnym bytem. Odpowiada tylko za swoje uczucia i, oczywiście, nie ponosi żadnej odpowiedzialności za uczucia innych. Tymczasem to sprzeczne z tym, jak w rzeczywistości funkcjonujemy – na poziomie psychicznym, emocjonalnym, ale też neurologicznym. Nasze ciała są niezwykle społecznymi konstrukcjami. Mózg od dawna nazywany jest wręcz organem społecznym. Potrzebujemy innych, aby móc stawać się sobą, aby się rozwijać, dzielić radości, ale też ból i nieszczęścia.

„Sądzę, że gdy kryzys klimatyczny się nasila, ziemia pod nami faluje, a wokół nas płonie, wielu z nas będzie nadal szukać pocieszenia w drobnych aktach posłuszeństwa, do jakich możemy nakłonić swoje ciało. To przynosi ulgę" – twierdzi Naomi Klein w „Doppelgängerze". Czym jest ta ulga?

Mogę powiedzieć, jak ja to rozumiem, odwołując się do wiedzy psychologicznej i terapeutycznej. Bardzo silne ukierunkowanie u pacjenta na ciało – mam tu na myśli np. uszkadzanie ciała czy objadanie się – służy niezajmowaniu się emocjami, które mogą być związane z trudnymi doświadczeniami. A człowiek jest istotą, która musi sobie opowiadać świat i samą siebie. Gdy np. głodząca się pacjentka anorektyczna z powodu swoich doświadczeń nie ma dostępu do umożliwiającego to języka – trudno jej powiedzieć, że czegoś się bardzo bała albo że czuje złość – wtedy polem do snucia opowieści będzie dla niej własna relacja z ciałem. Będzie starała się je kontrolować, żeby już nigdy nie czuć się tak bezradną czy tak przestraszoną.

Nie chcę teraz wchodzić w skomplikowane i indywidualne interpretacje terapeutyczne, ale wydaje mi się, że możemy tę zależność przełożyć na poziom bardziej społeczny i w analogiczny sposób wytłumaczyć popularność wellnessowych działań ulepszających nasze ciała.

Czyli jak?

Te działania pozwalają nam radzić sobie z poczuciem kruchości świata. Wydarzenia ostatnich lat bynajmniej nie przynoszą ulgi. Opinia, że w Europie żyjemy w najbezpieczniejszym ze światów, jest już nieaktualna. I bardzo trudno nam mówić o tym, co nienamacalne, o naszym lęku i o tym, że niełatwo jest żyć w kruchym świecie. Schopenhauer powiedział, że człowiek chce wykorzystać swoje życie tak, jakby dmuchał bańkę mydlaną – stara się, żeby była jak najbardziej okazała, a i tak wie, że ona w końcu pęknie.

Życie boli, a nieuniknionym ludzkim doświadczeniem jest samotność – nie uciekniemy od niej, choćbyśmy byli w bardzo dobrych relacjach. To są podstawowe doświadczenia, z którymi każdy z nas musi umieć sobie radzić i je znosić. I być może w tym tkwi kusząca obietnica wellnessu. Że można od tego bólu, samotności i dyskomfortu się uwolnić. Jeśli tylko się wystarczająco sprytnie zorganizuje swoje życie.

Ostatnio na YouTubie wyświetliła mi się znana influencerka, która promowała bardzo teraz modne adaptogeny, twierdząc, że dzięki nim – jako osoba chorująca na hashimoto – mogła odstawić lek na tarczycę. Tego typu wellnessowych obietnic wyleczenia

ARCHIWUM PRYWATNE

ANNA KRÓL-KUCZKOWSKA *jest psycholożką, psychoterapeutką i superwizorką Polskiego Towarzystwa Psychologicznego. Kieruje Pracownią Psychoterapii i Rozwoju Osobistego Humani w Poznaniu, wykłada w Laboratorium Psychoedukacji w Warszawie. Pracuje w nurcie psychodynamicznym, ze szczególnym uwzględnieniem założeń psychoterapii opartej na mentalizacji.*

nas z wszelkich dolegliwości jest mnóstwo. Jak nie dać się nabrać i sobie nie zaszkodzić?

Warto słuchać uważnie tego, co mówią ludzie, którzy działań w obszarze zdrowia – fizycznego i psychicznego – uczą się od lat i po prostu się na tym znają. Zastanowić się, czy objaśniacz świata, którego właśnie oglądam na Instagramie, ma podstawy do głoszenia tego, co głosi. Ale, tak jak już mówiłyśmy, obietnica prostych rozwiązań, które dają iluzję kontroli wszystkiego, jest naprawdę kusząca i nikt z nas nie jest na nią odporny. Więc filtrowanie i rewidowanie treści, które do nas docierają, wymaga krytycznej dyscypliny umysłowej. Proponuję krytyczną optykę szkiełka i oka: nie tylko czucie i wiara do mnie mówią, ale szkiełko i oko mędrca również – choć czasami to wcale nie jest zbyt ekscytująca perspektywa. Bo szkiełko mówi: możesz nie wiadomo jak bardzo się chronić, a i tak nie wiesz, czy na coś nie zachorujesz. Albo: postaramy ci się pomóc, ale nie wiemy, czy nam się uda. Tymczasem czucie i wiara głoszą: wszystko jest możliwe; nie jedz tego, jedz co innego, a będziesz zdrowy!

Tworzenie tego typu treści to również sposób na szybką sławę i pieniądze. I ludzie, którzy wiedzą, jak zbić na tym kapitał – popularności czy finansowy – będą z tego bez pardonu korzystali. Zresztą co jakiś czas takie historie słyszymy. W inspirowanym prawdziwymi wydarzeniami serialu pt. „Ocet jabłkowy" jedna z bohaterek z premedytacją sprzedaje ludziom nieprawdziwe opowieści o zdrowiu, o tym, że nie muszą słuchać lekarzy i z nowotworu mogą się wyleczyć różnymi niemedycznymi metodami. Taki objaśniacz świata powie nam, że jeśli tylko będziemy pili jakieś przykładowe soki, wszystko będzie w porządku.

Jestem bardzo przywiązana do naukowości, do tego szkiełka i oka, ale powiem szczerze, że czasami, gdy mi się wyświetli jakaś historyjka o tym, że np. tak naprawdę raka bardzo łatwo wyleczyć – czuję przez sekundę ukłucie: „oj, a może to prawda?". Bo w umyśle każdego z nas jest dziecięca część, która tęskni za wszechpotężnym, chroniącym przed zagrożeniami rodzicem, który wie wszystko. I ta część, jeśli zahaczy o iluzję spełnienia tego pragnienia, może być bardzo niebezpieczna. Bo nie istnieje żaden wszechpotężny rodzic, który nas ochroni przed całym złem tego świata – przed chorobami, przed śmiercią czy przed bólem fizycznym i psychicznym.

Szkoda.

Widzi pani? Fantazjujemy o systemie aplikacji, zdrowej diety i rozwoju duchowego, który zapewni nam szczęście i równowagę. Co oczywiście jest iluzją, bo rozczarowanie i frustracja są wpisane w ludzką kondycję. A my cały czas próbujemy ich unikać. I właśnie na tej naszej fantazji wielu guru wellnessowo-zdrowotnych bazuje i z niej korzysta. Obawiam się, że to handlowanie spokojem i ukojeniem jest bardzo dochodowe. Dlatego dobrze być świadomym, że każdy z nas ma w sobie dziecięcą część, pragnienie wszechpotężnego, chroniącego rodzica i że łatwo jest ją obudzić i wykorzystać.

Słyszała Pani o Bryanie Johnsonie?

Kto to taki?

Miliarder z Doliny Krzemowej – w wieku 46 lat rozpoczął eksperyment, w którym chce doprowadzić swoje ciało do biologicznego wieku osiemnastolatka. Oczywiście, czuwa nad tym cały zespół specjalistów, a Johnson łyka ponad sto suplementów dziennie, ostatni posiłek je w południe i chodzi spać o 8 wieczorem. Efekty swoich badań udostępnia internautom – nie wspominając o kosztujących krocie suplementach – żeby oni też mogli cofnąć czas. Na zarzuty, że to po prostu świetny biznes albo objaw lęku przed śmiercią, odpowiada: nie, robię to dla ludzkości.

Ciekawi mnie, w jaki sposób on łączy to, że jeśli ludzie nie będą się starzeć, to będzie im się lepiej żyło. Dla mnie brak tu oczywistej zależności. Potrafię jednak zrozumieć, że tego typu objaśnienie świata, łatwe i obiecujące, może blokować w ludziach zdolność do krytycznej refleksji. Im więcej dokoła nieprzewidywalności, tym większe zapotrzebowanie na takich opowiadaczy świata, którzy obiecują wytłumaczyć nam, na czym to wszystko polega. Sama wolałabym raczej się wspólnie zastanawiać i wspólnie nie wiedzieć. Ale rozumiem, że ten pan ma inną optykę – on twierdzi, że wie, co ludzkości pomoże.

Pani uważa, że człowiekowi nie będzie się lepiej żyło, gdy się nie będzie starzał?

Mam poważne wątpliwości. Chciałaby pani mieć 35 lat przez całe życie?

Doświadczenie 70-latki, a wygląd 35-latki – czemu nie?

Chciałabym, żebyśmy długo dobrze wyglądali, byli w dobrej formie i zdrowiu, ale koncepcja niedoświadczania upływu czasu wydaje mi się niepokojąca. Zastanawiam się, do czego by to doprowadziło – świat wypełniliby młodzi, zmęczeni staruszkowie? W tej karkołomnej idei jest złudna obietnica nieskończoności szans, tego, że zawsze mogę zaczynać od nowa. I nigdy nie będę miała w sobie tych nieprzeżytych żyć. A starzenie i przemijanie nieustannie nas przecież z tymi niezrealizowanymi życiami konfrontuje. © Rozmawiała BERENIKA STEINBERG

TOMASZ

Stawiszyński: *Świat na sterydach*

Popkultura, jak już nieraz na tych łamach pisałem, to dziś zwierciadło przechadzające się po gościńcu. Dlatego właśnie od lat pozostaję wielbicielem gatunkowego kina i literatury, ze wskazaniem na horror, kryminał, szpiegowski thriller, konwencję przygodową albo starą dobrą sensację. W zasadzie jedyną odmianą, za którą nie przepadam, są filmy o superbohaterach, w które nie jestem w stanie się wciągnąć; do wyjątków należy jedynie „Batman" w wydaniu Tima Burtona i Christophera Nolana. No, chyba że w poczet superbohaterów włączymy Jamesa Bonda i Ethana Hunta, protagonistę serii „Mission Impossible" – wówczas lista wyjątków zrobi się nieco dłuższa.

O Bondzie napiszę przy innej okazji, czekam na kolejną odsłonę cyklu, choć zdaje się, że chwilę to potrwa. „Nie czas umierać", nie ukrywam, było dla mnie rozczarowaniem, wpisało się bowiem bez wdzięku w modę na radosne dekonstrukcje przeprowadzane na rozmaitych dziełach kultury w imię aktualnych kanonów słuszności i poprawności. Abstrahując już od tego, że w sensie czysto filmowym podobne operacje nigdy nie przynoszą korzystnych efektów – o czym zaświadcza historia kina i literatury zaangażowanej – to wyrastają one, mam wrażenie, z pewnej szczególnej iluzji. Jej nosiciele zdają się święcie wierzyć, że stanowią ostatnie, docelowe ogniwo moralnej ewolucji ludzkości, od którego nic doskonalszego i lepszego nie da się już nawet pomyśleć. Wiadomo, świat się zmienia, a z nim kino, czym innym jest jednak naturalna ewolucja jakiegoś bohatera, a czym innym jego rewolucyjna reedukacja.

Nie o Bondzie jednak (z całym dlań szacunkiem i uwielbieniem) chciałem dziś powiedzieć kilka słów, lecz o „Mission Impossible", której ostatnia odsłona, „The Final Reckoning", niedawno trafiła do kin. Trzeba zaznaczyć, że w porównaniu z Ethanem Huntem, jego umiejętnościami, możliwościami i przygodami, nawet Bond jawi się jako bohater tragiczny, który wciąż musi mierzyć się z nieprzekraczalnymi ograniczeniami ludzkiej natury. Od pierwszych dwóch odsłon cyklu – zresztą najlepszych, w reżyserii Briana De Palmy (1996) oraz Johna Woo (2000) – reguły gry zostały tu jasno zdefiniowane. Zestaw obowiązkowy obejmuje nieodmiennie: akrobacje, pościgi, maski i syntezatory głosu pozwalające na wcielanie się w dowolną postać, strzelaniny, baletowe walki wręcz oraz jakieś zupełnie nieprawdopodobne historie w rodzaju spacerowania po lecącym 10 tysięcy metrów nad ziemią odrzutowcu. Dostajemy to niezawodnie za każdym razem, acz od pewnego momentu – datowałbym go na „Rouge Nation" (2015) albo „Fallout" (2018) – coś jakby zaczęło się dezorganizować, zjadać własny ogon, popadać w schemat, a nawet jałowość. Ostatnie dwa filmy, „The Dead Reckoning" (2023) i wspomniany tegoroczny, są już tego zwiastowanego kryzysu pełną, by tak rzec, ekspozycją.

Co się zatem stało z Ethanem Huntem? Otóż dotknęły go klasyczne przypadłości świata, w którym żyjemy, choć on sam najwyraźniej nie zdaje sobie z tego sprawy albo też nie chce dopuścić tego do świadomości. Najkrócej rzecz ujmując, filmy te cechuje nadmiar, frenetyczne przyspieszenie, sterydowy przerost oraz udawanie, że jest inaczej, niż wszyscy wiemy, że jest. Z jednej strony, nic w tym dziwnego. Jeśli za każdym razem zawiesza się poprzeczkę coraz wyżej, prędzej czy później osiągnie się sufit.

Tak się właśnie sprawy mają z „The Final Reckoning". Stężenie efektów specjalnych i czynów kaskaderskich na sekundę przekracza nie tylko wytrzymałość psychiczną widza, ale również wyporność jego percepcji. Zaczyna się on w tym gąszczu gubić, nie wie, kto kogo właściwie goni, dlaczego i po co oraz kto za chwilę zdejmie maskę i okaże się zupełnie kimś innym. O ile jednak wcześniej ten zgiełk miał jakieś uzasadnienie, dało się za nim nadążyć, a co najważniejsze: przedzielały go wyraźne momenty *katharsis*, o tyle teraz mamy już tylko napęczniałą redundancję i chaos.

Bardzo to skądinąd przypomina zarówno dzisiejszą infosferę, jak i marketingowy reżim nieustannego wypuszczania kolejnych wersji tych samych produktów, pełnych zupełnie niepotrzebnych funkcji w coraz większej ilości. A do tego jeszcze główny bohater, człowiek w wieku zupełnie nieokreślonym, egzystujący jakby poza czasem, poza ludzkimi regułami przemijania. Niby wiemy, że jest już starszym panem, po sześćdziesiątce, niemniej wcale nie daje po sobie tego poznać, zachowuje się i wygląda (prawie) jak żwawy młodzieniec.

Ta figura człowieka w wieku nijakim, niedefiniowalnym, wydaje się symptomatyczna. Nie tylko Tom Cruise, rzecz jasna, stara się w nas wywołać wrażenie, że jest istotą wiecznie młodą, lecz mnóstwo innych odpowiednio znanych i bogatych aktorów i aktorek również. W ślad za nimi podąża zaś rynek, który oferuje kolejne mniej lub bardziej kosztowne metody odmładzania albo konserwowania, od cudownych suplementów i kremów po inwazyjne zabiegi.

Naturalnie, wszystko to są późne paroksyzmy opisywanej ongiś przez Christophera Lascha kultury narcyzmu. Także w tym sensie ostatnie „Mission Impossible" to *de facto* kino realistyczne. No właśnie, jak już wspomniałem, popkultura to zwierciadło przechadzające się po gościńcu. Problem polega na tym, że ostatnimi czasy widoczne w niej odbicia robią się coraz bardziej gargantuiczne. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

REKLAMA

28. Międzynarodowe

TARGI KSIĄŻKI®

w Krakowie

23-26
października
2025

EXPO Kraków
ul. Galicyjska 9

BILETY

Nie jestem maszyną
Jestem człowiekiem
Władysław Reymont

Targi w Krakowie
EXPO KRAKÓW

ksiazka.krakow.pl

Zeskanuj kod i zwiedzaj miasto po swojemu:

Odkrywaj miasto na swój sposób

REKLAMA